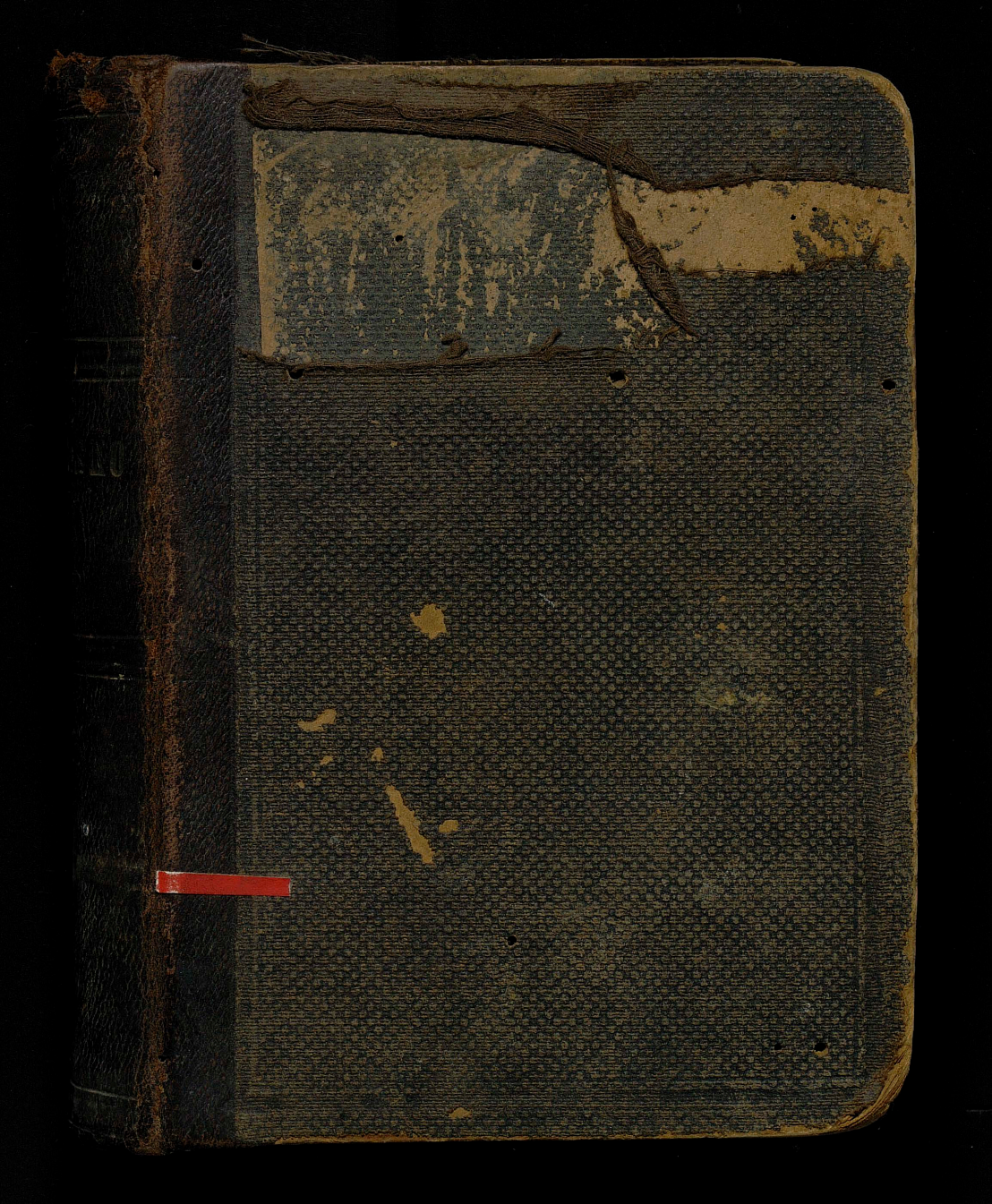

№ 431

Helena Toczydłowska

OBRAZKI

Z

ŻYCIA DOMOWEGO

FRYDERYKI BREMER

TOM IX.

WARSZAWA.
NAKŁADEM HENRYKA NATANSONA.
1860.

DOMOWE OGNISKO

POWIEŚĆ

PRZEŁOŻONA NA JĘZYK POLSKI Z SZWECKIEGO.

FRYDERYKI BREMER.

TOM I.

WARSZAWA.
NAKŁADEM HENRYKA NATANSONA
1860.

KSIĄŻNICA PODLASKA im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku
Nr 2699 A
KS. ARCHIWALNY

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby egzemplarzy.
w Warszawie dnia 8/20 Lipca 1859 r.
Starszy Cenzor, Assesor Kolegjalny,
T. Hertz.

Miejska Biblioteka Publ. w Białymstoku
9149
1860
10/-
839.7-311.2
25.9.45

w Drukarni J. Jaworskiego.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

SPRZECZKI RANNE I WIECZORNE.

„Ależ kochane dziecię, czy warto abym ci głośno czytał, jeśli nieustannie ziewasz i obracasz się na lewo i na prawo“—rzekł radca Frank trochę rozgniewany i powstał, odkładając na bok jedno z dzieł Jeremiasza Benthama.

„Przebacz mój drogi! ale—te mądre rzeczy trochę trudne do strawienia, a ja właśnie przypomniałam sobie—chodź no tu, kochana Brygito!“—Przyczém skinęła Pani Eliza Frank na swą starą służącą i zaczęła mówić z nią cicho.

Tymczasem radca, człowiek pięknéj i silnéj postaci, mający około lat czterdziestu, przechadzał się wzdłuż pokoju. Nagle zatrzymał się przed ścianą zamyślony i rzekł do żony, gdy już kończyła rozmowę ze służącą: „Patrz, moje życie!

gdybyśmy tu drzwi wybić kazali, a to łatwo dałoby się zrobić, gdyż to tylko przepierzenie cienkie, tym sposobem moglibyśmy dostać się wprost do sypialnego pokoju, nie obchodząc przez jadalny i pokój dzieci, toby przecież było wygodniéj!«

„A gdzieżby wtedy sofa stanęła?« odpowiedziała Eliza z pewną obawą.

„Sofa? Posunęłaby się trochę na bok! Miejsca jest dosyć!«

„Ale mój drogi, wtedy byłby przeciąg ze drzwi, niebezpieczny dla siedzącego w rogu sofy!«

„Ach! zawsze obawy i trudności! Myślisz może, że byłoby lepiéj tu drzwi zrobić?«

„Nie! Szczerze mówiąc, myślę, że najlepiéj tak jak teraz jest.«

„Tak zawsze z kobietami! Niczego nie chcą się tknąć, nic ruszyć ani odmienić, aby się lepiéj i wygodniéj urządzić; wszystko co już raz jest, jest wyborne i doskonałe, aż po dopełnionéj odmianie spostrzegają, że się zrobiło lepiéj i mówią: Ach! teraz to wybornie! Kobiety zawsze dawnego trzymać się lubią.«

„A mężczyźni gonią za odmianami, zwłaszcza gdzie można budować lub burzyć.«

Słowa te miały być żartem, lecz wyraz „burzyć« brzmiał trochę cierpko, a radca na przytyk dany mężczyznom, odrzekł z przyciskiem: „Tak, my nie lękamy się małego trudu, jeśli za nim idzie

wielka korzyść. Ale, czy dziś nie będzie śniadania, już siedm minut po kwadransie na dziewiątą; źle to przecież, kochana Elizo, że ty nie możesz przyzwyczaić twoje sługi do trochę większéj punktualności. Nic nie ma przykrzejszego, nieznośniejszego, marniéj straconego, i nic czemuby łatwiéj zaradzić, jak marnie trawić czas na czekaniu. Życie doprawdy za krótkie, by go tak marnotrawić! Dziesięć minut po kwadransie na dziewiątą! A dzieci — czy także jeszcze nie gotowe? Na miłość Boską, kochana Elizo.«

„Pójdę zajrzéć!« — rzekła Eliza i wyszła spiesznie z pokoju. Była to niedziela. Lipcowe słońce oświecało jasny i wesoły pokój i śnieżnéj białości serwetę, okrywającą stół okrągły, na którym były ładnie rozstawione naczynia i przyrządzenie całe do kawy. Z posępną twarzą przybliżył się radca do stolika; lecz nagle widocznie się rozweselił, gdy wszedł człowiek, o którym młode panie wydałyby zaraz wyrok: „strasznie brzydki«, ale któremu myślący fizyonomista przypatrywałby się pewno z zajęciem. Był on wysoki, nadzwyczajnie chudy i trzymał się trochę krzywo, na lewy bok pochylony. Ciemnéj twarzy, rysy miał szlachetne, ale oszpecone ustawicznem krzywieniem, które rzadko tylko ustępowało uśmiechowi dziwnie pięknemu. Nad ciemnemi, głębokiemi oczyma wznosiło się czoło pofałdowane w zmarszczki; głowę okrywał las czar-

nych i twardych włosów. W tych ciemnych puklach zdawały się przebywać złe humory i duch sprzeczności. Przecież ani włosy kręcone, ani twarz poorana zmarszczkami, posępna i surowa, ani cierpkość w głosie i słowach nie zdołała ukryć u asessora Jeremiasza Muntera wyrazu głębokiéj dobroci serca, przebijającego się w całéj jego powierzchowności. Tak żywotne soki twardego dębu, wypuszczają zielone liście z grubych i niezgrabnych gałęzi.

„Dzień dobry, bracie!“ zawołał radca serdecznie, podając rękę wchodzącemu—„jak się masz?“

„Źle!“ odpowiedział kwaśno—„jakżeby mogło być inaczéj? Co to za czas mamy? Zimno jak w styczniu! A jacy ludzie na tym świecie? Wstyd i hańba! Dziś się tak zgniewałem, że—czytałeś téż nieprzyjazny ci artykuł w gazecie?“

„Nie! nie trzymam tego pisma, ale o artykule słyszałem; wymierzony jest przeciw mojéj rozprawie o ubogich w naszéj prowincyi i środkach zaradzenia im.“

„Tak, czyli raczéj nie! Gdyż to właśnie jest najszczególniejszém, że o téj rzeczy prawie nie mówi, tylko wymierzony jest przeciw osobistości twojéj i pełen niezgrabnych i niskich oskarżeń i zniewag.“

„Słyszałem o tém, dla tego wolę nie czytać.“

„Wiész także kto pisał?“

„Nie, i nie chcę wiedzieć.“

„Dowiész się, bo trzeba znać swoich nieprzyja-

ciół. To pisał pan N. Dałbym mu chętnie trzy proszki na wymioty, aby się żółci choć trochę pozbył.“

„Co? N., który naprzeciw nas mieszka i niedawno przywiózł do domu dziecię swoje, wychowujące się dotąd u krewnych? — Ach, biedna bez matki dziewczynka!“

„Tak, ten sam!—Ale trzeba, abyś przeczytał jego rozprawę, choćby dla tego tylko, aby ci się smaczniejszą kawa wydała! Masz ją! przyniosłem ci! Słyszałem, że się wybierają przysłać ją dziś twojéj żonie. Tak! są mili ludzie na świecie! Ale gdzież twoja żona dzisiaj? A, otóż jest? — Dzieńdobry, pani Elizo! Piękna od rana, ale jakaż blada! Ej, ej, to nie uchodzi! — Cóż ja zawsze mówię i przekładam? Potrzeba używać dużo ruchu, świeżego powietrza, inaczéj nic w świecie nie pomoże! Ale kto wierzy naszym kazaniom? Nie— adieu moi państwo! Gdzie moja tabakierka? Pod gazetami. Przeklęte gazety! Wszędzie zawadzają, nawet tabakierce nie dadzą pokoju. Adieu, pani Elizo! Bądź zdrów przyjacielu! Nie, to warto widzieć, jak on siedzi i czyta spokojnie obelgi przeciw sobie, jak gdyby go wcale nie obchodziły! No, jeszcze się śmieje teraz. Dobrego apetytu kochani przyjaciele!“

„Śniadaj pan z nami“—prosiła uprzejmie Eliza. „Dam panu świeżego, domowego chleba.“

„Nie, dziękuję! Ja nic nie lubię, co w domu robione; to zawsze zachwalone a nic nie warte. Od wszystkiego, co w domu pieczone, w domu przyrządzone, niech Bóg zachowa! Pięknie to brzmi, ale nic nie warte.“

„Spróbuj pan przecież, może właśnie dziś mój chléb dobry. Otóż już i pani Folette na stole; musisz od niéj przyjąć filiżankę kawy.“

„Co takiego? Co to znaczy? Jakaś pani Folette ma mi dać filiżankę kawy? Nigdy w życiu nie cierpiałem starych kobiet, a tém mniéj przy stoliku od kawy.“

„Ta okrągła maszynka od kawy jest panią Folette! Czy nie cierpisz jéj pan?“

„Dla czegóż tak się nazywa? Co za niedorzeczność?“

„To pomysł dzieci. Staruszka tego nazwiska, którą raz kawą przyjmowałam, zawołała na widok swego ulubionego napoju: Gdy obaczę maszynkę od kawy, zdaje mi się, jak gdybym anioła widziała!—Dzieci to słyszały i upatrzyły wielkie podobieństwo między kształtami pani Folette a téj maszynki do kawy, któréj odtąd tę nazwę nadały, i którą bardzo lubią, bo co niedziela kawę z niéj piją.“

„Na co dzieciom kawa? Czy bez niéj nie mogą być dość chude? Petrea już i tak przezroczysta

prawie. Nigdym jéj nie lubił, a gdy się jeszcze do kawy zabierze, to—“

„Ależ kochany panie Munterze, nie jesteś wcale dziś w dobrym humorze.“

„W dobrym humorze? Nie, pani Elizo, nie jestem w dobrym humorze, i nie widzę téż nic w świecie, coby do niego pobudzało. Otóż, wasze krzesło rozdarło mi podszewkę u sukni! Jestże to pięknie? To także domowa robota. Nie, już idę, jeźli tylko drzwi wasze—może także w domu zrobione—dadzą mi przejść.“

„A nie powróciszże do nas na obiad?“

„Nie, dziękuję. Jestem już zaproszony, i to tu, w dom[illegible].“

„U marszałkowéj W.?“

„Uchowaj Boże! Téj staréj nie cierpię! Prawi mi ciągle morały! Mnie morały prawić! Miałbym ochotę jéj dać naukę! A jéj ukochaną suczkę, Pyrrusa czy Pirrę—zabiłbym! Marszałkowa sama jeszcze w dodatku taka chuda—ja zaś nie lubię chudych ludzi, a zwłaszcza chudych, starych kobiet.“

„W istocie nie? Wieszże pan, co mówią o tobie i staréj biednéj pannie Rask?“

„Niesmaczna osoba! No, cóż mówią złośliwe języki o mnie i staréj biednéj pannie Rask?“

„Żeś ją pan niedawno spotkał na schodach, gdy udając się do swego pokoju zatrzymała się i uskarżała na schody i swój krótki oddech. Złośliwe ję-

żyki mówią, żeś jéj pan podał rękę jak najuprzejmiéj, wyprowadził troskliwie na schody i nie odstąpił aż przede drzwiami, a nawet posłał jéj potém funt cukierków na kaszel.“

„I pani myślisz, że ja to dla niéj uczyniłem? Wcale nie; obawiałem się, aby mi nie upadła i nie umarła na schodach, a ja potém nie musiał przechodzić przez jéj brzydkiego trupa; z téj więc jedynie przyczyny wyprowadziłem ją wyżéj do jéj pomieszkania. Tak, tak się rzecz miała. Dziś będę obiadował u panny Berndes; ta jest rozumną osobą, a jéj mała Laura bardzo milutka. Na miłość Boską! Otóż mamy cały rój dzieci! Upiżony sługa, siostro Ludwiko! Tak, panno Ewciu nie boisz się „brzydkiego dziada“. — Bóg niech cię błogosławi! Oto masz cukierka!—A maleńka, wygląda jak an.... krzywi się na mnie? To muszę uciekać; dziecinnego krzyku znieść nie mogę. Uchowaj Boże!—może to należy także do domowych przyjemności, stanowi domową muzykę? Domowe pieczywo, domowa robota, domowa muzyka, — hu!!!“

Asessor wyskoczył za drzwi, radca śmiał się, maleńką uspokoił widok obarzanka, przez który lornetowała piękne oczki brata Henryka. Dzieci zgromadziły się, skacząc około stołu zastawionego śniadaniem.

„Moje miłe aniołki, uspokójcie się trochę. Czekaj kochana Petreo, cierpliwość dobrą jest rzeczą; Ewciu nie biegaj tak w około; widzisz że mama tak nie robi—patrz na mamę!“—

Tak napominała łagodnie matka, obdzielając dzieci śniadaniem z pomocą małéj ale rozsądnéj Ludwisi. Ojciec rad obchodził w około i głaskał małe główki. „Powinienem wam był wczoraj wszystkim kazać włosy ostrzydz“ wyrzekł. „Ewie oczy zasłaniają; pocałuj ojca moje dziecko! Jutro rano zabiorę ci twoją perukę“. „I moją także, i moją ojcze!“ wołały inne dzieci. „Dobrze, dobrze, wszystkich was razem ostrzydz każę!“ odpowiedział ojciec. Wszystkie dzieci śmiały się, tylko maleńka kryła przestraszona na piersi matki jasnowłosą główkę. Ojciec podniósł ją lekko w górę, i pocałował najprzód dziecko, potém matkę. „Włóż teraz cukru ojcu do filiżanki!“ rzekła matka, „widzisz że on ci ją nastawia.“ Maleńka uśmiechnęła się, włożyła cukier do filiżanki, a pani Folette krążyła daléj.

Zostawmy teraz panią Folette, chléb domowy, śniadanie familijne i poranne słońce, a przenieśmy się do wieczornéj lampy, przy któréj Eliza pisze.

Do Cecylii.

Muszę ci przedstawić całą moją gromadkę dzieci, która właśnie teraz po wieczerzy, zabrała się

do spoczynku. Ach, gdybym ci przesłać mogła rzeczywisty? malowany wizerunek mojego Henryka, mego pierworodnego, którego mi Bóg dał w najszczęśliwszym czasie mego życia. Ale tylko pędzel Korregia mógłby oddać te piękne, niebieskie, pełne życia oczy, te złote włosy, śliczne usteczka, tę całą twarz tak wdzięczną i jasną. Dobrocią i wesołością tchnie on cały, a jego ręce i nogi w ustawicznym są ruchu. Mój jedenasto-letni chłopczyna jest niestety—jak ojciec mówi—zbyt samowolny. Ale mimo żywości tak jest czuły, że nieraz się z tego powodu trwożę o jego przyszłość. Bóg niech strzeże i chroni mego ukochanego, jedynego, pierworodnego syna! O jakżeż ja go kocham! Ernest często mnie przestrzega abym to dziecię nad inne nie przenosiła. Muszę więc oderwać się od obrazka Nr. 1, a przejść do

Nr 2.

Patrz teraz na małą Ludwisię, naszą najstarszą córkę, która właśnie dziesięć lat skończyła. Widzisz poważną, blond dziewczynkę, nie piękną, ale z okrągłą, poczciwą twarzyczką, z któréj usiłuję powoli wypędzać jakąś pochmurną minkę. Ludwisia nadzwyczajnie jest pilna, cicha i porządna, dobra dla młodszego rodzeństwa, ale lubiąca je moralizować i utrzymać swą powagę, jako starszéj

siostry; za co ją malce nazywają: „waszą królewską mością“, lub „panią sędziną“. O Ludwisi mam dobrą nadzieję, że przejdzie życie spokojnie, bezpiecznie i szczęśliwie.

Nr 3.

O mojéj małéj, dziewięcio-letniéj Ewie powiadają, że będzie bardzo podobna do matki. Jeźli tak, to będzie to poprawne, ozdobne wydanie. Teraz widzisz małą, pulchną, okrągłą dziewczynkę, zawsze w ruchu, śmiejącą się i bawiącą, z twarzyczką, która teraz nie jest ładną, lecz śliczne, szafirowe ożywiają ją oczy. Łatwo smutna i łatwo wesoła, dobra niezmiernie, pieszczoszka, lubiąca przysmaczki, ciesząca się gośćmi, pięknemi sukniami, lalkami i zabawkami; mała Ewusia jest ulubienicą rodzeństwa i domowych, i najlepszą towarzyszką zabaw i przyjaciółką brata.

Nr 4.

Numer 3 i numer 4 nie bardzo się lubią. Biedna Eleonora pierwsze lata swego życia bardzo przechorowała, i w skutku tego zapewne, nie z natury, stała się niecierpliwą, dziwaczną i jakby trochę zazdrosną względem szczęśliwszego rodzeństwa. Na głębszém uczuciu jéj nie zbywa, ale umysł roz-

wija się powoli, i uczy się z wielką trudnością. Nic w niéj nie ma uprzejmego, ani pociągającego. „Daj mi pokój!“ to są słowa, które najczęściéj z jéj ust wychodzą. Będzie zapewne szpetną, ale przy pomocy Boskiéj ufam, że dobrą i szczęśliwą. „Ty drogie moje, brzydkie dziecko“, mówię czasem do niéj ściskając ją czule. Chciałabym ją wcześnie pogodzić z jéj losem.

Nr 5.

Ale cóż się stanie późniéj z nosem mojéj Petrei, który jest dotychczas najznakomitszą częścią jéj małéj osóbki, i gdyby nie był tak wielkim, to możnaby to dziecię ładném nazwać. Spodziewamy się, że ona go przecież przerośnie. Jest to małe, żywe dziewczątko, ze skłonnościami do wszystkiego dobrego i złego, ciekawa, niegrzeczna i opanowana niebezpieczną chęcią odznaczenia się, obudzenia zajęcia. Siła twórcza u niéj objawia się teraz w sposób niszczący. Dobra jest bardzo i wszystko co ma chętnie rozda. By figle płatać, łączy się z Henrykiem i Ewą, gdy ci ją łaskawie przyjąć raczą, a skoro oni troje między sobą szepczą, to z pewnością jakaś psota się gotuje. Petrea tak jest ciągle niespokojna teraz, że obawiam się dla niéj niespokojnego życia. Ale mam nadzieję, że nauczy się wcześnie do Tego udawać, który jeden pokój dać może.

Nr 6.

A teraz kolej na najmłodszą, najpiękniejszą pieszczoszkę, którą wszyscy psują, na tak zwaną „maleńkę“, któréj białe rączki codzień wrzucają cukier ojcu i matce do kawy, bo inaczéj by im nie smakowała, któréj łóżeczko jeszcze stoi w pokoju rodziców, a ona co rana przenosi się do ojca i usypia na nowo, wsparłszy jasno-włosą główkę na jego piersiach. Gdybyś ty mogła widzieć moją dwuletnią Gabryelę, jéj wielkie, poważne, ciemne oczy, trochę bladą, ale niewypowiedzianie powabną twarzyczkę, ruchy już śliczne i zręczne, to zakochałabyś się w niéj i psuła ją, jak wszyscy mniéj więcéj. Gabryela jest cichem dziewczęciem, ale zupełnie różna od najstarszéj siostry. Szczególnie jest w niéj obudzone uczucie piękności, czuje pociąg ku niéj, a wstręt do wszystkiego co brzydkie. Jakaś minka, pyszna a zachwycająca, sprawia iż rodzeństwo nazywa ją „małą panienką“ albo „księżniczką“. Henryk jest jakby zakochany w swéj najmłodszéj siostrzyczce, i o mało nie pozjada jéj małych rączek całując je, za co ona wywzajemnia mu się serdeczném przywiązaniem. Dla innych często jest bardzo niełaskawą, a nasz przyjaciel asessor, nazywa ją na przemiany „małą dobrodziejką“, lub „niedobrodziejką“, przy czém ma i wiele innych

imion dla niéj; daj Boże, aby ją zawsze wszyscy godną kochania uważali!

Pokój moim dziatkom! Każde z nich zdolne jest do cnoty i doskonałości, ale każde zarazem nosi w sobie niebezpieczny zaród złego, któreby zagłuszyć mogło piękne, Boże nasienie. O, żeby to się udało ich ojcu i mnie wypielęgnować dobrze te drogie, niebieskie roślinki. Lecz wychowanie dzieci nie jest rzeczą łatwą, a liczne książki o wychowaniu, które przeczytałam, nie wiem czy z ich, czy z mojéj winy, nie wiele przyniosły mi korzyści. Ach! często nie umiem sobie inaczéj radzić, tylko tulę dziecię do siebie i serdecznie nad niém płaczę, lub téż całuję je z radością, i zdaje mi się, że takie chwile nie mijają bez skutku.

Staram się jak najmniéj je łajać; wiem jak to łatwo wygania swobodę i niewinną radość dziecięcą; mniemam oraz, że jeśli się dobre ciągle rozwija, kształci, rozgrzewa i ożywia, to złe samo z siebie odpada.

Często śpiewam moim malcom; wśród pieśni je wychowuję. Chciałabym wcześnie w harmonii skąpać ich dusze. Niektóre z nich, zwłaszcza mój pierworodny i Ewa, są bardzo muzykalni; i każdego wieczora o szaréj godzinie zgromadzają się w koło mnie, a ja muszę im śpiewać, lub wtórować małym piosneczkom, które oni sami śpiewają. Jeśli mój Henryk cały dzień był bardzo grzeczny,

to w nagrodę śpiewam mu wieczór przy łóżku, dopóki nie zaśnie. On powiada, że wtedy śni pięknie! Czasem przegadamy tę godzinkę i wtedy z pociechą widzę, jak pełen życia i czysty duch wzrasta w moim chłopczynie. Gdy na przyszłość tworzy zamiary, powtarza zawsze: „A kiedy już wyrosnę i będę miał rozum i dom własny, wtedy mama musi u mnie mieszkać; a ja się starać będę, aby mama miała wiele dziewcząt do usługi i mnóstwo kwiatów, i wszystko co lubi, aby żyła jak królowa, byle tylko wieczór mama siadała koło mnie i śpiewała dopóki nie zasnę — czy zgadza się mama na to?“ Gdy nakoniec uśnie wśród szczebiotania i śpiewu, to godzinami nieraz siedzę przy jego łóżku, a serce mi rośnie z radości i dumy nad moim aniołem. Ernest utrzymuje że go zbyt pieszczę, ach, może to być, ale doprawdy zadaję sobie wiele pracy aby tego nie czynić. Zresztą, o wszystkich moich dzieciakach powtórzyć mogę, co moja przyjaciółka wyrzekła o swoich, że są dobre, jednakże jeszcze nie dosyć dobre dla nieba.

Dziś wieczór jestem sama, bo Ernest u starosty. To dzień moich urodzin, lecz nikomu o tém nie powiedziałam, bo radam go spędzić w cichém towarzystwie własnych myśli.

Upłynione lata przesuwają się w téj chwili przed mojemi oczyma. Widzę się znowu w ojcowskim domu, w ulubioném, swobodném miejscu rodzin-

ném. Widzę się znowu obok ciebie, moja jedyna, droga siostro, w pięknym, wspaniałym domu, otoczonym do koła wioskami i łąkami, na które poglądałyśmy nieraz z wysokich okien i cieszyły się, że słońce równie pięknie oświeca niskie chatki jak nasze wspaniałe salony; a w całym świecie widziałyśmy piękny porządek.

Wtedy życie było tak dla nas wesołém Cecylio, i tak wolném od trosk. Pamiętasz jak płakałyśmy czytając „les voeux téméraires“ i „Féodor et Marie“ — tego rodzaju były nasze smutki. Życie nasze całe było śpiewem, grą i tańcem wśród orszaku wesołych sąsiadów; z wykształceńszemi zachwycałyśmy się muzyką i poezyą. Miałyśmy się za cnotliwe, kochając tych, którzy nas kochali i dzieląc się z potrzebnymi zbywającym dostatkiem. Przyjaźń była naszém bóstwem, dla przyjaźni chciałyśmy umierać; ale serca nasze miały pozostać kamienne dla miłości. Jak żartowałyśmy z naszych wielbicieli, podobając sobie w roli nieubłaganych bohaterek romansu! Jakże byłyśmy nielitościwe i—jak łatwo pocieszali się nasi wielbiciele! — W tém poznałyśmy Ernesta Franka. Poprzedziła go już sława, że pełen nauki, posiada silny charakter, i nasze oczy ku niemu się zwróciły, bo takie przymioty zawsze ponętne dla kobiet. Czy pamiętasz jak on nas zajmował, jak jego szlachetna, swobodna, pewna siebie postać, jego sposób znalezienia się otwarty a miły, zrazu podobał się nam, potém rodzaj poszanowania wzbudził? Można było rzec o nim, że silnie stoi na ziemi fizycznie i moralnie. Jego żałobne wówczas suknie i wybijający się na obliczu rys cichego, męzkiego smutku, czyniły go jeszcze powabniejszym dla nas. Ty jednakże znajdowałaś go trochę zbyt poważnym i surowym, a ja wkrótce straciłam w jego obecności moją zwykłą swobodę. Gdy zwrócił na mnie ciemne, głębokie oczy, to czułam ich siłę, jakby razem czarowną i gniotącą. Byłam szczęśliwą i trwożną, mimowolnie każdy ruch mój stawał się przymuszonym i niezręcznym, a w jego przytomności wyrażałam się niedorzecznie. Ciotka Elżbieta pomnę, razu jednego następnego udzieliła mi morału: „Moja droga, nie zapomniéj co ci powiem: jeśli mężczyzna mniema że nie grzeszysz rozumem, nic ci to w jego oczach nie szkodzi, ale jeśli spostrzeże że ty go masz za niemądrego — jesteś na zawsze zgubiona w jego umyśle.“ Nie wiem o ile prawdziwą jest ostatnia uwaga—słyszałam jednego młodzieńca utrzymującego, że toby na niego jak sól na ogień działało — pewną jednak rzeczą, że pierwsza część tego zdania jest słuszną, bo mój nierozum w przytomności Ernesta wcale mi u niego nie szkodził; a jakżeż miłym on był, gdy przy mnie stawał się słodkim i uprzejmym! Codziennie czułam jego wpływ silniejszym; zdawało mi się że jego oczy

ciągle na mnie patrzą; gdy mi zajaśniały łagodnie, to moją duszę rozkosz przejmowała; gdy spojrzał posępniéj niż zwykle, traciłam mowę i swobodę. Wydawało mi się nieraz — i nawet teraz jeszcze czasem — że gdyby ten jasny, tak dziwnie przenikliwy wzrok bardzo ostro zwrócił się na mnie, to moje serce bić by przestało. A jednak nie wiem czym go kochała, wątpię nawet o tém. Gdy on odchodził, oddychałam lżéj i swobodniéj, ale jego życie byłabym ratowała z niebezpieczeństwem mojego. W wielu rzeczach nie zgadzaliśmy się. Muzyka, tyle mi ulubiona, była mu obojętną; różniliśmy się także w wyborze przedmiotów do czytania. On ziewał przy moich ulubionych romansach, uśmiechał się nawet czasem, kiedy ja byłam blizką łez; ja odwrotnie nudziłam się niewypowiedzianie słuchając jego pożytecznych i uczonych książek. On pogardzał światem fantazyi, po którym tak chętnie błądziły moje myśli; dla mnie nie miała powabu rzeczywistość, któréj on szukał dla swéj myśli w życiu. Jednakże było wiele zasad i uczuć, zwłaszcza moralnych obojgu nam wspólnych, a ilekroć zgodziliśmy się na jedno, to zawsze z widoczną radością obojga. W tym czasie musiałaś opuścić mnie Cecylio i nasze losy, chociaż nie serca, rozdzieliły się.

Wkrótce potém ważny wypadek zaszedł w naszym domu. Jednego poobiedzia grałam w wolanta

z kuzynem Emilem, który pamiętasz jaki był poczciwy i ile lubiłyśmy go. Nie wiem jak to się stało, ale Ernest zajął jego miejsce i począł grać ze mną. On był żywszym niż zwykle, ja czułam się swobodniejszą. Rzucał wolanta wybornie i pewną ręką, ale zawsze po nad moją głowę, co mnie zmuszało ciągle cofać się kilka kroków by go schwytać. Nie zważając na to, wśród wesołych żartów minęłam kilka pokoi i raptem znaleźliśmy się sami, zdala od reszty towarzystwa. Wtedy nagle Ernest grać przestał, a w twarzy jego widać było głębokie wzruszenie. Przeczuwałam ważną jakąś chwilę i byłabym chętnie uciekła, ale brakło mi siły. Wówczas on mówił do mnie tak uroczyście i tkliwie, że mnie ujął za serce i ręka moja choć drżąca spoczęła w jego dłoni, i prawie nie wiedząc kiedy przyrzekłam podzielić jego życie. Niedawno skończyłam była właśnie lat dziewietnaście. Moi dobrzy rodzice przyzwolili chętnie na połączenie córki z człowiekiem tak ogólnie szanowanym i któremu przepowiadano, iż zajmie najwyższe w kraju urzęda, a Ernest, w którego charakterze spoczywa pośpiech w wykonaniu raz już powziętéj myśli, naglił tak usilnie, że wkrótce nastąpiły nasze zaślubiny.

Pomiędzy krewnymi moimi znaleźli się tacy, którzy mniemali, że związkiem moim zstąpiłam jeden stopień niżéj — mnie jednakże inaczéj się zdawało.

Ja pochodziłam z znacznego rodu, miałam znakomite stosunki familijne, wychowałam się w świetném kole, w zbytku i swobodzie, nabrałam wiadomości i ukształcenia powierzchownego. On był człowiekiem, który sam sobie w życiu drogę utorował, który zacnemi usiłowaniami i wiele sobie odmawiając, wydźwignął z upadku dom rodzicielski, a matce i siostrom zapewnił byt i przyszłość; on był silnym, mądrym i dobrym człowiekiem — tak, dobrym, to czułam coraz więcéj, im bardziéj przenikałam jego istotę do wnętrza, chociaż mi to nieraz z trudnością przychodziło — przy nim czułam się bardzo małą.

Pierwszy rok po pobraniu się przepędziliśmy, na konieczne rodziców żądanie, w ich domu, i nic by nie było brakowało do mego szczęścia, gdyby nie uczucie, jak o wiele niższą jestem od męża, i niepewność, czym uzyskała zupełne jego zadowolnienie. Wszyscy na rękach mnie nosili i może przez porównanie z innymi, Ernest wydawał się czasem surowym. Od dobrych rodziców byłam zbyt rozpieszczoném dziecięciem, bezmyślném a tkliwém, i to mi, niestety! dotąd w części pozostało. Jednakże w tym czasie, za wpływem mego męża poczęły świtać mi w duszy prawdziwa piękność i wyższe znaczenie życia. Pojęłam święte znaczenie i wzajemny stosunek małżeństwa i rodziny, ojczyzny i świata. Ernest był moim nauczycielem.

Spoglądałam na niego z miłością ale nie bez bojaźni.

W owych dniach pogodnych układaliśmy wspólnie niejeden plan uśmiechający się mojemu romantycznemu umysłowi; pomiędzy niemi, ulubioną myślą mojego Ernesta była podróż piesza w kraj piękny, na zachód Szwecyi położony. Jego matka (któréj imie dość dziwne nosi mała Petrea) była z Norwegii, a jéj drogie wspomnienie skojarzone w duszy Ernesta z obrazem tych gór i dolin, o których opowiadała, w czarodziejskim przedstawia mu się blasku, i stanowi jakby romantyczną okolicę w duszy Ernesta, do któréj się chroni, ilekroć pragnie się pokrzepić i swą przyszłość ożywić. — Na przyszły rok puścimy się w tę podróż! mawiał wówczas Ernest; kreśliliśmy razem naszą drogę na karcie jeograficznéj, a ja już ułożyłam sobie w jakim ubiorze towarzyszyć mu będę w podróży i zwiedzę morzem oblaną Norwegiję.“ Ach! inne zajęcia wkrótce dla mnie nadeszły.

„Jeszcze w tym samym roku mój pierworodny, mój piękny chłopczyna ujrzał światło życia i moje myśli, moją miłość tak zwrócił ku sobie, że Ernest prawie się stał o to zazdrosnym. Jakże często wstawałam cicho w nocy, by przypatrywać się mojemu śpiącemu dziecięciu. Był on już wtenczas żywym i niespokojnym, z rozkoszą więc przypatrywałam mu się gdy spoczywał, a tak przecudnie pięknym

był we śnie! Całe noce byłabym w stanie przepędzać schylona nad jego kołyską. Dotychczas, moja droga Cecylio, wszystko odpowiadało romansom, któremi żywiłyśmy w młodości duszę i serce. Ale nadeszły inne czasy! Najpierwéj wielka odmiana w stosunkach majątkowych rodziców, która tak silnie wpłynęła na nasze położenie w życiu; potém wielka liczba dzieci, niepoliczone trudy, zmartwienia, słabości! Byłabym upadła na duszy i ciele gdyby nie mój mąż. Jego dzielny charakter lubi walczyć i przezwyciężać opór. Z każdym rokiem przyczyniał sobie pracy, i powoli, natężoną usilnością udało mu się znowu lepszy byt w dom wprowadzić. Jakże nieskończenie dobrym, jak słodką podporą był on mi w dniach, w których bez niego byłabym się czuła bardzo nieszczęśliwą. Niejednę noc czuwał on nademną, nieraz płaczące dziecię na swoich rękach do snu ukołysał! A każde dziecię przybywające na świat, pomnażające jego troski i prace, przyjmował jako rozkosz niebieską, jako błogosławieństwo Boże. Ileż wdzięczném było mu za to moje serce, ileż ufności i siły natchnęła we mnie jego wiara, jego siła! Kiedy się mała Gabryela urodziła, byłam blizką śmierci; jestem pewną, że gdyby nie troskliwość Ernesta, byłabym musiała rozłączyć się z moim drobiazgiem. Przez następujące kilka miesięcy nie odstępowało mnie wielkie osła-

bienie; rzadko więc dotknęły się moje stopy ziemi, bo Ernest nosił mnie na rękach gdzie chciałam. On był pełen niewyczerpanéj dobroci i cierpliwości dla choréj żony; miałażby zdrowa nie oddać mu całego życia? Ach tak, uczynić to powinna i uczyni! Oby tylko siły moje wyrównały woli! Wiesz ty Cecylio co mnie często martwi? Nie jestem dobrą gospodynią, nie mam upodobania ani pamięci dosyć, aby wystarczyć wszystkim drobnym zachodom gospodarskim, na których jednak polega dobry byt domowy. Zwłaszcza codzienny zachód koło jedzenia jest mi przeciwny; nie mam sama wielkiego apetytu i przykrém mi się to zdaje, żeby się kłaść wieczór w łóżko z myślą o jedzeniu i z nią rano wstawać. Wszystko to jest przyczyną, że mój mąż nie ma w domu takich wygód, jakich słusznie wymaga. Dotychczas moje słabe zdrowie, pielęgnowanie dzieci i nieświetne nasze położenie tłómaczyły mnie; teraz już nic mnie nie uniewinnia, bo do zdrowia powróciłam a przy większym dostatku więcéj jest w domu do czynienia. Staram się wypełniać jak potrafię najlepiéj moje obowiązki, lecz się już cieszę nadzieją że jak Ludwisia podrośnie, to cześć tego ciężaru domowego złożę na jéj ramiona. Wyobrażam sobie że ona mu pięknie podołać będzie umiała.

Kończę dziś trzydzieści dwa lat i zdaje mi się jakbym wchodziła w nową życia epokę; moja mło-

dość przeminęła, wstępuję w wiek średni i czuję czego ten wiek i mój mąż mają prawo odemnie wymagać. Oby nowy i silniejszy człowiek powstał we mnie! Oby mi Bóg pomocy swéj udzielał a Ernest był pobłażającym dla nieraz błądzącéj żony! Ernestowi potrzebaby silniejszéj gospodyni. Słabe nerwy czynią mnie drażliwą i lada drobnostka dotkliwą mi się staje. Jego charakter pełen czynnéj siły często niepokoi mnie więcéj niż to jest słuszném i rozsądném. Nieraz np. strach mnie bierze, gdy widzę wzrok jego utkwiony bystro w ścianę lub jakikolwiek przedmiot, bo zaraz zdaje mi się że chce w tém miejscu drzwi kazać wybić, lub do innéj podobnéj wziąść się odmiany, a mnie tak potrzeba cichości i spokoju.

Wkrótce zajdzie w naszym domu odmiana, która mnie także trochę niepokoi; przybędzie do nas przyszły nauczyciel moich dzieci Jakób Jakobi, kandydat filozofii. Przez lato ma on uczyć i dozorować mojego pustego chłopca a siostrom jego dawać lekcye pisania, rysunku i rachunków; w jesieni zaś wywieźć mojego pierworodnego z macierzyńskiego domu do wielkiego zakładu wychowania i tam przy nim pozostawać. Obawiam się tego nowego członka naszego domowego koła; jeśli nie jest dobrym i poczciwym, to może być bardzo przykrym; jeśli zaś posiada te przymioty, to mu z serca będę radą, zwłaszcza przy nudnych lek-

cyach pisania, przy których ustawicznie powtarzać muszę: Henryku siedź spokojnie! — Trzymaj prościéj pióro Ludwisiu! Patrzaj na wzór Eleonoro! Nie zapominaj o potrzebnych kropkach i kréskach, Ewo! Petreo, nie ścieraj liter z papieru nosem! — Oprócz tego mój syn drogi zaczyna lekceważyć moją znajomość łacińskiéj gramatyki i coraz częściéj gniewać ojca zbytecznemi pustotami. Razem z nim pobierać będzie nauki u Jakobiego Nils Gabriel, syn starosty Stiernheka, bardzo dowcipny i grzeczny chłopczyk, który, spodziewam się będzie miał dobry wpływ na mego Henryka.

Jakobiego polecił nam przyjaciel mego męża, zacny biskup B. jak najgorliwiéj, chociaż to co posłyszeliśmy o jego postępowaniu w akademii nie bardzo jest chwalebne. Przez łatwowierność i lekkomyślność stracił spadek po trzech ciotkach, (które go wychowały i popsuły), żyjąc nie tak spokojnie i porządnie jakby należało. Biskup B. nie tai tego wcale lecz pisze, że ten młodzieniec budzi w nim wielkie nadzieje, wychwala jego serce, wyborne zdolności nauczycielskie i prosi nas usilnie abyśmy go z rodzicielską miłością w nasz dom przyjęli. Obaczemy czy téj troskliwości godnym się okaże. Wyznaję, że moja rodzicielska miłość ku niemu spi dotąd zupełnie.

Gość ten przestrasza mnie jednak mniéj niż odwiedziny, które wkrótce nam grożą. Musiałaś sły-

széć o pułkownikowéj S., pięknéj Emilii, mego męża „pierwszéj miłości“, (jak ją nazywam mszcząc się za niespokojność, któréj mnie nabawiały jéj wdzięki i przymioty odwrotne, rzecby można, moim)? Od kilku lat już owdowiała, bawiła długo za granicą a teraz wracając do ojczyzny chce nas odwiedzić. Ernest i ona pozostali zawsze na przyjacielskiéj stopie, lubo mu niegdyś swéj ręki odmówiła i jest to pięknym rysem charakteru mego Ernesta, (rzadkim w płci męzkiéj) że odmowa nie zniechęciła go do osoby, która mu ją dała. Przeciwnie, zawsze mówi z uwielbieniem o téj Emilii i nie przestał nigdy z nią korespondować; ja zaś, która wszystkie listy czytam, podziwiam jéi dowcip i wiadomości; wolałabym jednak nie poznać bliżéj mojego męża „pierwszéj miłości“, bo zdaje mi się że trochę zimnego jest serca, i mojego dla siebie nie rozgrzeje.

Bije dziesiąta, przed dwunastą Ernest nie przyjdzie do domu. Żegnam cię więc teraz Cecylio, bo... mamże ci powierzyć moją tajemnicę? — Ty wiesz że jedną z ulubionych moich przyjemności, było czytanie dobrego romansu, ale musiałam się jéj teraz wyrzec, bo skoro raz dostanę w ręce zajmujący romans, to niezmiernie mi trudno położyć go przed doczytaniem ostatniéj stronnicy; ale to u mnie nie uchodzi i odkąd dwa obiady, wielkie pranie i siedmnaście małych zatrudnień domowych

o mało nie przepadły a z niemi mój pokój domowy przez Korynnę Pani Stael, postanowiłam — przynajmniéj obecnie — dać pokój czytaniu romansów. Czuję jednak tak wielką potrzebę literackiego pokrzepienia, że odkąd nie czytam romansów, zaczęłam—sama romans pisać. Tak, Cecylio! moje młodzieńcze upodobania nie odstępują mnie wśród prozaicznych trosk i zatrudnień codziennego życia, a wonne i piękne kwiaty mojéj młodości zakwitną mi jeszcze w wspomnieniu, uwieńczą i orzeźwią więdnącą mą głowę. Wesołe dnie z tobą przebyte, miłe wrażenia, zdarzenia i widoki (słodsze mi dziś jeszcze jak wówczas), które nam dały tak piękną i radosną młodość, przywołam i zatrzymam w wyraźnym wizerunku, nim z biegiem lat ulecą mi z duszy. To zatrudnienie dodaje mi siły i wesołości i gdy w skutku umęczenia lub zgryzoty dostanę wieczór mego nerwowego bólu zębów, to nic go skuteczniéj nie odpędza, jak praca nad moim małym romansem. Właśnie dziś ból ten dokucza mi więcéj jak zwykle, użyję więc mego niewinnego opium. Ale Ernest nie zastanie mnie czuwającą gdy przyjdzie, przyrzekłam mu to. Dobranoc kochana moja Cecylio.

Teraz skreślimy obraz osoby, która ten list pisała, matki Henryka, Ludwiki, Ewy, Eleonory, Petrei i Gabryeli.

Piękną nie była, ale natura dała jéj szlachetną kibić, cienką jeszcze i giętką jakby u młodéj dziewczyny. Rysy twarzy miała nieregularne ale usta powabne i świeże, piękną, jasną czerwonością ubarwione, płeć białą, a jéj jasno-niebieskie oczy jaśniały słodyczą i dobrocią. Ruchy miała bardzo wdzięczne, piękne ręce (wielki powab u kobiety), któremi nie kokietowała, przez co jeszcze piękniejszemi się zdawały. Ubierała się ładnie, zawsze w jasne kolory, co wraz z lekkim różanym zapachem, który ją zawsze otaczał i który lubiła, dawało jéj postaci coś bardzo miłego i czyniącego słodkie wrażenie. Można ją było porównać z światłem księżycowém. Chód jéj był lekki, głos dźwięczny, co jak Szekspir powiada: „wyborną jest rzeczą u kobiety.“—Mimowolnie radzibyśmy widzieć ją na miękkiéj sofie, pielęgnującą kwiaty lub pieszczącą dziecię, ale trudno nam wyobrazić ją sobie jako gospodynię wielkiego i licznego domu, zawiadującą jego sprawami i sługami, a przytém pielęgnującą wiele dziatek. Jednakże miłość i uczucie obowiązku sprawiły że potrafiła być czynną, lubo w kierunku nieodpowiednim jéj przyrodzonym skłonnościom i polubiła nawet wiele swych zatrudnień. Wszystko co się dzieci tyczyło brała do serca, w domu utrzymywała ład, spokój i wygodę. Widok jego obfitości, czystości i porządku rozweselał ją. Prochu i much nienawidziła o ile była

w stanie cośkolwiek nienawidzieć. — A teraz daléj do naszych szkiców historycznych!

Zostawiliśmy Elizę przy jéj rękopismie; tak się zajęła swoją pracą, że nie słyszała bijącéj dwunastéj. Przestraszyła się usłyszawszy wchodzącego męża. Rzucić rękopism w szufladę u biórka i rozebrać się byłoby rzeczą łatwą dla niéj, chciała tak nawet uczynić, ale namyślała się inaczéj. Nigdy jeszcze, pomyślała, nie kryłam moich postępków przed Ernestem, to nie zacznę tak czynić dzisiaj—i została spokojnie przy stoliku aż wszedł do pokoju.

„Jakto? jeszcze nie spisz i piszesz?“ rzekł z wymówką. „Tak to dotrzymujesz przyrzeczenia, Elizo?“

„Przebacz mi Erneście, zapomniałam się.“

„I dla czego? Co piszesz? Nie, pokaż mi! Co! Wszak to jeśli się nie mylę, romans! Na co to się przyda?“

„Na co się przyda? Sprawia mi przyjemnośc.“

„Przy przyjemności trzeba także mieć jakąś myśl i cel; mnie zaś wcale to nie robi przyjemności, że siedzisz w nocy i dla Bóg wié jakiego romansu oczy sobie psujesz. Gdyby tu był ogień, spaliłbym tę bazgraninę.“

„Lepiéj abyś spać poszedł i zmówił pięknie pacierz wieczorny. Czy dobrze bawiłeś się u starosty?“

„Chcesz mnie zagadać! Spojrzyj na mnie Elizo! Jesteś blada, puls mocno bije! Ja mam pacierz mówić? Wolę wprzód tobie powiedzieć naukę. Czy to rozumnie, czy to rozsądnie, czuwać, niszczyć siły, wyglądać blado, ażeby pisać coś, co nic nie warto? Mam ochotę na prawdę się gniewać, widząc że jesteś tak dziecinną. Wartoż to do wód jeździć, lekarzy wzywać ze wschodu i zachodu i o zdrowie walczyć, jeśli ty robisz wszystko co tylko możesz aby je zniszczyć.“

„Erneście, nie gniewaj się! Nie patrz na mnie tak pochmurnie dziś wieczór, Erneście, dzisiaj!“

„Tak“, rzekł radca nagle ułagodzony, „dla tego że dziś, przed trzydziestu dwoma laty urodziłaś się, to myślisz że masz prawo dzieciństwa robić?“

„Daruj mi to już na ten rachunek!“ rzekła Eliza uśmiechając się ale ze łzą w oku.

„Darować! Darować! To nie zawsze można. Miałbym ochotę wszystkie z całego świata romanse i romansopisarzy razem związać i przez okno wyrzucić. Inaczéj świat ani ty nie przyjdziecie do rozumu. Jednakże to dobrze że jeszcze nie spisz, bo musiałbym cię zbudzić — tylko aby ci pokazać, że nic przedemną nie ukryjesz, nawet wiele lat masz. Oto masz! za karę, za twoje złe zamiary!“

„Ach! Walterskota romanse! I do tego tak piękne wydanie! Dziękuję ci, dziękuję! dobry, kochany Erneście! Ale piękny z ciebie prawodawca, wspierasz sam, co potępiasz!“

„Przyrzecz mi tylko że nie będziesz nocy przepędzać na pisaniu lub czytaniu romansów, pomyśl jak wielce drogie twoje zdrowie. Czy myślisz żebym się tak gniewał, gdybyś mi bardzo drogą nie była? Przecież to rozumiesz. Za kilka lat Elizo, gdy dzieci będą starsze, a ty silniejsza, jednego lata odbyć musimy naszą zamierzoną podróż do Norwegii. Odetchniesz świeżem, górskiem powietrzem, obaczysz piękne doliny, morze—to ci będzie zdrowsze niż wszystkie kąpiele! — Ale chodźmy, obaczmy dzieci; budzić ich nie będziemy, dostałem dla nich od baronowéj kilka cukierków. Oto dla ciebie reneta!“—

Małżonkowie poszli razem do pokoju dzieci, gdzie stara, wierna Finlandka Brygita spoczywała, strzegąc je, jakby smok skarbów. Dzieci spały jak dzieci. Radca pogłaskał piękną, kędzierzawą główkę syna, ale każda z dziewcząt otrzymała pocałunek, złożony lekko na rumiane policzki. Rodzice powrócili potém do swego pokoju. Eliza położyła się; jéj mąż zaś usiadł przy biórze tak obrócony, że ją sobą od światła chronił. Lekki szmer jego pióra ukołysał ją do snu. Gdy druga wybiła, obudziła się Eliza — on pisał jeszcze. Ernest Frank bardzo mało dozwalał sobie i potrzebował spoczynku.

II.

JAKOBI.

Było to w zmroku wieczornym. Dzieci bawiły się w gry w sali, obiegając wszystkie jéj zakąty, gdy nagle zatrzymanie się podróżnego powozu przed drzwiami, wywarło na nie raptowne wrażenie, jakby zimna woda na rój pszczół. Matka tego roju, mała, rozsądna Ludwisia, poszła do okna a dokoła niéj wcisnęły się weń cztery inne główki, rozgrzane, zadyszane i potrącające się z ciekawości obaczenia przybysza. Był nim mężczyzna, który szybko wyskoczył z powozu; dzieci nie mogły dojrzéć czy był stary, czy młody, ale widziały że radca wyszedł spiesznie przede drzwi, ścisnął podróżnego za rękę i do domu go wprowadził. Wniesiono za nim niewielki kuferek. Teraz rój zerwał się znowu i rzucił się ku wchodzącéj matce, by wszelkiemi możliwemi odcieniami głosu od szeptania aż do głośnego krzyku powiedzieć jéj, że to zapewne nauczyciel przyjechał. Eliza, zajęta właśnie przyjmowaniem innych gości, uspokoiła dzieci łagodnie napominającym wzrokiem i słowy: Tak, tak! Dobrze! Przewodniczka roju, Ludwisia, pomiarkowała się spiesznie, uczuła że odstąpiła od zwykle przybieranéj powagi i godności, i usiadła jakby słuszna pomiędzy dorosłemi osobami. Inne dzieci wcisnęły się w kąt pokoju, szepcąc z sobą i dziwiąc się; Petrea zaś często ciekawie poglądała ku drzwiom.

Radca dał znać żonie o przybyciu oczekiwanego gościa, który się jéj przedstawi, skoro się ubierze. Wkrótce przyszedł inny posłaniec, żądając dla Jakobiego żelazka do włosów.

„Jakże się długo ubiera!“ pomyślała kilka razy Eliza przez dobrą godzinę, która przeszła na oczekiwaniu, i wyznać trzeba że nie tylko Petrea, ale i ona nieraz ku drzwiom spoglądała.

Wreszcie usłyszano w sali kroki męzkie, a we drzwiach ukazał się kształtny, lubo nie zbyt wysoki mężczyzna, z nogą zgrabną i ładnie obutą, z dwudziesto-letnią, piękną, wesołym wyrazem ożywioną twarzą, i z włosami podług najnowszéj mody ufryzowanemi. Był to Jakobi. Wszedł swobodnie, lekko i pewnie, spojrzał najprzód na swoją nogę, potém na panią domu i zbliżył się ku niéj z uprzejmym uśmiechem na ustach, który ukazał nadzwyczaj białe zęby. Zapach eau-de-Portugal rozszedł się po pokoju. Radca, który mu towarzyszył i którego postać i układ, pełne prostoty, odbijały od powierzchowności przybyłego gościa, przedstawił Jakobiego. Powiedziawszy sobie wzajemnie nic nie znaczące grzeczności, wszyscy usiedli. Dzieci przybliżyły się i ukłoniły. Henryk spoglądał wesoło

i z ufnością na przyszłego nauczyciela. Ludwisia przywitała go poważnym ukłonem, i cofnęła się szybko, spostrzegłszy że ją chciał pocałować. Petrea z ciekawością zadzierała nosek w górę. Jakobi wszystkim się przypatrywał, rękę podawał, o imiona pytał, potém zas spojrzał w zwierciadło i loki poprawił.

Cóż to za człowiek? pomyślała Eliza z tajemną obawą. — Jakiś próżny fircyk! Jakże go mógł biskup wybrać na nauczyciela dla moich dzieci? On będzie się więcéj sobie przypatrywał niż na nie uważał. Ma piękną szpilkę na piersiach, ale z fałszywych kamieni. Śmieje się, aby białe zęby pokazać. Patrzy znowu w zwierciadło! Cóż to za człowiek!

Eliza szukała wzroku męża, ale on unikał jéj spojrzeń. I w jego twarzy jednak widać było jakieś zmięszanie i niezadowolenie. Jakobi zaś wcale nie zmięszany kręcił się swobodnie na krześle i przypatrywał trzem obcym znajdującym się w towarzystwie paniom. Najstarsza z nich, zajęta pilnie ładnym haftem, zdawała się mieć ze czterdzieści lat i odznaczała się bardzo miłą i spokojną powierzchownością; radca wiele z nią rozmawiał. Dwie inne miały około lat dwudziestu: jedna blada blondynka, druga piękna brunetka; obie miłe i widocznie szczęśliwe i dobre. Starsza zwała się Ewelina Berndes, dwie młodsze były to jéj wychowanki Karolina i Laura. Ta ostatnia ustawicznie miała któreś z dzieci na kolanach i ona też zwróciła szczególniéj na siebie oczy Jakobiego. Laura i mała śliczna Gabryela tworzyły rzeczywiście piękny obraz; Laura ubierała maleńką w kwiaty, wstążki, pierścionki, słowem we wszystko ładne w co sama była ustrojona. Rozmowa wkrótce stała się ogólną i szła z łatwością dzięki Jakobiemu, który opowiadał pięknie i zajmująco o znakomitych ludziach znajdujących się przy akademii z któréj powracał. Gdy Eliza wspomniała o jakim sławnym człowieku, dodając żeby go bardzo widzieć chciała, Jakobi odrzekł, że właśnie niedawno odrysował go sobie w małym wizerunku i na żądanie Elizy pospieszył przynieść rysunek. Powrócił z księgą zawierającą wiele rysunków i malowideł, częścią portretów, częścią krajobrazów własnego utworu. Okazywały talent i sprawiły wszystkim przyjemność. Rozpoznano niektóre osoby, nawet między niemi samego Jakobiego. Dzieci były zachwycone i cisnęły się ku stołowi, przyszły nauczyciel brał je na kolana i widocznie usiłował je cieszyć i bawić. Dzieci zdawały się zapominać zupełnie, że Jakobi był dla nich nową znajomością, tylko Ludwika okazywała się trochę „fière“ a „maleńka“ jeszcze zupełnie niełaskawą. Najbardziéj podziwiały dzieci małe sepią robione malowidło, wyobrażające klęczącą na grobie kobietę, tuż przy

krzaku różanym, na którym lirę swą zawiesiła i rwała z niego kwiaty. Twarz jéj i cała postać była słodka i bardzo piękna. Petrea nie mogła oczu oderwać od rzeczywiście ładnego obrazka, na który i Jakobi z widoczną ojcowską miłością poglądał i który stanowił jakby koronę małego zbioru. Zwykle o ósméj godzinie orszak dziecinny pod przewodnictwem Ludwisi odchodził do sypialnego pokoju; raz nawet z tego powodu wesoła Petrea utrzymywała, że noc jest najgorszą rzeczą z wszystkiego co Bóg stworzył, za co otrzymała od Ludwisi strofujące spojrzenie i naukę moralną, że tak mówić nie należy. Dla uświetnienia zaś obecnego dnia, dzieci otrzymały pozwolenie pozostania z rodzicami po wieczerzy, dopóki oni sami na spoczynek się nie udadzą.

To pozwolenie, Jakobi, malowidła, wszystko razem ożywiło i rozweseliło bardzo dzieci. Petrea przy wieczerzy gdy jedzono pieczonego kapłona nabrała takiéj śmiałości, że zaproponowała Jakobiemu by rozłamał z nią kosteczkę zwaną szczęściem, a przy kim szczęście zostanie, ten będzie właścicielem owego obrazka kobiety przy krzaku różanym, ona zaś ze swéj strony stawiała w zakład malowidło własnego utworu, mające niby kościół przedstawiać. Ludwisi się to nie podobało i zaraz główką wstrząsnęła. Matka zaś sprzeciwiła się zupełnie wnioskowi Petrei. Biedna dziewczynka

zaczerwieniła się mocno, wstydząc się karcących zwróconych na nią spojrzeń, ale Jakobi po zdziwieniu chwilowém, z dobrocią i wesołością przystał na wniosek i domagał się gorliwie, by nie sprzeciwiano się wykonaniu go. Przypatrywał się bardzo dokładnie i poważnie kosteczce, mierzył czy obie strony jednakiéj są długości, a gdy rachował do trzech—matka spodziewała się tajemnie, że on postara się aby szczęście przy nim zostało. Ale nie! Petrea ujrzała je w swojéj ręce i krzyknęła głośno z radości. Po wieczerzy sprzeciwiali się rodzice oddaniu zakładu, ale Jakobi tak usilnie i ochoczo domagał się tego, że Petrea najszczęśliwsza na świecie, otrzymała pożądany obrazek, lecz zarazem i napomnienie macierzyńskie, które do jéj radości kilka łez przymięszało. Jakobi zaś uprzejmością dla dzieci, dobrocią dla Petrei, ujął sobie rodziców.

„Kto wié“—rzekła Eliza do męża—„czy on się jeszcze bardzo dobrym nie okaże. Ma wprawdzie wady, ale także i przymioty. I w głosie i w twarzy ma coś poczciwego, a od tego ustawicznego patrzenia w zwierciadło musimy go odzwyczaić.“

„Już się w tém spuszczam na mojego przyjaciela B.“ — odpowiedział radca — „że ten człowiek coś musi być wart. Od próżności téj powoli go odwiedziemy. On będzie dobrym! Tylko ty Elizo bądź

dla niego uprzejmą i czyń wszystko aby mu u nas miło było.“

Dzieci w sypialnym pokoju robiły także spostrzeżenia o Jakobim. „Zdaje mi się, że on ładniejszy niż ojciec!“ rzekła mała Petrea.

„Ja zaś myślę“, odpowiedziała Ludwisia poprawiając — „że nikt nie może być doskonalszym od ojca.“

„To prawda, wyjąwszy mamę!“ zawołała z łóżka Ewa.

„Ach!“ rzekła Petrea—„on taki dobry, darował mi piękny obrazek. Wiecie jak się ta pani na nim ma nazywać? Różą ją nazwę i opowiem wam o niéj długą historyę. Jednego razu—“

Wszystkie siostry nadstawiły uszu, bo Petrea umiała lepiéj i piękniejsze bajki opowiadać niż którakolwiek z nich. Mówiły téż nieraz między sobą, że Petrea bardzo mądra, a Ludwisia bała się aby Petrea tego nie usłyszała i nie domyślała się; dla tego i teraz bez okazania łaskawego zadowolenia słuchała bajki Petrei, która tak zajęła małe grono słuchaczów, że do północy nie spały.

„Cóż to będzie z mojemi konfiturami?“ Pomyślała Eliza nazajutrz, widząc ogromną porcyę nałożoną na talerzu Jakobiego. Ale gdy obaczyła wieczór małą Gabryelę z całą poufałością rozrzucającą mu jego loki na głowie, gdy widziała jak gra z dziećmi w gry, czyni je więcéj znaczącemi,

umie dzieci bawić, rozweselać i do myślenia zarazem pobudzać, rzekła do siebie: „Niech już jé wiele chce konfitur, będę się starać aby mu na nich nie zbywało.“

Tym sposobem z jednéj strony sprawa Jakobiego dobrze stała, z drugiéj przeciwnie. Brygita, która wiele zatrudnień w domu pełniła, zaczęła się widocznie dąsać i turbować. Parę dni milczała, lecz jednego wieczora rzekła do pani swéj chmurząc się: „Trzeba ażeby pani była łaskawa teraz dwa razy tyle kawy jak zwykle wydawać kucharce, bo tyle nam nie wystarczy, jeśli tak daléj pójdzie. Ten pan nauczyciel wypija z rana całą maszynkę. Takiego łakomcy na kawę w życiu nie widziałam.“

Nazajutrz wieczór nowa wiadomość. Z gniewną twarzą skarżyła Brygita: „nie tylko on na kawę taki łakomiec. Czy uwierzy Pani? Koszyk z ciastkami wczoraj napełniony, dziś już prawie próżny, tylko kilka precelków pozostało. A dzbanek z mlekiem... codzień wypróżniony.“

„No, moja droga, to dobrze że mu tak smakuje“ —rzekła Eliza łagodząc ją.

„Otóż! na miłość boską! to coś strasznego jak on cukier zjada!“ narzekała znowu innego dnia Brygita — „on musi rzucać po dwadzieścia kawałków do filiżanki, inaczéj by tak prędko cukierniczka u niego nie wychodziła. Proszę Panią o klucz

od szafy aby ją napełnić. Nie wiem co to daléj z tego będzie!“

Brygicie wolno było wiele mówić, bo w tym domu się postarzała, Elizę gdy dzieckiem była nosiła na ręku, z miłości towarzyszyła jéj z domu rodzicielskiego idącéj za mąż; przytém wybornie pielęgnowała dzieci, lecz przy powtarzających się nieustannie skargach rzekła raz Eliza seryo:

„Moja droga Brygito, daj mu jeść i pić wiele chce i bez czynienia uwag w tym względzie. Choćby on całemi funtami dziennie wypijał kawę i zjadał cukier, mniejsza o to, byle był moich dzieci, jak mam nadzieję, dobrym przyjacielem i przewodnikiem!“

Brygita odeszła trochę obrażona, mrucząc przed sobą:

„No, no! stara Brygita milczéć potrafii; lecz że on za wiele cukru i kawy spożywa, że łakomiec, to przecież prawda.“

Tymczasem Jakobi żył swobodnie, nie domyślając się wcale chmur przeciągających nad jego głową, gniewu i łajań Brygity, a dzień każdy dowodził, że nadzieje Elizy były ugruntowane. Rozwijał on coraz lepszy i milszy charakter i niepospolite nauczycielskie zdolności. Dzieci pokochały go wkrótce serdecznie. Posłuszeństwo i uszanowanie dla nauczyciela nie przeszkadzało im do płatania mu rozmaitych figli w wolnych godzinach, w czém

Petrea szczególniéj pełno miała pomysłów, a Jakobi tak był dobry, tak go cieszyła radość dzieci, że chętnie był czasem celem ich żartów i dowcipu.

Śniadanie, które dla dorosłych dawano zwykle o jedenastéj, było dla dzieci ulubioną porą do figlów. Jakobi lubił jaja, często więc zdarzało się, że gdy sięgnął ręką pod odstającą serwetę, myśląc że je tam zastanie, wyciągał kłębuszki nici, piłki i inne trudne do strawienia przedmioty, przyczém słyszéć się dawał zwykle przy drzwiach tłumiony śmiech a główki dziecinne, które on z udanym gniewem fałszywemi jajami bombardował, kryły się spiesznie z wesołemi okrzykami. Często także, chcąc podług dawnego szwedzkiego zwyczaju napić się wódki przed śniadaniem, wychylał zamienianą i podstawianą wodę, a młodzi przyjaciele wstrzemięźliwości niedaleko zawsze się znajdowali by się jego zdziwieniem ucieszyć mogli, a dość daleko by uniknąć, skacząc z radości, rzuconych kilka kropel wody.

Zadziwiającém było, że przy często powtarzanych podobnych niespodziankach, Jakobi dawał się niemi zwodzić, lecz on był zbyt zajęty swemi myślami (wszakże doktoryzował się z filozofii) by pamiętał strzedz się przed figlami swoich uczniów. Razu jednego —

— Musimy tu pobieżnie zauważyć, że ubiór Jakobiego, chociaż na pozór bardzo staranny, był

w istocie w złym stanie. Nic dziwnego więc, że jego kapelusz, lubo troskliwie z wierzchu szczotkowany i czyszczony, wewnątrz miał mocno podartą podszewkę.

Jednego razu Jakobi położył kapelusz w kącie przedpokoju, a gdy w sali wygodnie na sofie rozprawiał, Henryk, Ewa i Petrea zgromadzili się z tajemniczemi minami w około kapelusza. Nikt na to nie zważał; lecz gdy Jakobi wychodząc chciał włożyć kapelusz, wypadło z niego mnóstwo cynowych żołnierzy, kamyczków, patyczków i Bóg wié czego; to wszystko stoczyło mu się szybko po głowie, a mały kominiarczyk usiadł nawet rycersko na nosie; nic zaś nie da się porównać z nieograniczoną radością dzieci na widok jego zdziwienia i komicznych ruchów i rzutów głowy, z któremi przyjął ich nie bardzo grzeczną psotę. Nic dziwnego więc że dzieci bardzo kochały swego nauczyciela.

Ale Ludwisia, która coraz więcéj za słuszną się uważała i bardzo rzadko należała do spisków przeciw Jakobiemu, zganiła rodzeństwu ten żart. Potém wyszukała w swych kryjówkach (Ludwisia lubiła wszystko zbierać i ochraniać) kawałki zielonéj materyi, wystarała się nieznacznie o kapelusz Jakobiego i z pomocą matki z skrytą radością obszyła mu na nowo i ślicznie kapelusz

i skrycie się uśmiechała widząc ztąd potém jego zdziwienie.

„Nasza Ludwisia jest roztropną dziewczynką!“ rzekł radca uradowany do żony, która go do tajemnicy przypuściła. Często ją potém rodzice nazywali: „swoją małą roztropną Ludwisią.“

Zaledwie upłynęło trzy tygodnie pobytu Jakobiego w domu Franków, gdy spostrzegła Eliza że nadzwyczajnie rozprawiać i sprzeczać się lubi. Wszystko, zacząwszy od wolnéj woli człowieka aż do przepisów gotowania a nawet jedzenia, stawiał w wątpliwość: Eliza pisała w tym względzie następne do swojéj siostry Cecylii wyrazy:

— — „Ale jakkolwiek jest grzecznym i uprzejmym Jakobi, tak znowu w rozprawach nudny i uparty, a że nikt w domu mierzyć się z nim nie może w biegłości w tym względzie, to boję się, by się nie uważał za cud metafizycznéj mądrości, czém podług mego przekonania wcale nie jest, gdyż jego sztuka polega raczéj na niszczeniu niż budowaniu, umie zmięszać, poplątać, ale nie rozwikłać. Ernest nie jest przyjacielem metafizycznych subtelności, i skoro Jakobi zaczyna to co dotykalne i najpewniejsze (cóż jest dotykalném, co pewném? zapytałby tu nasz filozof) w wątpliwość podawać, mój mąż niecierpliwi się, wzrusza ramionami, idzie do swego bióra i mnie zostawia walkę o zwycięztwo w dyspucie, któréj bym z duszy uni-

knąć rada. Gdy zaś już mężnie potykam się czas długi, pobija mnie naraz student słowami i formułkami mi obcemi, uciekam i zostawiam go maître du champ de bataille. Wtenczas mniema że mnie przynajmniéj o swojéj sile przekonał, o czém jednakże się myli, i jeśli przypadek nie da mi silnego sprzymierzeńca przeciw niemu, to on się zbyt stanie zarozumiałym. Przecież ciekawa jestem usłyszéć system, który dziś wieczór ma mi wyłożyć i zgodnie z którym wszystko w świecie okaże się dobrém i potrzebném. Takie rzeczy zawsze mnie bardzo zajmowały i przypominają mi czas, kiedyśmy obie z tobą Cecylio, podobne dwom motylom nad ziemią ulatywały, poiły się jéj kwiatami i roiły piękne, fantastyczne pomysły o początku życia i świata. Potém zapomniałam o nich zupełnie, a któż wié czy nasza młodzieńcza mitologia nie wyjrzy do mnie z pod systemu Jakobiego!“—

Tu przerwały Elizie wchodzące dzieci. „Możemy sobie pożyczyć Gabryelkę? Mamo, pożycz nam Gabryelkę!“ odezwały się proszące głosy.

„Gabryelko, chcesz się pójść z nami bawić? Ach, z pewnością chcesz!“

Petrea pokazała jéj serduszko z piernika, a ten widok tak działał na maleńką, że chętnie zgodziła się na żądanie rodzeństwa.

„Ale musicie na nią uważać moje miłe aniołki!“

rzekła matka. —„Ludwisiu weź ją pod swoją opiekę i uważaj aby jéj się nic złego nie stało.“

„Niech mama będzie spokojna!“ zapewniła Ludwisia z poważną minką, a wesoła gromadka dzieci zabrawszy z sobą pożyczony skarb udała się do sali, gdzie wkrótce gry się w najlepsze rozpoczęły.

Eliza wzięła robotę, a Jakobi usiadł przed nią poważnie, zamierzając przypuścić ją do głębokości swego systemu. Już odkalsznął parę razy i otwierał usta, by zacząć mówić, gdy dało się słyszéć piskliwe szczekanie a potém słowa: najniższa sługa; we drzwi zaś weszła i powitała Elizę z pewną uprzejmą godnością osoba, trzymająca na ręku małego białego pudla, któréj nowy rozdział poświęcimy.

III.

PANI MARSZAŁKOWA.

Gdzież nie spotkamy się teraz z haute volée? W niebieskich chórach są cherubiny i serafiny, na podwórkach zaś téj ziemi gęsi podnoszą swój głos wyżéj nad inne domowe ptaki. Musi to należéć do porządku świata. Marszałkowa Gunilla W. na-

leżała niezaprzeczenie do najwyższéj haute-volée w poczciwém mieście X., gdzieśmy zrobili znajomość z szanowną rodziną Franków. Była ona siostrą starosty Sternheka i zajmowała pierwsze piętro domu, w którym rodzina Franków mieszkała na drugiém, a Ewelina na dole. Pani marszałkowa przeżyła młodość przy dworze królewskim, i niejeden dzień w ciężko trudzącym przymusie, a nie jednę noc przy szyciu sukien, które miały ukryć przed światem jak biedną była panna Gunilla, lecz ni w dzień ni w nocy na przymus ni ubóstwo nie uskarżyła się nigdy, bo pod niełądną powierzchownością kryła silnego i spokojnego ducha.

Stara ciotka miała zwyczaj powtarzać jéj: „Jédz to utyjesz, gdy utyjesz wyładniejesz, będąc ładniejszą pójdziesz za mąż.“ Panna Gunilla nigdy wiele nie jadła i ani o odrobinkę więcéj w skutku napomnienia nie utyła ani nie wyładniała, ale wybornemi swemi przymiotami zyskała przychylność wszystkich, a miłość bogatego, młodego szambelana, który poczciwym charakterem i sercem wzajemność w niéj wzbudził, i panna Gunilla została panią. Jéj znajomi i przyjaciele nazywali ją jednak w swém kółku zawsze „panią Gunillą“ i my czasem pozwolimy sobie téj poufałości.

Wkrótce po pobraniu się, mąż jéj w skutku zaziębienia zachorował mocno. Trzynaście lat przeżyła odosobniona od świata, pielęgnując go wiernie

i tkliwie, i jak dawniéj cierpiała i znosiła swój ciężar w milczeniu i wytrwałości.

Przez kilka lat nie mógł jéj mąż światła znosić, nauczyła się więc robić w ciemności różne ręczne roboty. Wyszyła na kanwie duży dywan do przedpokoju. W ten dywan — wyrzekła, gdy raz przypadkiem o sobie mówiła — wszyłam niejednę łzę. Jedną z szczególnych właściwości choroby jéj męża było przez czas długi przywidzenie, że leci w przepaść. Tylko trzymając rękę żony był spokojniejszym. Tak przesiadywała miesiąc za miesiącem przy jego łożu boleści. Wreszcie spoczął w grobie. Umierał spokojnie i przytomnie, z wiarą w lepsze obudzenie, dziękując żonie za to wszystko dobre, czém go nawet w chorobie obdarzyć umiała. Gdy zgasł, mniemała zrazu że już nie ma po co żyć na świecie; ale wkrótce podniosła się znowu, wzmocniła na duszy, i urządziła swe życie spokojnie i rozsądnie. Z postępującemi laty stawała się weselszą, powróciła do życia towarzyskiego, które znowu polubiła, ale mimowoli okazywała wśród niego wielką oryginalność ducha i charakteru, którą jéj dała natura a długa samotność wyrobiła. „Bóg wszystkiém ku dobremu kieruje!“ było jéj wiarą i siłą. Lecz nie to jedno tylko użyczało jéj duszy pokoju i słodyczy, objawiało się nawet w jéj głosie, umilało i rozjaśniało jéj starą i niełądną twarz; była tego inna

jeszcze przyczyna. Święta pamięć kochanego człowieka rzuca nieraz na pozostałego osamotnionego przyjaciela takie promienie jak zachodzące słońce, które najpiękniejszym blaskiem oświeca opuszczoną już okolicę. Podobnież działo się z panią Gunillą, podobném żyła wspomnieniem. Nie wiedziała jakim sposobem do tego przyszło — ale odkąd jéj mąż w lepszym żył świecie, zachodził w cień coraz bardziéj w jéj duszy obraz jego długich i ciężkich cierpień, a wznosiła się tylko w coraz jaśniejszém świetle jego kochana, bólem i cierpliwością rozpromieniona postać, i błogo przybytkowi swemu świeciła. Rzadko wymawiała Gunilla jego imie, lecz gdy się to zdarzyło, jéj głos brzmiał dźwięczniéj, twarz się odmładzała. Zbierała w około siebie dobrych ludzi, do których szczęścia się przyczyniała; a kiedy młodzi małżonkowie ciężko i w trosce o przyszłość walczyli, kiedy biedny młodzieniec niedostatek cierpiał i już w długi miał się rzucić, tam przybywała z pomocą pani Gunilla, lubo nigdy pospiesznie się z nią nie wyrywała. Miała przytém wady, o których późniéj się dowiemy. Tu podajemy w krótkości jéj wizerunek: wiek między pięćdziesięciu a sześćdziesięciu laty; kibić długa, prosta, dobrze zbudowana, nie zbyt chuda (przy assessorze można ją było nazwać osobą dobréj tuszy); twarz blado-żółta, nos zakrzywiony ku przodkowi, usta zapadłe, oczy małe i szare, czoło jasne

a ocienione siwemi już nieco włosami, ręce jeszcze piękne, tylko oszpecone tabaką którą ustawicznie w palcach trzymała i jakby chciała nosowi w perspektywie ukazywać przyjemność, podczas gdy marszałkowa sama, wsparta łokciem na poręczu sofy lub krzesła, rozprawiała lub udzielała swych nauk, gdyż miała tę słabość, iż jéj się zdawało że zna wszystko. Przez czas długiego samotnego życia przywykła zaniedbywać zupełnie swój ubiór i od tego odzwyczaić się dotąd nie mogła; jéj materyalne szlafroki z watą wyłażącą na łokciach, pocerowane kołnierzyki, krzywo włożone czépki z wstążkami obsypanemi tabaką raziły dotkliwie uczucie piękności Elizy. Pomimo tego wszystkiego, pani Gunilla miała „un air“ bardzo przyzwoity, majątkiem swym, znaczeniem i godnością należała do haute volée i w mieście wielki wpływ wywierała na pierwsze towarzystwa.

Była jak mówiła spowinowacona z Elizą, lubiła ją bardzo i nauczała jak ma dzieci wychowywać (nb. marszałkowa nigdy dzieci nie miała). Z tego powodu niektóre osoby w mieście zarzucały Elizie, zwłaszcza pocztmistrzowa Bask i żona hurtowego kupca Suura, słabość dla „haute volée“.

W całém zachowaniu się, postaci i mowie marszałkowéj było coś oryginalnego. Teraz powróćmy do chwili gdy weszła do bawialnego pokoju Elizy. Ta ostatnia powstała szybko, powitała gościa

uprzejmie i przedstawiła Jakobiego. On wykrzyknął z radosnego podziwienia, zbliżył się do marszałkowéj, ucałował serdecznie i z uszanowaniem jéj rękę i cieszył się że ją znowu widzi.

Marszałkowa mrugnęła małemi oczkami i zawołała: „Panie Boże! — Wszak to poczciwy Jakobi! No, to wybornie! He, he, he, he!“

„Jakto?“ zapytała zdziwiona Eliza, „Pan Jakobi zna—Ciocia W. zna Pana Jakobiego?“

Ten ostatni zdawał się chcieć dać wyjaśnienie, ale z lekkim rumieńcem na bladym policzku i szybkiem poruszeniem powiek nie dopuściła mu tego pani Gunilla odrzekłszy szybko: „Mieszkaliśmy raz w jednym domu oboje,“ i żądała by rozmowę którą przerwała, a która „zdawała się być ważną“ rozpoczęto na nowo, „jeżeli nie przeszkadzam“ dodała, bystro spozierając na Elizę i Jakobiego. „Bynajmniéj!“ odpowiedziano. Jakobiemu dość było szóstéj części przyzwalającego skinienia, by powrócił do swego systemu, odkalsznął więc i usiadł wygodniéj; pani Gunilla zaś wyjęła stare złote frendzle i rozkręcać je poczęła.

IV.

MONADY I NOMADY.

„Wszystkich rzeczy“—począł Jakobi—„wewnętrznym pierwiastkiem i treścią jest prosta jedność, dusza—jedném słowem monada.“

„Co, co takiego?“ zapytała przerywając marszałkowa.

„Monada czyli prosta jedność“ — mówił daléj Jakobi. „Monady są jednéj istoty, ale zachodzą pomiędzy niemi wielkie różnice pod względem właściwości, wielkości i siły. Są monady narody, monady ludzie, monady zwierzęta, monady rośliny, jedném słowem monady zapełniają i tworzą świat“—

„Ależ, kochany przyjacielu, ja nie rozumiem ani słowa z téj całéj historyi!“ zawołała marszałkowa gniewnie. — „Co to są za rzeczy? Co to są monady — zapełniające świat? Ja nie widzę żadnéj monady.“

„Przecież pani dobrodziejka mnie widzisz, i siebie, a jesteś pani także monadą.“

„Ja jestem monadą?“

„Z pewnością nią pani jesteś, równie jak każde stworzenie żyjące.“

„Ależ mój przyjacielu, ja nie jestem monadą ani

jakiemkolwiek stworzeniem, tylko człowiekiem, zapewne grzesznym, ale zawsze człowiekiem, którego Bóg stworzył na swój obraz i podobieństwo.“

„To się rozumie! Ja uznaję także główną monadę z któréj wszystkie inne wypływają.“

„Jakto? To i Pan Bóg na końcu ma być monadą?“

„Może być także tak nazwany, by jedność nawet co do imienia utrzymać. Przypuszczam także że monady od początku obdarzone są samodzielną siłą, mocą któréj przybierają ciało, tworzą świat zmysłowy, żyją, działają a nawet umierają, t. j. z jednego mieszkania lub ciała, bez bezpośredniego wpływu głównéj monady, przenoszą się w inne. Monady są w ustawicznym ruchu i drodze, gromadzą się jedne w około drugich i porządkują podług właściwéj im siły i sposobu. Spojrzyjmyż z tego stanowiska na świat, a pojmiemy jasno i z największą łatwością cały jego porządek. W każdym zakresie życia obaczemy główne monady, gromadzące w koło siebie podrzędne, jako swe członki i organa. Tak powstają ludy, państwa, nauki, sztuki; tak każdy człowiek tworzy swój świat i panuje nad nim, każdy w stosunku do swoich sił. Bo wolności wyboru nie ma, jak człowiek pospolicie mniema, tylko monada w nim stanowi czém on ma być, i z tego względu—“

„Temu nie wierzę“, przerwała mu marszałkowa—„bo gdyby moja dusza czyli monada, jeśli tak chcesz, była mną do woli kierowała, to może do bardzo złego byłaby mnie doprowadziła, Pan zaś karcił ją i ku dobremu łaską swą prowadził — ale bądźże tak dobrym i zostaw w pokoju mój kłębek bawełny — inaczéj z moją duszą-nomadą dziwnie by było poszło, mogę cię o tém zapewnić.“

„Ale mój Boże, łaskawa Pani! — ja tego wcale nie zaprzeczam, przeciwnie, przyznaję wpływ głównéj monady.“

„A ja“—przerwała mu porywczo marszałkowa—„utrzymuję, że nic w tém rozumnego nie ma, aby w miejsce rządów boskich zaprowadzać jakieś nomadzkie. Na co mi się przyda wiedzieć o twoich nomadach?“

„Monadach!“ poprawił Jakobi.

„Czy tam monadach“—mówiła daléj marszałkowa w zapale, „żeby jeszcze raz się tak pięknie poruszały i gromadziły, cóż mi to pomoże w godzinie pokusy i boleści? Przecież to lepiéj i rozumniéj wierzyć, że Bóg swoją mądrością i łaską kieruje i rządzi nami, jak wierzyć w jakiś tuzin nomad.“

„Monad! monad!“ wołał Jakobi.

„Monad czy nomad!“ odpowiedziała żywo Pani Gunilla—„to wszystko jedno — dajżeż pokój mojéj bawełnie, bo jéj potrzebuję — twoje nomady mogą być jeszcze wspanialsze i potężniejsze, i władać

sobą, żyć i umierać, to przecież nie widzę coby się to przyczyniało do jaśniejszego wykrycia porządku świata. Przeciwnie, dla czegóż teraz źle na świecie idzie? Oto właśnie dla tego, że się panowie macie za jakieś potężne monady, budujecie za wiele na własną siłę i nie chcecie wiedzieć że wszyscy razem jesteście biedni grzesznicy i powinniście Boga prosić, aby władał waszemi nomadzkiemi duszami i czynił je trochę mądrzejszemi. Ale właśnie tym nomadzkim wyobrażeniom mamy do podziękowania za wszystkie niepokoje, zaburzenia i potłuczone okna. Gdybyście byli mniéj nomadami a więcéj rozumnymi ludźmi, toby spokojniéj można żyć z wami na ziemi.“

Jakobi zmięszał się. W ten sposób nie słyszał jeszcze nikogo argumentującego. Z otwartemi ustami patrzał na marszałkowę, a gdy Pyrrus pobudzony gniewem swojéj pani wskoczył na stół i chciał filozofa za nos schwycić, nie mogła Eliza powstrzymać dłużéj przez cały czas kłótni pokonywanéj wesołości, a gdy wybuchła serdecznym śmiechem, sam Jakobi mimowolnie jéj wtórował, tylko marszałkowa spoglądała gniewnie; Jakobi nie zrażony mówił daléj:

„Ale Boże uchowaj! pani dobrodziejka zrozumieć mnie nie chcesz! Wszakże mówiemy tylko o metodzie zapatrywania się na świat, która tłómaczy jego zjawiska w sposób zadowalniający.

Monadologia dobrze zrozumiana nie sprzeciwia się wcale religii Chrześciańskiéj, jak to pani zaraz dowiodę. Przedmiotowe objawienie ukazuje nam właśnie podmiotowo-przedmiotowe i przedmiotowo-podmiotowe jako—“

„Ach! gadaj jakie sobie chcesz brednie“ — rzekła przerywając marszałkowa—„ja wiem co wiem. Miej sobie nomady kiedy chcesz, ale ja nazywam człowieka człowiekiem, kota kotem, kwiat kwiatem, a Bóg jest i zostanie dla mnie Panem i Bogiem, a nie żadną nomadą.“

„Monadą! monadą!“—wołał Jakobi z komiczną rozpaczą — „a jeśli o nazwę chodzi, to przecież wolno filozofii jak każdéj innéj umiejętności przyjąć odrębne imiona na oznaczenie pewnych pojęć.“

Już od chwil kilku ukazywały się przy drzwiach sali jakieś tajemnicze poruszenia, teraz zaś weszły po cichu dzieci i postępowały ku Jakobiemu odwróconemu od nich, czyniąc matce błagające znaki, aby ich nie wydawała; Petrea i Ewa szły na palcach i niosły ogromną, ołowiem napełnioną poduszeczkę do szycia, ważącą pewno z pięć funtów. Jakobi stał właśnie w téj chwili prosto i bronił praw filozofii, gdy ołowiana poduszeczka wpadła nagle w jego kieszeń u fraka. Mimowolnie przechylił się Jakobi, jego frak skrzywił się na jeden bok, usta całą siłą widocznie powstrzymywały

usmiech, a słowa zdradzały wychodzące z nich pewne przerywanie. Mali figlarze spodziewali się strasznego wybuchu podłożonéj miny i uszli spiesznie na stronę. Ale rzecz dziwna! Jakobi stał spokojnie i zdawał się nie spostrzegać co zaszło w jego kieszeni. Chęci do śmiechu zadosyć uczynił opowiadając na prędce jakąś zabawną anegdotę, lecz czy to z powodu nomadów marszałkowéj, czy małéj hordy nomadów która najechała jego kieszenie, nie mógł już powrócić do swego systemu. Usiłował jedynie panią Gunillę rozweselić zabawną rozmową, co mu się udało, i tak był dla niéj uprzejmym i ustępującym, że Eliza zadała sobie pytanie, czy sposób rozumowania i dowodzenia marszałkowéj nie jest najlepszą i najskuteczniejszą bronią przeciw Jakobiemu. Dzieci tymczasem stały w rogu sali i uważały pilnie na każdy ruch swego nauczyciela. „Niechno on tylko iść spróbuje, a musi uczuć poduszeczkę. Chce książkę przynieść! Już idzie! ach!“ Jakobi w istocie szedł do swego pokoju po książkę, lecz ze stoiczną twarzą choć na jeden bok przeciągniętą suknią pominął zdumione grono dzieci i zniknął za drzwiami. Gdy powrócił, dobrze frak mu przystawał. Widocznie poduszeczki ołowianéj już w nim nie było. Zdumienie dzieci doszło do najwyższego stopnia, na najrozmaitsze wpadali domysły. Ludwisia mniemała, że musi być dziura w kieszeni Jakobiego i poduszeczka nią na

schody wyleciała. Mała Petrea, za któréj wnioskiem zrobiono ten figiel, zasmuciła się losem poduszeczki. Że zaś Jakobi mógł taki pozór przybrać i dzieci nawzajem zdziwić i przestraszyć, na tę myśl nie przyszły niewinne ich główki.

Zkąd pan znasz marszałkowę W.?“ zapytała Eliza po jéj odejściu.

Jakobi odrzekł: „Przed kilku laty, ucząc się w ***, nająłem sobie małą izdebkę pod strychem, w domu, w którym marszałkowa wtedy mieszkała. Moje środki utrzymania były bardzo lichę kazałem więc sobie przynosić obiad z miejsca, gdzie go można było dostać najtaniéj, lecz tak bywał zły że go często odsyłałem nietkniętym i tylko przechadzką na świeżém powietrzu usiłowałem mój głód przygłuszyć. Tak żyłem czas jakiś i znacznie schudłem i zmizerniałem, gdy marszałkowa W. któréj osobiście nie znałem, zaproponowała mi przez swoją klucznicę, że mnie chce żywić za tęż samą cenę, którą dotąd płaciłem. Zdziwiony ale rad, podziękowałem i przyjąłem. Przekonałem się wkrótce, że marszałkowa chciała w ten sposób nieznacznie być moją dobrodziejką, nie obowiązując mnie do wdzięczności; odtąd żyłem w obfitości. Nie na tém jednak skończyła się jéj dobroć dla mnie. Gdy w pośród srogiéj zimy chodziłem po ulicach w lekkim surducie, otrzymałem niespodzianie futro przysłane mi.... przez kogo? długi

czas nie mogłem się dowiedzieć, wreszcie przypadkiem odkryłem — że przez marszałkowę. Ale nie pozwoliła sobie podziękować, przeciwnie, rozgniewała się i wyłajała mnie gdym jéj chciał wyrazić wdzięczność, którą bardzo żywo czułem i czuć nigdy nie przestanę."

Oczy Jakobiego łzy napełniły, Elizy zaś i jéj męża zajaśniały radością przy tém opowiadaniu.

„To nowym dowodem"—rzekł radca—„że wiele jest dobrego na ziemi, chociaż na pozór można o tém wątpić. Złe sprawia zwykle wiele hałasu, roznosi się we wszystkie strony, dla tego opowiadaniami o niém napełnione są gazety i koła towarzyskie; dobre przechodzi cicho przez świat jak światło słoneczne."

V.

SMUTNE WIADOMOŚCI.

Mała „potyczka" (tak nazywała pani Gunilla sprzeczkę z Jakobim o monady i nomady) obojgu jak się zdawało, nie była niemiłą, przeciwnie wzbudziła w nich ochotę do innych następnych; a że Eliza, która niechętnie wieczór sama z Jakobim siedziała, często zapraszała panią Gunillę na herbatę do siebie, często więc powtarzała się między nią a Jakobim zacięta sprzeczka. Jeśli jeszcze assessor przybył, to powstawał hałas ogromny. Jakobi krzyczał i skakał po pokoju, lecz miał głos słaby, zwykle go więc przekrzyczano; assessor zaś i marszałkowa lubo często niezgodni z sobą, łączyli się przecież zawsze przeciwko Jakobiemu, chociaż ten ostatni często miał słuszność i swą przegranę ponosił z najlepszym humorem. Może byłby nakoniec — jak sam utrzymywał — stracił w nierównéj walce głos i odwagę, gdyby był nagle z pola nie ustąpił. Zniknął zupełnie z wieczornych posiedzeń.

„Gdzież się podziewa nasz filozof?" pytała czasem pani Gunilla, „jego monada czy nomada zaprowadziła go może do nomadzkiego kraju, He, he, he, he!"

Radca i Eliza zaczęli także trochę niespokojnie zapytywać: „Cóż się dzieje z naszym Jakobim?"

Nasz Jakobi należał do ludzi, do jakich łatwo się garnie mnóstwo lekkich przyjaciół. Jego wesoły, swobodny humor, talenta i dary towarzyskie, czyniły go w wielkiém czy małém kole miłym i pożądanym. Jak więc dawniéj na uniwersytecie, tak i tu popadł w niezbyt dobre towarzystwo wesołéj młodzieży, gdzie się bawiono w rozmaity sposób i oceniono wysoce Jakobiego talenta i wyborny humor. Częścią jego dobroć, częścią lekkomyśl-

ność sprawiły, że dał się uwieść i skłonić do wzięcia udziału w żartach i zabawach, które za wpływem kilku członków zawiązanego klubu coraz gorszącemi się stawały, i nasz Jakobi sam się nie spostrzegł kiedy został wciągniony w rodzaj życia bardzo szkodliwy w jego położeniu i stosunkach, i w skutku którego zwykle późno w nocy do domu wracał, a z rana wstawał z bólem głowy i bez chęci najmniejszéj do pracy.

Nie brakło dobrych przyjaciół, którzy o tem zaraz radcy donieśli. Rozgniewał się mocno, Eliza zmartwiła się, bo już polubiła Jakobiego i spodziewała się że on dobrze wpłynie na dzieci.

„To nie uchodzi—nie uchodzi!—powtarzał radca—temu muszę koniec położyć! Piękne historye nie ma co mówić! Powiem mu, że jeśli on—ale i ty mój aniołku jesteś po części winna; potrzeba byś się nim trochę więcéj zajmowała, zbyt jesteś jakaś dumna i zimna względem niego, i jakąż zabawę ma on tu wieczór? Kłótnia z marszałkową i assessorem nie może go bardzo bawić. Sto razy lepiéj byłoby dla młodego człowieka, gdybyś mu kazała głośno sobie czytać... choćby nawet romanse jeśli chcesz. Powinnabyś go zachęcać by ćwiczył swój muzykalny talent—toby cię także bawiło; czasem moglibyście o czémś rozsądném pomówić, zamiast sprzeczać się o rzeczy, których żadno z was nie rozumie. Gdybyś była tak od początku robiła, on może

nie byłby wpadł w tak złe towarzystwo. Teraz muszą być sceny w domu, by go znowu do porządku przyprowadzić! O takim sposobie życia ja wiedzieć nie chcę! Jutro mu to powiem i nauczę go rozsądku!“

„Ach“ — rzekła Eliza, nie bądź zbyt surowym Erneście! Jakobi jest dobry, jeśli łagodnie z nim pomówisz, to pewno najlepszy będzie miało skutek.“

Radca nic nie odrzekł, lecz gniewny ciągle biegał szybko po pokoju tam i nazad.

„Chcecie wiedzieć co nowego o waszym sąsiedzie który paszkwile pisze?“ zawołał assessor Munter wchodząc z ponurą twarzą do pokoju. Chory jest na galopujące suchoty, umiera, nie będzie już pisał paszkwilów.“

„Któż się zajmuje małą jego dziewczynką?“— zapytała Eliza — „widzę ją często skaczącą we drzwiach i po ulicy jakby dziką kotkę.“

„O, piękny ona ma dozór nad sobą“ — zawołał z uniesieniem gniewném asessor. „Jest tam jakaś kobieta w domu—kobietą ją nazywają, lecz zasługuje raczéj na imie jaszczurki lub szatana — która to niby ma mu być gospodynią, lecz go kradnie a jego dziecię psuje. Co na to powiecie: ona i jéj dwaj synowie robią sobie z tego zabawkę, by szkaradnie przebrani straszyć dziecko o szaréj godzinie. To cud będzie jeśli to dziecko nie zwaryuje.“

„Nędzniki!“ zawołał z pogardą oburzony radca.

„Mój Boże, wieleż to zepsucia i występków, których ramie sprawiedliwości dosięgnąć nie zdoła! I jakże ojciec zezwalać może by się z nią tak obchodzono?“

„Ta niegodziwa kobieta rządzi nim zupełnie; przytém on teraz w łóżku leży i nie wié co się w domu dzieje.“

„A jeśli on umrze — czy jest tam kto coby się dzieckiem zajął? Czy ma krewnych, przyjaciół?“

„Nikogo na świecie! Już się o to dowiadywałem, ptak leśny nie jest tak opieki pozbawiony jak to dziecię. Ubóstwo tam podobno także w domu, a cokolwiek jest w nim jeszcze, to ta gospodyni zabierze.“

„Co tu robić?“ zapytał radca z szczerą troskliwością.—„Nie wiesz Munterze jakby temu zaradzić?“

„Teraz nie ma co radzić!—Rzecz musi iść swoją drogą. Nie radzę nikomu aby się w to wmieszał, bo nim rządzi gospodyni a nią szatan; dziewczynę chce on mieć ustawicznie przy sobie i pozwala jéj wyprawiać co chce. Ale ta piekielna historya nie może trwać długo. Przed miesiącem on umrze, a Ten który odziewa lilie polne i karmi wróble na dachu, spojrzy na biedne dziecię. Teraz nie ma dla niéj ratunku. Dobranoc! Musiałem przyjść i wam to powiedzieć, bo mi serce się kraje, a człowiek ma ten piękny zwyczaj, że drugim narzuca swój ciężar, by sobie ulżyć. Adieu!“—

Radca był tego wieczora bardzo niespokojny. — Opowiadanie które dopiero usłyszał uciskało mu serce. „Szczególny to wypadek, że nasze koleje z tym N. tak się pokrzyżowały. Nie był on bez talentów ale jego charakter nicpotém; dla tego musiałem kilkakrotnie sprzeciwić się jego usiłowaniom ku dostąpieniu wyższego urzędu, a tém samém jego szczęściu. Naturalnie więc stał się moim nieprzyjacielem, a ja o to nie wiele dbałem. Ale teraz chciałbym — jak on tam nędznie leży nieszczęśliwy! A to dziecię, biedne, biedne dziecię! — Stefanie! jest Pan Jakobi w domu?“ — „Nie ma!“ — „A już na jedenastą! Tam do licha! — Jutro muszę mu słowa prawdy powiedzieć.“

VI.

WIELKIE CZYNY.

Gdy radca nazajutrz firankę podniósł, potężne swém milczeniem równie jak promieniami słońce, rozjaśniło mu pokój wesołem światłem. Promienie te zajrzały do serca radcy.

„Moja droga Elizo“, rzekł do żony gdy się obudziła — „ja mam dziś wiele do czynienia, byłoby więc lepiéj, gdybyś ty z Jakobim pomówiła i dała

mu potrzebną naukę. Kobieta może często w takim razie lepiéj działać na mężczyznę, niż drugi mężczyzna. Zresztą nie potrzeba od razu łamać co zgiąć można, a krótko mówiąc myślę, że ty tę rzecz lepiéj uczynić potrafisz. Dzisiaj taka piękna pogoda. Może mogłabyś przedsiębrać z dziećmi wielką przechadzkę? I dla ciebie i dla nich byłoby to zdrowo, a po drodze miałabyś najlepszą sposobność pomówić z Jakobim. Gdy to nie pomoże, wtedy ja — ale nie radbym się gniewać na niego; czyż nie ma dość i tak rzeczy na które się gniewać potrzeba."

Nie tylko jasne poranne słońce podało radcy myśl przechadzki. Jakobi jeszcze przed kilkoma dniami obiecał dzieciom, że kiedy będzie piękna pogoda zaprowadzi je na górę do lasku, gdzie dużo leszczyny i orzechów wiele będzie można uzbierać. Dzieci mają doskonałą pamięć w podobnych razach i utrzymywały iż nad ten dzień żaden inny nie mógłby być lepszym ani stósowniejszym do przechadzki; gdy zaś dowiedziały się że rodzice i Jakobi są tegoż samego zdania, nie było już miary radości; Brygita nie mogła sobie dać rady z Ewą i Petreą, skakały ustawicznie gdy je ubierała.

Gdy całe grono wyszło z domu zaraz po obiedzie, Henryk i Ludwisia szli najpierwsi, za niemi Ewa, Eleonora i Petrea; każde z dzieci miało koszyk lub torbeczkę z kawałkiem placka przeznaczonego na popas w drodze. Za niemi postępowała matka, a obok niéj Jakobi ciągnący w wózeczku małą Gabryelę, która ślicznemi ciemnemi oczkami bardzo poważnie do koła poglądała.

„Mała-Afryka" — tak nazywały dzieci swą małą czarno-oką sąsiadkę, nad którą wczoraj tyle ubolewali rodzice — stała właśnie we drzwiach. Petrea przejęta została nagle gorącem pragnieniem zaznajomienia zię „z małą-Afryką", przyspieszyła więc kroku i z ukłonem ofiarowała jéj swój kawałek placka. Biedna dzika dziewczynka wyrwała jéj raptownie placek, pokazała białe zęby i znikła za drzwiami; Eliza zaś tymczasem ujęła Petreę za rękę i prowadziła ją przy sobie, aby pohamować trochę jéj zbyt w tym dniu rozbudzonego ducha.

Wyszedłszy z bramy miejskiéj, otrzymały dzieci zupełną wolność, i nie wiele były grzeczniejsze od młodych cielątek pierwszy raz na paszę puszczonych. Musimy wyznać, że nawet Ludwisia pozwalała sobie niektórych wybryków, np. skakała przez rowy gdzie były najszersze i klaskaniem w ręce i krzykiem straszyła jednę po drugiéj flegmatyczne wrony. Wkrótce jednak spokojniejszym i pożyteczniejszym zabawom się oddała, gdyż poczęła zrywać napotykane po drodze a znane jéj lekarskie zioła i do fartuszka składać na pożytek domowéj apteczki. Henryk przybiegał często do wózeczka aby maleńką ucałować i podać jéj kwiatki najła-

dniejsze jakie mógł znaléźć i zebrać. Petrea często biegnąc padała, ale zrywała się zawsze szybko i nie przestawała daléj skakać i biegać. Rozweselony i ożywiony także Jakobi zanucił pięknym tenorem piosnkę: „Witaj mi łąko znajoma stara“, któréj zawtórowały czasem cienkie soprany dzieci i przy któréj szły w takt. Eliza cieszyła się pięknym dniem, powszechną radością i nie miała odwagi ani chęci przerywać ją niemiłemi wymówkami. Odłożyła je więc na późniéj.

„Nie! Patrzcie! tu! tu! siostry! Henryku! Patrzcie—zawołała mała Petrea skacząc z radości i wściubiając nos pomiędzy kraty wysokiéj i ozdobnéj bramy. Za nią pospieszyły zaglądać liczne małe główki. Mniemały mieć raj przed sobą. Wkrótce ukazał się i Jakobi nie w postawie cheruba wzbraniającego wstępu z ognistym mieczem, ale podobny raczéj do dobrego i przyjaznego anioła, który uradowanym dzieciom bramy tego raju otworzył. Był to ozdobny i obszerny park, urządzony na wzór staroświecki, należący do owdowiałéj hrabiny S., przez który Jakobi za porozumieniem się z Elizą, otrzymał pozwolenie przejścia dla dzieci udających się ku celowi swéj przechadzki, na górę leszczyną okrytą i przygotował im w ten sposób miłą niespodziankę.

Tu niepoliczone przedmioty budziły zdumienie i dawały powód do pytań; Eliza i Jakobi nie mogli

odpowiedzieć na wszystkie, tak były liczne. Wkrótce napotkały dzieci niezgrabnie z kamienia wyrobionego Kupidona, płaczącego nad wyschłą fontanną i widok ten rozczulił ich serca. „Dla czego on płacze?“ pytały. „Zapewne“ — odpowiedział Jakobi uśmiechając się — „nad brakiem wody“;— o kilkanaście kroków daléj patrzyły zachwyconemi oczyma na chińską świątynię, która podług ich mniemania zawierała wszelki przepych świata,— w istocie zaś kilka kur; w inném miejscu znowu podziwiały piramidalne drzewa—nigdy jeszcze nie widziały nic tak pięknego i osobliwego. Najdziwniejszy jednak widok czekał je dopiero! Przyszli do ciemnego gęsto zarosłego lasku. Tu dały się słyszéć melancholijne urywane dźwięki, którym wtórował szmer jakby jednostajnie bijącéj wody. Dzieci zwolniły kroku i zbliżyły się do siebie w ciekawém ale nieco trwożném oczekiwaniu. Dźwięki i szmer wodny dawały się słyszéć coraz wyraźniéj, lecz lasek jodłowy otaczający je w około był coraz gęstszy i ciemniejszy; — naraz otworzył się z prawéj strony i ukazał grotę pięknie obrosłą zielonością i cienistemi drzewami, w głębi któréj stała wysoka biała postać z głową starca, długą brodą, pochylonym grzbietem i koźlemi nogami. Przy ustach miała duży flet, z którego zdawały się wychodzić owe szczególne dźwięki. Wody biły w górę w kilku miejscach z pod urwisk skali-

stych i spływały w duże kamienne sadzawki u stóp białéj postaci, która dumającym wzrokiem zdawała się śledzić w nich swego obrazu i odbicia uwieńczonéj zielonością groty. Był to „bóg leśny, Pan“ jak Jakobi tłómaczył; lecz tylko Ludwisia słuchała gdy mówił daléj o ubóstwianiu natury u starożytnych—przyczém wstrząsała głową dziwiąc się, że Grecy mogli być tyle nierozsądni i wierzyć w „takiego Boga“. Eliza lubiła spotykać się z wiarą starożytnych w boskie życie natury— bo i dzisiaj zaczynamy pojmować jéj prawdziwe i boskie znaczenie. — Każdy więc mały czy dorosły doznał w grocie pewnego wrażenia, lecz małéj Petrei zupełnie przewróciło się w głowie. Bóg leśny, dźwięki które wydawał, jego półczłowiecza postać, chociaż z gipsu i chociaż wystawiana przez Jakobiego bez życia i rzeczywistości, jako płód dziwacznéj fantazyi, mimo tego pozostała dla Petrei żyjącą, rzeczywistą i cudowną istotą. Nic innego nie widziała przed sobą, o niczém inném nie myślała. Przeczuciem jakiegoś nieznanego cudownego świata zadrżała jéj młoda dusza.

Tymczasem Jakobi wprowadził Elizę na ścieszkę wiodącą pomiędzy brzozami i dębami na górę, pod którą była grota. Wierzchołek nie tylko był piękny i jasny, ale wędrownicy nasi ujrzeli na nim przyrządzony podwieczorek z jagód i owoców. Jakobi, który największą roskosz miał w przyjmowaniu i częstowaniu, przygotował Elizie i dzieciom tę niespodziankę, która bardzo mile została przyjętą. Dzieci zawsze są wdzięczne za doznaną przyjemność, a w dodatku zyskać można i życzliwość matki.

Na zielonym trawniku obrosłym z jednéj strony krzakami róż dzikich, okrytych właśnie ulubionemi kwiatami Elizy, Jakobi płaszcz swój rozpostarł, by ona i dzieci najmłodsze usiąść mogły. Wyjęto Gabryelkę z wózka, zdjęto jéj kapelusik, a Jakobi wybrawszy najpiękniejsze owoce dla matki i dla niéj, usiadł przy dziecku, bawił się z niém i odpędzał komary gałązką róż. Reszta dzieci o kilka kroków daléj zbierała agrest i używała wolności.

Drzewa szemrały poruszone lekkim wietrzykiem z którym mięszały się melodyjne westchnienia leśnego bożka i szum wody. Eliza doznawała miłego wrażenia. Słońce, zapach różany, śpiew ptaków, lasu i wody, piękny widok w około, jéj dzieci uszczęśliwione, wszystko to wywoływało w jéj duszy słodkie uczucia i myśli, życie zdawało się jéj miłém i lekkiém. W téj chwili uczuła prawdziwą przyjaźń dla młodzieńca, który ją tą radością obdarzył a którego poczciwe serce malowało się w oczach zwróconych to ku niebu, to na łagodną twarz Elizy z wyrazem przychylności, którego pierwéj nigdy w nich nie spostrzegała. Eliza czuła

że szczerze i otwarcie jak siostra może z nim mówić, a prawda z jéj ust nie zrani go ani zaboli. Lecz zaledwie mówić zaczęła głosem serdecznym i nieco drżącym, gdy jéj przerwały niespokojne głosy dzieci, które rozbiegły się dokoła po za krzaki i drzewa, wołając trwożliwie: Petreo! Petreo! Z obawą powstała matka, a Jakobi poskoczył by się dowiedzieć co się stało. Często zdarzało się, że Petrea oddalała się od innych dzieci i błąkała się oddana swym niby dumaniom; dla tego nie bardzo zrazu na to zważano że jéj nie było przy podwieczorku. Eliza i Jakobi byli roztargnieni własnemi uczuciami. Dzieci myślały: nadejdzie! Ale gdy jéj nie było, zaczęły wreszcie jéj szukać. Eliza i Jakobi przyłączyli się do nich. Powrócono do groty leśnego bożka, szukano i wołano: wszystko nadaremnie. Petrea nie znalazła się, a niespokojność szukających przeszła w istotną trwogę.

Teraz my z osobna wyszukajmy Petreę. Oczarowana bożkiem leśnym i jego muzyką, powróciła do groty gdy drudzy na górę wstępowali. Tam przejęta zachwyceniem bez miary, powzięła najżywsze pragnienie opowiedzieć ojcu i Brygicie, że ona — widziała bożka leśnego. Zamiar i czyn są tém samém bardziéj jeszcze u dziecka niż u kobiety. Być pierwszą z rodzeństwa przynoszącą ojcu tę ważną wiadomość: „Ojcze, widziałam leśnego bożka“, było to ogromną pokusą dla ambicyi

i gadatliwości Petrei. Wiedziała już że mają jeść podwieczorek na górze, a przy silnéj wyobraźni i dziecinnym braku uwagi na miejsca przebyte i roztropności, nie powątpiewała wcale że ona pójdzie do domu i powróci nim spostrzegą jéj nieobecność. Zresztą, prawdę powiedziawszy, nie zastanawiała się nad tém wcale; z żywo bijącem sercem i mając już na ustach słowa: „Ach ojcze! widzieliśmy leśnego bożka!“ uniesiona skrzydłami fantazyi, pobiegła prędko, o ile mogły zdążyć jéj małe nóżki drogą oddalającą się także od groty, lecz przeciwną téj która do domu prowadziła. Petrea nie wiedziała jeszcze, że jest wiele dróg na świecie. Wkrótce musiała się zatrzymać aby wypocząć. Pięknie było w około niéj, kwiaty wydawały miłe wonie, ptaki śpiewały, niebo było jasne, i tu gdzie żadna chińska świątynia ni bożek miłości nie olśniły jéj wzroku, zniknął na chwilę z jéj duszy obraz bożka Pana, a wystrzeliła myśl, czyli raczéj piękne i święte uczucie, które matka wcześnie w sercu dziecięcia ugruntowała. Petrea widziała że jest samą, ale po łagodności powietrza, po piękności natury czuła zarazem bliskość dobrego Boga, którego matka ojcem ją zwać nauczyła. A przy uczuciu Jego dobroci i opieki, któréj wyraźniéj w téj chwili niż kiedykolwiek doznawała, serce dzieciny rozpływało się w słodkiéj miłości i radości. Upadła w trawie na kolana i myślała że jest

na drodze do nieba; ale niestety! droga ta nie tak łatwa, a te piękne niebieskie przeczucia krótko trwają tak w duszach dzieci jak dorosłych. Młoda wiewiórka skacząca po drodze oderwała Petreę od jéj niebieskiéj podróży i pobudziła do polowania, gdyż Petrea zaraz usiłowała dogonić ją i schwytać. Taką zdobycz przynieść do domu zdawało jéj się szczytem cudownych czynów. „Coby o tém rodzeństwo mówiło! Co całe miasto! Możeby ten wypadek był wspomniany w pismach publicznych, możeby król o nim wiedział!“ myślała Petrea goniąc z zapałem wiewiórkę po krzakach i pniakach. Suknię rozdarła, ręce i nogi pokaleczyła; lecz nie czuła tego, zwłaszcza gdy—o nadmiar szczęścia—upadła zatrzymując w drżących rękach wiewiórkę. Petrea wykrzyknęła głośno z radości i wołała matki i rodzeństwa, którzy usłyszéć jéj nie mogli. „Ty małe miłe stworzeńko!“ mówiła daléj chcąc pocałować swego jeńca, ale „miłe stworzeńko“ ukąsiło mocno Petreę w brodę; zaczęła krzyczéć z bólu i przestrachu, jednak pomimo krwi płynącéj z rany nie puściła wiewiórki. Uspokoiwszy się trochę, spieszyła daléj, dziwiąc się że nie widzi wielkiéj bramy żelaznéj przez którą weszła do parku. Biegnąc naprzód zdziwiona i walcząc z ciągle niespokojnym więźniem, obaczyła nadchodzącego mężczyznę. Nie przyszło jéj na myśl by to mógł być kto inny niż ojciec i odchodząc od siebie z ra-

dości zawołała: „Ach ojcze! widziałam bożka leśnego!“ Zdziwiony że go „ojcem“ nazywają, podniósł młody mężczyzna oczy z nad książki i rzekł spoglądając z uśmiechem na Petreę: „twój ojciec moje dziecię zdaje mi się że tam poszedł“, i wskazał w stronę z któréj nasza bohaterka przybyła; Petrea domyślała się że mówi o Jakobim. „Ach nie! to nie on!“ zawołała trwożnie, i dopiero domyślając się nagle że może błądzi, wróciła się spiesznie. Zaniechała już myśli udania się do domu, a pragnęła odszukać tych, których tak lekkomyślnie opuściła. Biegła drogą którą przyszła, lecz gdy ta się rozdzielała daléj w dwie strony, Petrea obrała mylną, dostała się w jakąś pustą okolicę, spostrzegła że zupełnie zbłądziła i nie wiedziała już jaką udać się drogą; wyrzekając się pychy a oddając rozpaczy, wypuściła wtedy wiewiórkę, rzuciła się na trawę i płakała. Teraz dopiero wspomniała o niespokojności i zmartwieniu jakie zgotowała matce, i żal za winę obfitsze jeszcze łzy jéj wycisnął. Jednakże nie trwała długo przy rozpaczliwych myślach, pocieszyła się nadzieją odszukania matki, otarła oczy suknią, bo chustkę zgubiła i ujrzała w téj chwili piękne maliny, rosnące blisko niéj w szczelinie skalistéj. „Maliny! ulubione jagody matki!“ I otóż mała Petrea drapie się całemi siłami na skałę, aby zdobyć piękny owoc. Z wiązanką malin w ręce upadnie przed matką na kolana

i będzie ją prosić o przebaczenie. Tak myślała Petrea rękami i nogami rwąc malinowe gałązki. Nowa odwaga wstąpiła w jéj serce. A czyż dostawszy się na wierzch skały nie ujrzy ztamtąd domu, matki, ojca, rodzeństwa, całego świata? Niezawodnie! Wyborna myśl! Petrea trzymając w jednéj ręce gałązki malinowe pomagała sobie drugą jak mogła; ale niestety! w spadzistém miejscu pośliznęła się jéj naprzód jedna, potém druga noga; lewą ręką nie miała dość siły zatrzymać się, a z prawéj nie chciała wypuścić malin. Chwilka obawy i daremnych usiłowań — i Petrea zsunęła się ze skały pomiędzy krzewy niżéj rosnące, gdzie — zostawimy ją teraz a wrócimy do Elizy.

Nieopisana była trwoga matki, gdy już dłużéj niż godzinę z Jakobim i Henrykiem (Ludwisia czuwała nad resztą dziećmi pod grotą bożka) szukała i wołała nadaremnie Petrei. Kilka stawów było w parku, mogła w który z nich wpaść; obawa ta straszną była dla Elizy, a myśl, że może powróci do męża bez jednego dziecka — i to jednego z szczególnie mu ukochanych — napełniała jéj serce śmiertelną trwogą. Raczéj umrzéć! Blada jak trup i bez tchu błąkała się bliska nieraz omdlenia. Naprożno zaklinał ją Jakobi by się uspokoiła, usiadła, spuściła się na niego że on Petreę odszuka,— nic nie pomagało! Nie słyszała go, z gorączkowym strachem szukała swego dziecka. Jakobi nie śmiał

odstępować jéj na długo, często więc ku niéj powracał, podczas gdy Henryk szukał i wołał w innéj stronie parku.

Po dwugodzinném daremném usiłowaniu i męce, w chwili gdy Jakobi złączył się znowu z rozpaczającą matką, oczy obojga padły nagle na jeden przedmiot. Była to — Petrea! Leżała pomiędzy krzakami u stóp góry, ślady krwi były na jéj twarzy i sukni, straszny żółto centkowany wąż leżał owinięty około jéj szyi i błyszczał się od słońca. Petrea spoczywała nieruchomie i zdawała się być uśpiona. Matka wydała słaby krzyk i chciała się rzucić ku niéj, ale Jakobi ją zatrzymał. „Na miłość boską!“ rzekł blady i z żywością — „bądź pani spokojną! może się jeszcze nic złego nie stało; ale to najjadowitszy rodzaj węża jaki się w naszych lasach znajduje! Jeden ruch nieostrożny, a i pani i dziecię będziecie zgubione. Nie, nie możesz, nie powinnaś! pani życie za drogie — moje zaś — przyrzecz mi że zostaniesz spokojnie, a—“

Eliza była bezprzytomna. „Precz! Precz!“ wołała, usiłując słabemi rękami odtrącić od siebie Jakobiego. Chciała iść, ale nogi się pod nią zachwiały i upadła.

W tejże chwili przyskoczył Jakobi do Petrei, z nieporównaną śmiałością i zręcznością chwycił węża za szyję i odrzucił go daleko. Za dotknięciem zbudziła się Petrea, wstrzęsła i otwierając

wpół zaspane oczy wyrzekła: „ach! ach, ojcze, widziałam leśnego bożka!“— „Bóg niech cię błogosławi razem z twoim bożkiem!“ rzekł Jakobi ucieszony tą wyraźną oznaką życia i zdrowia, przycisnął dziecię do piersi i zaniósł je do matki. Nic biedna nie widziała i nie słyszała, leżała zemdlona; dopiero pocałunki i łzy Henryka przywołały ją napowrót do życia. Ocucona powiodła dokoła błędnym wzrokiem i wyjękła: „Czy ona nie żyje?“— „Nie, nie; żyje i nic jéj się złego nie stało!“ zawołał Jakobi klęcząc koło Elizy wraz z Petreą, która trzymając w ręku gałązkę malinową zaszlochała głośno: „Przebacz mi mamo! przebacz!“

Teraz zabłysło oko matki. Eliza powstała spiesznie i z wykrzykiem nieograniczonéj radości przycisnęła uratowane dziecię do piersi. „Chwała Ci i dzięki Boże!“ zawołała podnosząc ręce ku niebu, a potém w milczeniu podała je Jakobiemu, spoglądając na niego wśród łez wzrokiem, który mu wymownie jéj wdzięczność wypowiedział. „Dzięki Bogu! Dzięki Bogu!“ zawołał także Jakobi, przyciskając z rozczuleniem do ust rękę Elizy. Czuł się nieporównanie szczęśliwym.

Oddalono się następnie spiesznie z niebezpiecznego sąsiedztwa jadowitego węża, którego Jakobi i Henryk chcieli wyszukać i zabić, ale na prośbę Elizy odstąpili od tego zamiaru.

Przy grocie siedziała Ludwisia, usiłując pocieszać siostry, lecz sama przytém gorzko płakała nad Petreą, którą myślała że już nigdy nie ujrzy. Z tym większą radością obaczyła ją zbliżającą się, prowadzoną przez Jakobiego, którego szyję objęła pieszczotliwie rączkami usłyszawszy od matki, że on siostrę wybawił z niebezpieczeństwa życia. Petrea patrzyła na otaczających ją z zdziwieniem i ciekawością, jak ten komu się coś niepojętego zdarzyło. Rozważywszy swą nieroztropność i boleść zadaną matce i rodzeństwu, rozpłakała się Petrea tak rozpaczliwemi łzami, że matka sama musiała ją pocieszać i uspokajać. O swoim upadku z góry między krzaki tyle tylko umiała powiedzieć, że jéj się w głowie zakręciło, nie mogła się podnieść, usnęła i o bożku leśnym marzyła.

Tymczasem już zbyt było późno by myśléć jeszcze o zbieraniu orzechów. Matka i Petrea potrzebowały odpoczynku, zabrano się więc spiesznie do powrotu. Dzieci byłyby się może tém zmartwiły, gdyby nie niecierpliwa chętka opowiedzenia w domu nadzwyczajnych wypadków dnia dzisiejszego. W powrocie okazały się nowe trudności; Petrea, która była ogromnie zmęczona, upadłszy bowiem stłukła się i podrapała na krzakach, nie mogła więc iść; uradzono przeto by jechała w małym wózku, a Jakobi niósł Gabryelę. Ale mała nie chciała mu się dać nieść obaczywszy że nie ma rękawiczek, i gdy podniósł ją z ziemi nie zważając

na trudności jakie robiła, zaczęła głośno krzyczéć Czego nie mogły dokonać usiłowania matki ani Jakobiego, to zrobiły wreszcie Henryka pieszczoty i figle; mała zapomniała o zmartwieniu a łzy płynące z oczu zatrzymały się w pół drogi w dołkach powstałych przy uśmiechu na policzkach. Petrea uspokoiwszy się po paroxysmie żalu, zaczęła podobać sobie w swoich przygodach, opowiadając je z zajęciem i ważną miną siostrom cisnącym się z ciekawością do wózka i dobijającym się kolejno by go ciągnąć mogły. I Jakobi ciągnął trochę Petreę ustawicznie szczebiotającą, niósł małą która wkrótce usnęła i opowiadał powiastki aby rozerwać Elizę, która po przebytym przestrachu i niebezpieczeństwie długo była bladą i przyjść do siebie nie mogła.

Wreszcie przybyli do domu i rozpoczęły się opowiadania. Brygita płakała nad swoją najdroższą małą panną Petreą, a radca przycisnął serdecznie Jakobiego do piersi. Obmywszy rygajskim balsamem poniesione przez Petreę znaki potłuczenia i podrapania, matka kazała dla zupełnego pocieszenia dzieci po nieudanéj wyprawie przyrządzić im na wieczerzę kremę malinową z ciasteczkami. Dzieci tańcowały z radości w około stołu, a Petrea, która przez pamięć doznanych nieszczęść dwa razy nabierała kremę, twierdziła stale, że w niebie pewno ciągle taką kremę jedzą i wnioskowała by ją nazwać przysmakiem niebiańskim. Wniosek przyjęto pochwałą ogólną, a niebiański przysmak był odtąd znaną potrawą w domu Franków.

Na piersi ojcowskiéj zapłakała raz jeszcze Petrea, słuchając łagodnego jego napomnienia; potém zaś usnęła słodko na rękach ojca.

A nauka moralna dla Jakobiego?

„Zostań pan z nami w domu dziś wieczór!“ prosiła Eliza uprzejmie.

Jakobi pozostał w domu.

VII.

POŻAR.

„Zostań pan z nami dziś wieczór w domu!“ prosiła Eliza nazajutrz i przez kilka dni następnych. Jakobi zostawał. Przedtém nigdy nie widział Elizy dla siebie tak serdecznéj, tak uprzejméj, nigdy nie okazała mu tyle względów jak teraz; ta serdeczność i uprzejmość od kobiety zwykle obojętnéj i zimno grzecznéj względem mężczyzn, podchlebiały próżności Jakobiego a zarazem przenikały jego dobre serce. Wkrótce ustała przyczyna do

wszelkich „nauk moralnych“, bo Jakobi porzucił nagle i zupełnie owe niekorzystne towarzystwa. Nikt nawet nie potrafiłby mówić o nich w sposób więcéj budujący, niż on to czynił. Zupełnie podzielał zdanie Elizy, że musujący szampan swawolnych hulanek na chwilę upaja, ale tylko próżnię i niesmak po sobie zostawia. Raz, nawet parę razy — mówił Jakobi — mogą takie hulanki działać nieszkodliwie a nawet ożywiać, — ale częściéj powtórzone — niech Bóg broni! Ich wpływ byłby wtedy bardzo niekorzystnym, nawet zgubnym.— Ludwisi która słuchała wydało się to wszystko bardzo rozsądném. Nikomu teraz nie był dom milszym niż Jakobiemu. Ciche, ściśle urządzone życie domowe, jego prace i niewinne przyjemności miały dla niego urok i powab nieokreślony.

Jednakże wkrótce i ten urok wpływ szkodliwy na Jakobim wywierać począł. Wdzięczność najpierwéj rozgrzała ku niemu serce Elizy, potém polubiła ona charakter, towarzystwo i uprzejmość Jakobiego, i z łatwością czyniła zadosyć życzeniom męża co do postępowania z młodym nauczycielem. Sympatyzowali z sobą w wielu rzeczach, zwłaszcza w upodobaniu do muzyki i pięknéj literatury, a jego zapał młodzieńczy dodawał wspólnym zatrudnieniom wyższy cel życia i zajęcia. Rozprawy przestały być sprzeczkami, służyły tylko do miłéj i kształcącéj zamiany myśli. Jakobiemu nie szło

już o to by koniecznie miał słuszność, raczéj doznawał przyjemności ustępując Elizie. On wiedział więcéj z książek niż ona, ona znała lepiéj życie— owe źródło umiejętności—była mu więc jakby starszą, kierującą nim przyjaciółką. Jakobi czuł się szczęśliwym pod tym łagodnym wpływem miłéj kobiety i coraz bardziéj się do niéj przywięzywał. Lecz stosunek ten był tak miły i spokojny, że on sam nie przeczuwał grożącego mu niebezpieczeństwa. Przy Elizie, młody, dziecinnego jeszcze prawie serca nauczyciel, dzieckiem się stawał i lubił gdy ona się z nim jak z dzieckiem obchodziła. Łagodne jéj napomnienia były dla jego serca rodzajem roskoszy i często umyślnie wywoływał je; jakżeż chętnie słuchając napomnień byłby suknią Elizy, jéj piękną białą rękę do ust przycisnął, a z jaką błogą boleścią czuł że mu tego nie wolno. Gdy ona nadchodziła, gdy usłyszał jéj lekki krok, uczuł zapach różany ustawicznie ją otaczający, to serce jego płonęło; najwięcéj zaś wiązały go do niéj jéj cierpienia. Gdy ją widział udręczoną przykrościami domowemi lub znękaną nerwowem cierpieniem, gdy znosiła cierpliwie często przykry humor męża, Jakobi przejmował się dla niéj najczulszém współczuciem i czynił co mógł aby ją rozerwać i pokrzepić: najdrobniejsze jéj życzenia usiłował uprzedzać. Elizie nie mogło to być zupełnie obojętném, może nawet podchlebiało to cokolwiek jéj

próżności, że taki silny wpływ wywierała na młodzieńca, może łudziła i zwodziła się sama co do rodzaju swych uczuć, aby nie niszczyć stosunku zdobiącego jéj życie. „On kocha dzieci i ich matkę“—mówiła w sobie—„jest ich i moim przyjacielem; oby tak zawsze pozostało!“ To zaś pewna, że nigdy dzieci nie były tak grzeczne, chętne do nauki i szczęśliwe jak teraz, gdy Jakobi coraz większe rozwijał zdolności ku ich kształceniu i prowadzeniu.

Okrutny los, który właśnie najniebezpieczniejsze skały umieszcza blisko brzegu gdzie zmierza okręt, który zakłóca stosunki między przyjaciołmi i małżonkami właśnie gdy oni mieli zjednoczyć się całą duszą—ten los chciał, by w czasie kiedy Jakobi najlepsze swe strony rozwijał, radca przeciwnie wady swoje okazywał więcéj niż kiedykolwiek. Był on jednym z tych ludzi, których dobry humor wzrasta w miarę zatrudnień; teraz właśnie zaszła zwłoka i przerwa w wykonaniu przedsięwzięcia które mu bardzo na sercu leżało, bo służyło dobru prowincyi, a ta zwłoka wynikająca z wielu drobnych przyczyn, niepodobnych mimo jego chęci do usunięcia, wprowadzała go w zły humor. W domu a zwłaszcza względem żony był despotyczny i wymyślny, i stawiał się w niekorzystném świetle przy dobrym i wesołym Jakobim. Widział to sam i był nierad z siebie i żony, która coraz mniéj zważała na jego

mrukliwość i rozrywała się ćwiczeniem wspólném z Jakobim w śpiewie i muzyce. Sam wywołał tę zabawę a teraz było mu już jéj nadto i zaczynał znajdować, że poprzednie rozprawy i kłótnie milsze były dla ucha. Zresztą był w usposobieniu, w którém choćbyśmy mogli jedném słowem czemuś koniec położyć, wolemy go nie wyrzec a gniewać się.

Głośne czytanie, które radca pierwéj tak żywo polecał, stało mu się obecnie drugiém udręczeniem. Właśnie teraz byłby chętnie użył częściéj towarzystwa żony, wieczorem z nią posiedział i znalazł w niéj udział w swoich przedsięwzięciach i nieprzyjemnościach. Tymczasem skoro wszedł do bawialnego pokoju, zastawał jeśli nie śpiew, to głośne czytanie, a gdy na jego ukazanie się przerwano je, to przecież umysły pozostały niém zajęte i rozmowa nie szła. Gdy zaś radca sam objawił chęć by czytano daléj i czyniono to, to był nierad i albo wracał do swego pokoju, albo chodził pochmurny po bawialnym tam i nazad.

Tenże sam los sprawił, że gdy radca jednego wieczora w najgorszym humorze chodził po pokoju, oddano mu karteczkę, którą przyjął z wykrzykiem radosnego zdziwienia: „A to ślicznie! Elizo! Półkownikowa S., Emilia, jest tutaj! Przyjechała dziś po południu! Muszę zaraz pójść do niéj; mo-

że i ty ze mną kochana Elizo? Toby było bardzo grzecznie!“

„Ach, już tak późno! — i zdaje mi się — deszcz pada! Możebyś dziś wieczór już sam poszedł, a ja jutro z rana—“

„Dobrze, dobrze!“ rzekł radca przerywając, i troszkę odmową obrażony wyszedł spiesznie.

Przyszedł nazad dość późno i bardzo ożywiony. „Niezmiernie to miła kobieta“ — rzekł — „pewno wiele przyjemności ci sprawi bliższe jéj poznanie.“

„Ach, nie zdaje mi się!“ pomyślała Eliza.

„Powiada, że chciałaby tu w mieście osiąść“— mówił radca daléj — „i spodziewam się że ją do tego nakłonimy.“

„Nie daj Boże!“ pomyślała Eliza.

„Wszelkich musimy dołożyć starań, aby uczynić jéj przyjemnym pobyt tutaj. Zaprosiłem ją na obiad do nas jutro.“

„Jutro?“ zapytała Eliza wpół przestraszona.

„Tak, jutro!“—odrzekł radca dosyć stanowczo.— Powiedziałem jéj że pragniesz ją jutro z rana odwiedzić, ale ona chce koniecznie pierwsza przyjść do ciebie; o obiad nie potrzebujesz się lękać, Emilia wiedząc że zaimprowizowany, nie może się wiele spodziewać, — zresztą dołożywszy troszkę starania potrafisz z łatwością dać dobry. Spodziewam się, że Emilia nieraz podzieli bez ceremonii nasz chleb powszedni.“

Z sercem ściśnioném nie wyraźnemi ale przykremi uczuciami położyła się do snu dnia tego Eliza, myślała o jutrzejszym obiedzie, a potém śniła, że jéj męża „pierwsza miłość“ dom zapalała i całą rodzinę pozbawiała dachu.

VIII.

IMPROWIZOWANY OBIAD.

Wy gospodynie wiecie dobrze jaka jest ważność pieczeni i trudność czasem w dostaniu jéj, zwłaszcza przy improwizowanych obiadach; wiecie, że pomimo wszelkiego natchnienia rozumu i woli (natchnienie jest do każdéj improwizacyi potrzebne) nie można przecież przywabić kurcząt ani jarząbków aby zapełnić ważny półmisek poprzedzający leguminę; wiecie ile to obawy i kłopotów, z któremi napróżno by było udawać się do mężów; pojmiecie więc położenie Elizy, gdy południe się zbliżało a ona jeszcze pieczeni zaimprowizować nie mogła; przy składzie zaś obiadu, (który bym wam opowiedział, gdybym nie myślał że mi uwierzycie na słowo), chociaż improwizowana uczta obejść się nie mogła bez pieczeni. Przytém radca lubił bardzo pieczeń i w ogólności mięsne potrawy; na biednéj

Elizy udręczenie w dniu tym wszystko się sprzysięgło: służącego, który przy nadzwyczajnych okolicznościach był zawsze najlepszą jéj pomocą, radca wysłał w swoim interesie. Kucharka dzisiaj była do najwyższego stopnia niezręczną i nieprzytomną, dzieci w nadzwyczajnym ruchu, Ewa i Eleonora pokłóciły się z sobą, Petrea wycięła dziurę w nowéj sukni, Henryk stłukł butelkę i sześć szklanek, a mała płakała i krzyczała bez przyczyny. Wśród tego wszystkiego dochodziła dwunasta a pieczeni nie było! Eliza o mało nie odchodziła już od siebie, gdy się drzwi otworzyły, głośne i wesołe „najniższa sługa“ dało się słyszéć. A marszałkowa (Elizie wydała się ona aniołem niebieskim) stanęła we drzwiach z jaśniejącą i uprzejmą twarzą i zbliżywszy się do stołu, z dużego koszyka wyjmowała jedno kurcze za drugiém i kładła, przy każdém spozierając na Elizę, dygała jéj i śmiała się serdecznie. Eliza uściskawszy z uniesieniem marszałkowę, wzięła kurczęta, odniosła je do kuchni, a powróciwszy raz jeszcze podziękowała przyjaciółce ratującéj ją w potrzebie, i zmartwienie swe przed nią wynurzyła. Pani Gunilla trochę wzruszona, dała jéj po przyjacielsku następne małe napomnienie: „No, no, dziecię kochane! Moja przyjaciółeczko droga! nie trzeba zaraz tak się kłopotać; te troski przemijają prędko przy pomocy bożéj. Słuchaj moje dziecko i pamiętaj: kiedy potrzeba największa, to i ratunek najbliższy—tak, tak, pomyśl tylko! Idę przez rynek i oto widzę kurczęta w kobiałce leżące, wiedząc jak tu rzeczy stoją, nie namyślam się długo, kupuję je, biorę pod płaszcz i biegę z niemi co mi tchu staje. He, he, he! Teraz idę do domu, bo moja pani musi się ubierać, a ja także! No, adieu moja miła Elizo! Życzę szczęścia w przyrządzeniu obiadu i poskromieniu dziatek! He, he, he!“

Gunilla odeszła, czas obiadu się zbliżył, a z nim przybyli goście i radca, który całe rano nie był w domu, zajęty sprawami swego urzędu.

Emilia była strojnie ubrana, piękna i widocznie wielka pani, przytém nadzwyczajnie grzeczna i uprzedzająca, ale Eliza mimowolnie czuła się jakąś zimną i niemą przy swego męża „pierwszéj miłości“. Przytém myśli jéj były rozerwane. „Żeby się tylko kurczęta dobrze upiekły!“ ta troska ustawicznie uciskała jéj duszę, przy rozmowie o Papieżu, kościele świętego Piotra, Thorwaldsenie i Paście. Godzina obiadu nadeszła, ale obiad się nie ukazywał. Radca, który sam we wszystkiém pilnował ściśle godziny i od drugich tego żądał, niecierpliwił się już niezmiernie i spoglądał to na drzwi od sali, to na żonę, któréj położenie wcale nie było do zazdrości. Eliza usiłowała spokojną zachować powierzchowność i często szeptała coś Ludwisi do ucha, a ta wychodziła spiesznie i po-

wracała. Podwójna rozmowa Elizy z gośćmi i z sobą, jedna głośna, druga niema brzmiały następnie:

„Jakżeż miłą być musi taka znajomość! (Ach, jakże to nieznośnie długo trwa!) Musi to być bardzo zajmującém. (Chciałabym żeby Ernest zapalił się znowu do swojéj „pierwszéj miłości“ i o obiedzie zapomniał.) O to szczególne prawdziwie. (Mój Boże, teraz już muszą przecie kurczęta być dopieczone.) Biedna Hiszpanija (dzięki Bogu, otóż obiad, byle tylko kurczęta....).

„A teraz do stołu!“ To słowo ożywiło wszystkie twarze i umysły. Pułkownikowa utrzymywała przy obiedzie bardzo zajmującą rozmowę, a Eliza zaczynała ją za to cenić wysoko spodziewając się że odwróci uwagę radcy od półmisków, które się mniéj udały. Radca był grzecznym i miłym gospodarzem, a czas obiadowy jedną z jego chwil ulubionych, w któréj bardzo chętnie byłby się podzielił z każdym bliźnim swoim dobrym apetytem, dobrym humorem i dobrém jedzeniem, jeżeli dobrém było; w przeciwnym razie humor cierpiał bardzo. Eliza spostrzegła parę razy w czasie obiadu chmurę przebiegającą czoło męża, ale on sam ją rozpędzić usiłował i wszystko szło dość dobrze póki kurczęta nie przyszły. Gdy radca (który chętnie utrzymywał dawne zwyczaje) chciał je rozkrajać, opierały się widocznie. Wtedy otrzymała Eliza przez stół spojrzenie które jakby nożem przeszyło jéj

serce. Po pierwszéj chwili żalu obudziło się w niéj jakby troszkę gniewu za zbytnią srogość tego spojrzenia i chęć przyjęcia obojętnie nieszczęścia, któremu już teraz zaradzić nie mogła. Zaczęła więc rozmawiać z żywością i nie spoglądała już na męża, który ponury i w milczeniu męczył się nad rozkrojeniem pieczeni. Gdy zaś już obiad przeminął szczęśliwie, odetchnęła głęboko i chciała wytłómaczyć się w kilku słowach przed mężem i przejednać go, ale on teraz zdawał się mieć oczy i uszy tylko dla pułkownikowéj. Zawiązała się między niemi bardzo zajmująca rozmowa, do któréj Eliza byłaby się z wielką przyjemnością przyłączyła, gdyby nie boleść która ją uciskała, zdawało jéj się bowiem, że coś zimnego i lekceważącego wybijało się na twarzy męża i w postępowaniu z nią. Coraz była cichszą i bledszą. Wszystko cisnęło się do świetnéj Emilii; dzieci nawet były jakby oczarowane. Henryk przyniósł jéj piękny kwiat, który sobie był u Ludwisi wyprosił. Petrea powzięła wielką skłonność ku swego ojca „pierwszéj miłości“, usiadła przy niéj na małym stołeczku i całowała jéj rękę ilekroć dostać mogła. Emilia sama zaś zwracała się prawie wyłącznie z błyszczącém okiem, wdzięcznym uśmiechem ku swemu dawnemu wielbicielowi.

„To pięknie!“ — pomyślała Eliza przyciskając

wydobywającą się z oka łzę, ale muszę zachować twarz swobodną.

Inną jednak musiała się ona wydać Jakobiemu; szybko wyrwał się z zaczarowanego koła Emilii, w które z innymi był pociągniony, wziął małą na kolana i usiadłszy począł opowiadać bajkę, która i dziecko i matkę zająć mogła. Wkrótce zgromadził w koło siebie wszystkie dzieci, nawet Petrea przybiegła aby słuchać czarownéj bajki Jakobiego; Elizę zaś tak zająć potrafił, że na chwilę o wszystkiém inném zapomniała. Tego tylko właśnie on chciał, ale radcy się to nie podobało. Przystąpił na chwilę bliżéj aby usłyszéć co tak zajmuje uwagę jego żony i rzekł do niéj półgłosem:

„Nie pojmuję wcale jak taka niedorzeczność może cię bawić, nie pojmuję także na co się może przydać karmienie dzieci takiemi rzeczami.“

Wreszcie powstała Emilia i przy pożegnaniu obsypała Elizę mnóstwem grzeczności, na co ta odpowiadała, jak mogła najlepiéj. Radca przyrzekł Emilii że ją zaprowadzi do jednego z miejsc najgodniejszych widzenia w mieście i udał się tam z nią. Inni goście pożegnali się i wyszli powoli. Starsze dzieci zabrał Jakobi do pokoju na naukę przeznaczonego, na lekcyę rysunku, młodsze mogły się bawić. Petrea zwabiła sobie Gabryelkę sercem piernikowém i nawet kawałeczek dała jéj pokosztować w nagrodę. Eliza poszła do swego pokoju.

Biedna Eliza! Nie śmiała spojrzéć we własne serce, w téj chwili czuła potrzebę nie myśléć, zapomnieć o sobie i przykrych dnia dzisiejszego wrażeniach. Widziała teraz przed sobą wolną od zatrudnień godzinę, godzinę nieprzerwanego spoczynku i pospieszyła do swego rękopismu, by zająć się czarowniejszemi chwilami życia, a zapomnieć o teraźniejszości. Boleść, któréj właśnie doznała z powodu drobiazgowych dolegliwości życia, użyczyła jéj najpiękniejszych wyrażeń do skreślenia harmonijnego życia przeszłości, bardzo drogiego jéj duszy. Pisała, pisała i pisała, a jéj serce płonęło, oczy napełniały się łzami, słowa paliły się, życie jaśniało, godziny upływały. Godzina o któréj radca pijał herbatę wybiła. Przychodził o téj porze zwykle do domu i lubił bardzo obaczyć żonę już w bawialnym pokoju, przy stoliku do herbaty otoczoną dziećmi. Eliza pilnowała się zwykle, by mu czynić tę przyjemność, i teraz z wybiciem siódméj obudziła się z swego upojenia. Odłożyła pióro i chciała właśnie wstawać, gdy radca wszedł.

Twarz jego zachmurzyła się gdy obaczył zatrudnienie żony. Przystąpił do niéj i wyrzekł ostro: „Dałaś nam dziś zły obiad Elizo! Lecz skoro pisanie romansu tak wiele ci czasu zajmuje, to nic dziwnego że zaniedbujesz domowe twe obowiązki; tém mniéj mogą cię one obchodzić, gdy zadosyć

uczynienie moim życzeniom jest ci rzeczą obojętną.“

Z łatwością byłaby mogła Eliza wytłómaczyć się i wszystko naprawić, ale ostra wymówka męża obraziła ją dotkliwie. Nie bez dumy i gniewu odrzekła: „Trzeba abyś miał trochę cierpliwości ze mną Erneście! Nie nauczono mnie odmawiać sobie wszelkich niewinnych przyjemności. Nie przygotowało mnie ku temu moje wychowanie ani położenie dawniejsze!“

Było to dotknąć radcę z najdraźliwszéj jego strony. Ostro i z oburzeniem odrzekł: „Powinnaś była zastanowić się nad tém nim mi rękę oddałaś, nim zstąpiłaś w tak niski i pełen trudów zakres. Teraz już za późno, teraz chcę“ — umilkł nagle, bo uczuł w sobie burzę, któréj sam lękał się wybuchu. Wrócił ku drzwiom, otworzył je i rzekł spokojniéj ale z lodowatym wzrokiem i głosem: „Chciałem ci powiedzieć że wziąłem bilety na jutrzejszy koncert. Myślałem że cię zastanę przy stoliku od herbaty; ale gdy o niéj nikt nie pomyślał — tam tak pusto i próżno jak gdyby powietrze było w domu — nie zadawaj sobie trudu, napiję się herbaty w klubie.“ Radca wyszedł i zamknął drzwi porywczo.

Eliza usiadła — nie mogła utrzymać się na nogach — twarz zakryła drżącemi rękami. „Dobry Boże! Do tego więc przyszło? Erneście, Erneście! Jakież słowa, jaki wzrok! A ja nieszczęśliwa, cóż

powiedziałam!“ — Takie były urwane, w pół jasne myśli Elizy, podczas gdy twarz jéj obfite łzy zalewały.

Słowa! Słowa! Słowa! powiada z pogardą Hamlet. — Ale niechże nas Bóg uchowa od niszczącéj słów siły! Są słowa rozdzierające serca gorzéj niż ostre miecze, słowa które zadają rany nigdy nie zgojone.

Eliza płakała mocno i długo; jéj dusza do głębi była wzruszona.

W chwilach gwałtownéj walki zbliżają się do człowieka złe i dobre duchy. Otaczały one także Elizę i tak do niéj mówiły:

Złe duchy.

„Pomnij o wszystkiém czego się wyrzekłaś, o twojéj własnéj wartości, o tylu poniesionych drobnych niesprawiedliwościach, o tylu gorzkich chwilach spowodowanych ostrością twego męża. Dla czegóż masz pokornie w prochu się czołgać? Nie, podnieś się uciśniona! Podnieś się obrażona małżonko! Pomnij o twéj godności, twoich prawach! Nie daj się ujarzmiać, okaż siłę charakteru! Odpłać coś wycierpiała! Ty także potrafiłabyś dręczyć i karać! Nerwowe cierpienia, spazmy mogą ci być ucieczką. Użyj twéj siły, oddaj za swoje.

Dobre duchy.

Pomyśl o własnych twych błędach i ułomnościach. Pomnij ile doznałaś cierpliwości, dobroci i tkliwéj troskliwości, ile pięknych chwil przeżyłaś. Pomnij o zacności, szlachetności charakteru twego męża, a oraz jak krótkiém jest życie, jak niejednę nieuniknioną a jednak łatwo złagodzoną gorycz z sobą przynosi, a nadewszystko zaś pomnij jak nieskończoną, wszystko naprawiającą jest potęga miłości. Lękaj się więzów samolubstwa, oswobódź się z nich nową ofiarą miłości i rozjaśnij domowe twe niebo. Chmurka która się po niém przesuwa mogłaby stać się niszczącą i szkodliwą, lecz może jeszcze minąć bez śladu. Tchnij, o tchnij w nią silnym miłości oddechem!

Szczęście całego długiego życia zależy często od posłuchu danego w podobnéj chwili jednym lub drugim z niewidomych doradzców, a człowiek otwiera sobie na ziemi drzwi piekła lub nieba. Eliza usłuchała głosu dobrych duchów. Długo rozmawiała z niemi, a w miarę jak wywoływała w duszy czystsze wspomnienia, było jéj lżéj i spokojniéj. Ogniem miłości oświecona jaśniéj przejrzała rozmaite okoliczności; zrozumiała co jéj uczynić wypada z jéj romansem, a zamiar który powzięła słodkim był sercu. Postanowiła że będzie on ostatnim jéj ręką

skreślonym, że nigdy więcéj jéj mąż z téj przyczyny nie będzie pił herbaty w klubie (ale z winowajcą romansem jeszcze on się pogodzi!) Ona zaś da obiad pułkownikowéj, który naprawi zupełnie nieszczęście owego improwizowanego, i.... „żeby tylko Ernest prędko do domu powrócił! Już ja go ułagodzę i przejednam.“

Był to dzień kąpieli dzieci; gdy więc nadeszła przeznaczona na to godzina, Eliza kazała Brygicie przygotować wszystko do kąpieli; sama zaś uspokoiwszy się trochę obmyła wodą różaną ślady łez i poszła do pokoju dzieci.

Dzięki Bogu za wodę! było pierwszą myślą Elizy przy widoku który ją oczekiwał. Delikatne jasne ciałka dzieci w czystéj ciepłéj wodzie, blask oświecającego je kominkowego ognia, białość lakierowanéj wanny, wesołe pluskanie się w niéj i niewinne igraszki małych aniołków, nawet zadowolona twarz Brygity w białym czepku, jéj ochocza gorliwość z jaką wychwalając ustawicznie „alabastrowe najśliczniejsze rączki, alabastrowe szyjki, alabastrowe nóżki“ i t. d. nacierała je mało co bielszą pianą mydlaną i zanurzała dzieci, tak że tylko wesołe główki z wanny wyglądały — wszystko to razem łączyło się w jeden obraz pełen życia i wdzięku. Eliza jednak nie mogła go w téj chwili sama używać. Myśl o tém co się zdarzyło, pragnienie pogodzenia się z mężem, obawa że on długo nie

przyjdzie i zbyt się rozgniewał, by go łatwo można przejednać niespokojnością ją nabawiały. Śmiać się jednak musiała, gdy Gabryela zanurzona w wodzie przestraszyła się i zawołała: topię się, topię! Objęła ją matka dla uspokojenia białemi rękami, a „mała“ śmiała się i pluskała jak ryba w wodzie.

Nagle kwiaty obsypały matkę i dziecię, a Gabryela krzyknęła z radości i wyciągnęła małe rączki za lewkoniami, różami, goździkami, które w około niéj padały. Eliza obróciła się zdziwiona, a jéj zdumienie zmieniło się w uczucie najsłodszéj roskoszy, gdy usta Ernesta dotknęły się jéj czoła.

„Ach to ty!“ obejmując serdecznie jego szyję rękami i tuląc się do łona zawołała. „Przytém wszystkiém cały zmoknę“— rzekł radca uśmiechając się — nie usunął się jednak od wzięcia udziału w kąpieli, bo schylił głowę ku Gabryeli, ucałował ją i dał się obryzgać wodą.

Dzięki Bogu! Już wszystko dobrze! Teraz najlepiéj nie wspominać żadném słówkiem téj nieznośnéj historyi — pomyślała Eliza wchodząc do bawialnego pokoju, gdzie już ją mąż poprzedził.

Radca pijąc herbatę w klubie, z niejakiemi odmianami tęż samą rozmowę co Eliza w jego nieobecności prowadził z niewidomemi duchami. Skutkiem czego były odwiedziny pokoju dziecinnego, kwiaty przyniesione dla Elizy i pojednawczy pocałunek, który zatarł wszelką gorycz niebacznych

obraźliwych słów. Czuł on teraz dobrze, że już wszystko naprawił, że Elizy łagodna dusza więcéj nie żądała; ale może właśnie dla tego coraz bardziéj był nierad z siebie. Jéj spłakane czerwone oczy bolały go, zwłaszcza gdy słodko na niego patrzyły; czuł że nadużył władzy jaką mu okoliczności dały nad żoną, że był dla niéj zbyt ostrym; nie mógł się uspokoić, potrzebował wyrzec słowo—słowo, które z trudnością wychodzi z ust męzkich; ale Ernest zbyt był silnym, aby się przed niém wachał. Gdy więc weszła Eliza, podał jéj rękę i rzekł serdecznie:

„Przebacz mi Elizo! Dziś byłem niesprawiedliwym i przykrym dla ciebie.“

„O przebacz ty mnie Erneście!“—rzekła rozczulona Eliza, przyciskając jego rękę do swojéj piersi —„i niech przepadnie wszystko co pokój mięsza na świecie!“—Lecz w tejże chwili gdy tak tkliwie jednali się, wszedł posłaniec od pułkownikowéj z karteczką do radcy i książką dla niego, a dwoma małemi buteleczkami eau-de-rose dla Elizy, „która — pisała Emilia w karteczce — wiem że lubi ten zapach.“ Rumieniec przebiegł lice radcy podczas gdy wespół z Elizą czytał karteczkę.

„Bardzo miła i uprzejma kobieta“ — wyrzekł — „muszę jéj zaraz odpowiedzieć.“

„Erneście!“ rzekła Eliza — „możebyśmy ją zaprosili jutro na obiad. Ja już pomyślałam o nie-

których przysmakach, które sądzę że mi się udadzą. Potém moglibyśmy razem być na koncercie i ona u nas wieczerzać.

„To wyborna myśl; moja najdroższa Elizo dziękuję ci za nią!“ rzekł radca uradowany.

Tak, żeby teraz nie było pułkownikowéj, żeby nie było Jakobiego i żeby nie było żadnego „żeby“, wtedy wszystko na najlepszéj stałoby drodze. Ale tymczasem było inaczéj, i

---

IX.

JEDNA JASKÓŁKA LATA NIE STANOWI.

Zbyt wiele chaotycznych żywiołów zebrało się teraz nad rodziną Franków, aby jeden jasny promień słoneczny mógł je rozproszyć. Żadne z małżonków same z sobą nie było w zgodzie. Radca zachwycał się swoją dawną ulubioną, a ona w istocie czyniła co mogła, by go w swe ująć okowy. Ernest Frank byłby zimno i dumnie odtrącił wszelkie wyraźne pochlebstwa, ale nie był uzbrojonym przeciw nieznacznemu i delikatnemu, jakiego użyła Emilia, stawiając zawsze siebie ze swém niepospolitém ukształceniem i rozumem o wiele niżéj od niego. Jakaż miła i interesująca kobieta! myślał

o niéj coraz częściéj, chociaż rzadko myśl tę wyrażał. Eliza oczywiście traciła urok w jego oczach w miarę jak go tamta pozyskiwała, zwłaszcza gdy w Emilii znajdował to, czego nieraz widział brak u żony: udział i współczucie w swoich czynnościach obywatelskich i wiążących się z niemi przedmiotach żywo go obchodzących.

Eliza z swojéj strony nie była spokojną; bolał ją stosunek wiążący się pomiędzy jéj mężem i Emilią, ulgę zaś i pociechę znajdowała w przywiązaniu Jakobiego, lubo namiętne barwy, jakie nieraz przybierało, poczynały ją niepokoić. List który w tym czasie do swéj siostry Cecylii pisała, świadczył o jéj usposobieniu.

Dawno nie pisałam do ciebie Cecylio! dla czego? ja sama nie wiem właściwie? Nie wiem co się dzieje ze mną i z innemi! Niepokój, ciemność we mnie i koło mnie! Och pragnę by się rozjaśniło. Wiesz ty—że Ernesta „pierwsza miłość“ jest bardzo piękną i świetną. Zdaje mi się, że jestem zazdrosną o nią. Wczoraj po raz pierwszy od lat wielu byłam na wielkiéj zabawie. Dla przypodobania się Ernestowi ubrałam się bardzo starannie i miałam kwiaty we włosach. Wyjeżdżając z domu byłam zadowolona z siebie. Ernest miał dopiero późniéj przyjść. Pułkownikowę S. zastałam już w towarzystwie; śliczna i strojna usiadła obok mnie. Przed nami było stojące zwierciadło: spojrzałam

weń ukradkiem i ujrzałam — cień mój. Zrazu myślałam że to złudzenie i znowu popatrzyłam w zwierciadło, lecz powtórnie ukazało mi niemiłosiernie blady cień przy pięknéj i kwitnącéj Emilii. Wtedy uczułam że się już skończyło — minęła niepowrotnie moja młodość, mój kwiat! Niech mnie tylko mąż i dzieci kochają, a obejdę się bez młodości i piękności. Jednak znowu spojrzałam w zwierciadło i posmutniałam mimowolnie. Emilia także weń spoglądała porównywając mnie z sobą, ale widocznie z inném niż ja uczuciem. Wtém wszedł Ernest. Spostrzegłam że i on nas porównywa. Emilia zajęła go sobą cały wieczór. Czułam się niezdrową; byłabym pragnęła mą głowę na nim oprzéć, ale on ani razu nie zbliżył się do mnie. Może myślał żem w złym humorze; może tak wyglądałam. Pojechałam przed wieczerzą do domu. On został. Jadąc sama w najętym brzydkim powozie przez puste ulice, uczułam smutek, któregobym opisać nie potrafiła. Gorzkie myśli powstawały w mojéj duszy— bałam się ich. U drzwi domu przyjął mnie Jakobi. Czekał na mnie, chcąc mi powiedzieć coś miłego o moich dziatkach; zdawało się jak gdyby odgadł uczucia, które mną tego wieczora poruszały, przygotował mi na ochłodę moje ulubione owoce; jego przyjaźń, jego przywiązanie pokrzepiły mnie; to tak miło być kochaną.

. . . . . .

Każde serdeczniejsze zbliżenie się, każdy nowy stosunek pomiędzy ludźmi ma swą niebezpieczną stronę i pokusę; najlepsze, najszlachetniejsze, jeszcze często w zgubną może wyrobić się skłonność. A jak temu zaradzić? Jak się oswobodzić a węzła nie rozerwać? jak „odjąć truciznę a ostrza nie zatępić?“ Cecylio, o teraz potrzeba by mi przyjaciółki, potrzeba ciebie, ciebie do któréj bym się rada uciec i znaléźć siłę przeciw mojéj własnéj słabości i niepokojącym mnie okolicznościom. Jestem nierada z siebie, nierada z .... ach, on tylko, gdyby chciał mógłby wszystko naprawić.

. . . . . .

O Cecylio, jakiż to pochmurny, mglisty czas mego życia! Zapowiadaż on dzień czy noc? Mój wzrok zaćmiony — nie widzę drogi którą iść mam; jednak — do Tego się udam, który wyrzec może: niech się stanie światło!

. . . . . .

Już lepiéj i jaśniéj. Dzięki Bogu! za kilka godzin ten dzień się skończy, tęsknię za tém. Dziś wieczór mamy w domu balik dziecinny. Emilia przybędzie. Nie możemy sobie się podobać w żaden sposób; ona dla mnie zbyt zimna, zbyt dowcipna i zbyt .... ale uczynię co tylko potrafię aby być uprzejmą gospodynią; a gdy dzień ten się skończy, usiądę przy moim pięknym chłopcu, będę patrzéć jak on spi i dziatkami memi się cieszyć.

X.

KONIEC DNIA.

Wieczór nadszedł, a z nim światło i goście. Elizy powierzchowność cała tchnęła wielką, na zapomnieniu o sobie opartą uprzejmością. Była prawie serdeczną względem pułkownikowéj, starała się usilnie o zadowolenie wszystkich, grała na fortepianie dzieciom do tańca i zdawała się po to tylko tam znajdować, aby wszystkim służyć. Piękna Emilia zaś myślała jedynie o sobie, była żywsza jeszcze i świetniejsza niż kiedykolwiek i zgromadzała jak zwykle wszystkich panów koło siebie. Prowadziła rozmowę bardzo żywą; przechodząc od polityki do literatury, a od téj do teatru, przyczém trafnie zcharakteryzowała fabrykę sztuk teatralnych Skribego i Melleswilla. „Zresztą“—dodała nakoniec—„ci panowie czynią rozumnie, że z pośpiechem spuszczają kortynę, skoro bohatera i bohaterkę zaprowadzą do ołtarza. Romans również zawsze téj rozsądnéj drogi się trzyma; gdyby trwał dłużéj, niktby nie był w stanie go czytać.“

„Dla czego?“ zapytał radca seryo.

„Bo“ odrzekła Emilia—„z końcem tego złotego czasu nikną złudzenia życia, a zostaje rzeczywistość w całéj swéj ciężkości i nędzy. Patrzcie tylko

na młodą parę w jutrzence jéj połączenia! Jak gorąca wtedy miłość, jak wszystko przenika i upięknia, jak płonie, przebija się we wzroku, słowach i pięknych czynach, jak życie całe urokiem poezyi uświetnia! „Ty! Ty!“ jest jedyną myślą młodéj pary. Lecz spojrzmy na nią w kilka lat późniéj. „Ja, ja, i to co mnie przyjemne“ wszystkiém wtedy. Uwielbiający, pełen poświęcenia kochanek, stał się rozkazującym małżonkiem, którego trzeba słuchać i do niego się stósować. Pełna miłości, gotowa do każdéj ofiary kochanka, staje się ociężałą, skłopotaną gospodynią, rozprawiającą o drożyznie, niedbałych sługach i zachodzie domowym. A jakie zwierzenia zapełniają teraz godziny spędzane têteá tête? „Boże uchowaj, dziecko, czy już masło wyszło? Przecież niedawno dałem ci pieniądze na masło. Uważaj téż aby kucharka oszczędniéj się z masłem obchodziła! Ja nie ścierpię takiej rozrzutności w moim domu. Czy chcesz jeszcze czego?

„Tak, mój drogi! Ja i dzieci potrzebujemy nowych sukien. Piotrusi płaszczyk się podarł a Pawełek ze swojego wyrósł. Moje stare futro także nie może trwać wiecznie.“

Teraz, szczęściem nazwać można, jeśli tak zajmująca rozmowa nie przejdzie w brzydką kłótnię i jeśli w szczęśliwéj domowéj spokojności ziewanie tylko zastąpi pieszczoty, które już ustały. Jak robak toczy kwiat, tak trudy, przykrości i troski ży-

cia domowego niszczą szczęście małżeńskie; zaprawiają goryczą umysły małżonków, którzy chociaż do śmierci pieszczotliwe dają sobie nazwy, wymawiają je jednak nieraz z wewnętrzną cierpkością i niechęcią. To jest zresztą rzeczą zupełnie naturalną, i małżeństwo ulega w tém przyrodzonemu prawu wszystkiego co na ziemi istnieje. Wszelkie kształty życia noszą w sobie zaród zepsucia i śmierci, a wąż jadowity toczy nawet korzeń pierwoświatu.« (*).

Kilku słuchaczy a między tymi Jakobi śmieli się głośno z obrazków pułkownikowéj, radca jednak ani się uśmiechnął, a gdy mówić przestała odrzekł seryo i z powagą wzbraniającą dalszéj satyry:

»Gdyby tak było, Emilio, to nasze życie nawet w najświetniejszych chwilach byłoby bez wartości, a one słusznie złudzeniami nazwane; — ale tak nie jest, skreśliłaś najniższą stronę małżeństwa, ale nie dotknęłaś najlepszéj i najprawdziwszéj. Nie zaprzeczam że w małżeństwie jak w każdym stanie w życiu są przykrości do ponoszenia, ale jestem przekonany, że mogą i powinny być przezwyciężone, i są, tam gdzie małżonkowie warci szczęścia. Może wtenczas zdarzyć się niedostatek, troski, nieraz gorzka do przebycia chwila, lecz wszystko to przejdzie łatwo i bez śladu. Węzeł miłości i wierności

(*) Nidheg.

wzmacnia się bez nich, a często i one go umacniają. Mówiłaś Emilio o zniszczeniu i śmierci, jako o rozwiązaniu dramatu życia. Lecz zapomniałaś o odrodzeniu, o odmłodzeniu, o którém nawet mówi staro-północna Wala. I małżeńskie życie oparte jest na téj odwiecznéj zasadzie odmłodzenia. I każda przebyta walka, niebezpieczeństwo, boleść zmienia się potém w błogosławieństwo nad domem, nad małżonkami, którzy jeszcze się lepiéj zrozumieli, serdeczniéj zjednoczyli.«

Radca mówił z niezwykłą żywością i wzruszeniem; jego wyrazisty wzrok szukał i spotkał oczy Elizy. Niespostrzeżenie zbliżyła się do niego; z dotkliwą boleścią słuchała gorzkiéj satyry Emilii, w któréj czuła że cośkolwiek było prawdy. Lecz gdy radca mówił, w jego słowach uznała prawdę zupełną, serce jej uderzyło silniéj i swobodniéj, duch przejrzał nową oświecony jasnością. Patrzyła na męża z pochyloną głową naprzód, tkliwym i ufnym wzrokiem, zapomniawszy o sobie i chwytając chciwie uchem jego słowa. W téj chwili spotkały się ich oczy i wiele, wiele sobie powiedziały. Rumieniec radości okrył lica Elizy i upiększył je. Słodka roskosz, która nagle ożywiła całą jéj istotę i wybiła się w twarzy połączona z czystością jéj czoła, piękną kibicią, wdzięcznemi ruchy, uczyniła ją o wiele powabniejszą od pułkownikowéj. Radca często jéj towarzyszył oczyma, podczas gdy się

uprzejmie gośćmi zajmowała, albo z małą Gabryelą na rękach podzielała tańce dzieci, do których przygrywały na cztery ręce wychowanice Eweliny. Uczuł iż ostyga nagle dla swojéj „pierwszéj miłości“ przy któréj się znajdował, a ostrym głosem z jakim powiedziała małéj pieszczotliwéj Petrei „by się tak nie naprzykrzała“ wcale nie został rozgrzany.

„Nasza Ludwisia będzie kiedyś bardzo ładnie tańczyć“, rzekł radca do żony, patrząc z zadowoleniem na swojéj córki małe pas brisés i chassés, podczas gdy dwunastoletni Nils Gabryel Sternhek z wielką powagą i grzecznością z swoją damą się obracał i rozmawiał.

Tymczasem nauczała marszałkowa Emilię jaki jest charakter i obyczaje Francuzów; pułkownikowa, która od czasu rozprawy o małżeństwie trochę cierpki przybrała humor, prostowała dosyć ostro jéj uwagi, okazując że jest lepiéj uwiadomioną, lecz otrzymała wyraźne zaprzeczenie i napomnienie od téj—która nigdy we Francyi nie była.

Jakobi towarzyszył wszędzie Elizie z zakochanym wzrokiem i zdawał się być zachwyconym tego wieczora jéj powabami.

„Fe, wstyd zabierać dla siebie wszystkie cukierki!“ napominała Ludwisia małego S., grubego, spokojnego chłopca, który z tąż samą stoiczną obojętnością zabrał cukierki i wysłuchał napomnienia.

Ludwisia spojrzała na niego oburzonym wzrokiem i swoje cukierki dała małéj dziewczynce, która się skarżyła że dla niéj nic nie zostało.

Wieczerza nadeszła. Emilia, któréj oczy niezwykłym blaskiem jaśniały, zdawała się przeczuwać iż urok swój traci, chciała go gwałtownie odzyskać, a jéj dowcipna, ożywiona rozmowa elektryzowała towarzystwo. Jakobi pił jeden kielich wina po drugim, wzburzone jego uczucia wybijały się w twarzy, mówił i śmiał się głośno, lecz zbyt wymownym i zdradzającym go wzrokiem spoglądał ustawicznie na Elizę. Spojrzenia te nie uszły bystrego wzroku pułkownikowéj.

„Ten młody człowiek“—rzekła cicho i znacząco spoglądając na Jakobiego do radcy— „jest bardzo przyjemny i utalentowany; czy spokrewniony z Elizą?“

„Nie!“ rzekł radca, patrząc na nią trochę zdziwiony — „on dopiero od trzech miesięcy stał się członkiem naszego domu.“

„Tak!“—odpowiedziała pułkownikowa znacząco i seryo—„mniemałam—zresztą“—dodała niby niedbale — „Eliza w istocie jest tak miłą i uprzejmą, że temu który codziennie z nią jest, trudno jest nie kochać jéj.“

Radca uczuł jaszczurcze ukłócie, lecz odpowiedział pięknéj sąsiadce z wzrokiem płonącym szlachetném oburzeniem: „Masz słuszność! i nie znam

kobiety któraby zasługiwała na większy niż ona szacunek i miłość.“

Pułkownikowa przygryzła usta i pobladła, lecz jeszcze gorzéj byłaby się zmieniła, gdyby była odgadła uczucie jakie teraz obudziła w piersi dawnego wielbiciela. Radca miał wzrok bystry ku przeniknieniu moralnéj niskości, a gdzie tę raz dojrzał, to mu już ją żadne dary natury ani rozumu nie pokryły. Poznał zamiar Emilii i pogardził nią; w téj chwili szpetną była w jego oczach. Jednakże zakłóciła jego spokojność. Spoglądał często na Jakobiego i zauważał jego wzrok i jego uczucia; patrzał na Elizę i spostrzegł że jest niespokojną i jego wzroku unika.

Straszne kurczowe uczucie wstrząsło jego duszą; by ukryć swe uczucia stał się żywym i hałaśliwym, ale było coś nieprzyjaznego, szyderczego w jego słowach, co jednak przy ogólnéj wesołości uszło uwagi drugich. Nigdy jeszcze asessor Munter nie był tak wesołym, tak miło niegrzecznym dla całego świata. Marszałkowa i on krzyczeli sprzeczając się niesłychanie. Wśród kłótni wstali od stołu i przeszli z innemi napowrót do pokoju bawialnego. „Muzyki! na miłość boską muzyki!“ zawołał teraz asessor z rozpaczliwą pantominą, a pułkownikowa i Eliza pobiegły do fortepianu. Po krzyczących, kłótliwych głosach, tém piękniéj zabrzmiało jedno z najmelodyjniejszych nokturnów

Blanginiego — dźwięki natchnione włoskiém niebem wywoływały w duszy obrazy włoskiéj nocy, kwieciste łąki, miłość, śpiew i rozlewały jakiś niewypowiedziany, czarowny urok. „Un eterna constanza nelle' amor!“ były słowa które często wśród najmilszych dźwięków kończyły zwrotki.

„Un eterna constanza nelle' amor!“ — powtórzył Jakobi cicho i namiętnie, cisnąc swe ręce do serca i towarzysząc Elizie do okna, gdzie chciała urwać różę dla pułkownikowéj, lecz gdy ręka Elizy dotknęła się róży, usta Jakobiego dotknęły się jéj ręki.

Emilia śpiewała jeszcze jedną piosnkę, która całe towarzystwo żywo zajęła, ale radca stał milczący i ponury. Dzisiaj wieczór wyrzeczone do niego słowa obudziły jego śpiące sumienie, a przy spojrzeniu rzuconém teraz na Elizę i Jakobiego uczuł ziemię drżącą pod swemi stopy. Widział co zaszło przy oknie i tchu mu brakło. Burza zawrzała w jego piersi. Odwracając oczy spotkał wzrok badawczo i przenikliwie na niego zwrócony. Wzrok innéj osoby w téj chwili byłby go jak sztyletem raził, ale był to wzrok Muntera i działał przeciwnie. W chwilę potém obaczył radca swego przyjaciela piszącego coś na kawałku papieru, zbliżył się więc i przeczytał następne słowa:

„Widzisz źdźbło w oku brata, a nie widzisz belki we własném?“

„To do mnie?“ zapytał radca głuchym, o mocném wzruszeniu świadczącym głosem.

„Tak!“ była podobnież dana odpowiedź.

Radca wziął zapisany kawałek papieru i ukrył go na piersi.

Był blady i milczący i spojrzał w głąb własnéj duszy.

Goście powstali zabierając się do odejścia. Radca przyrzekł, że odprowadzi pułkownikowę do domu, lecz teraz stał milczący i zimny jak bryła lodu obok swojéj „pierwszéj miłości“, która wkładając futro na siebie żartowała wesoło z kilku panami. Marszałkowa i asessor kłócili się z sobą do ostatniéj chwili. Podczas tego Eliza zbliżyła się szybko do Jakobiego, który stał trochę na boku i rzekła przytłumionym głosem: „Mam z panem do pomówienia i oczekuję cię gdy wszyscy odejdą w bawialnym pokoju. Jakobi ukłonił się; palącym rumieńcem spłonęły jego lica. Radca rzucił przenikliwy wzrok w tę stronę i powiódł ręką po bladéj swéj twarzy.

„Widuję chętnie moich współbliźnich“—wołała krzykliwie pani Gunilla—i chętnie z niemi obcuję. Mój Boże, jeśli oni nie zawsze przyjemni, to i ja wyjątkiem nie jestem. Powinniśmy nawzajem sobie pobłażać, bo wszyscy mamy wady. Dajmyż więc pokój ustawicznym względem drugich wymaganiom. Jak Pan Bóg stworzył świat i ludzi, tak

trzeba z nich być zadowolonym. Nie cierpię gdy kto ustawicznie gani, krytykuje i krzywi się na wszystko wołając: „Tego nie chcę! Tamto mi się nie podoba! To bezrozumne! Tamto nieznośne, a to nudne, a tamto głupie!“ Tak właśnie jak gdybym ja sama tylko była znośną, przyjemną i dowcipną. Nie, mnie inaczéj nauczono; nie jestem jeniuszem, nie posiadam talentów ani mądrości, ale mnie nauczono zachowywać się jak należy względem drugich.“

Jednocześnie z tą moralną nauką wołał asessor próbując ją przekrzyczéć: „I jakąż znajdujesz pani przyjemność w tém przeklętém życiu towarzyskiém? Nie, nie masz żadnéj. Czémże jest życie towarzyskie, jeśli nie ustawiczném dążeniem znajdowania się po to w świecie i między ludźmi żeby ich nie cierpieć; pracujemy, ubiegamy się aby być gdzieś zaproszeni po to, aby się tam gniewać i być w złym humorze, skarżyć na nudy i trud. Zapraszamy do siebie mnóstwo ludzi, a w duszy odsyłamy ich do diabła—całe zaś to dążenie do tego tylko prowadzi, by sobie życie nędzniejszém, przykrzejszém uczynić, daléj się od szczęścia odsunąć. No w imie Boże! Adieu, adieu, adieu! Gdy się kobiety żegnają, to końca temu nie ma!“

„To jedyne prawdziwe słowo, jakie pan wyrzekłeś dzisiaj!“ zawołała marszałkowa śmiejąc się we drzwiach, wychodząc wraz z Jakobim, który ją

odprowadzał. Radca na chwilę przedtém wyszedł. Eliza została sama i weszła do bawialnego pokoju. Nagle usłyszała za sobą szybkie kroki. Pomyślała: Jakobi! obróciła się i obaczyła męża. Ale takim go jeszcze nigdy nie widziała. Twarz jego wyrażała tak gwałtowne natężenie i wzburzenie uczucia, że się przestraszyła. Objął ją ramieniem i mocno wpatrzył się jéj w oczy, jakby chciał duszę przeniknąć. „Erneście! Erneście! bądź spokojnym!“ szepnęła Eliza mocno wzruszona jego widoczném cierpieniem, którego przyczynę przeczuwała. Radca ujął jéj rękę i przyłożył ją sobie do czoła okrytego zimnym potem. Nagle odsunął się i wyszedł.

Przejdźmy teraz do Jakobiego.

Wino, miłość i natężone oczekiwanie tak wzburzyły fantazyę młodzieńca, że nie wiedział co czyni, czy idzie, czy powietrzem się unosi, i więcéj niż raz na schodach o mało nie wywrócił marszałkowę, która wyrzekła z dobrocią, lecz zdziwiona: „Boże uchowaj! Mój przyjacielu! Nie pojmuję jak ja dziś idę czyli jak ty idziesz! — podobno się oboje potykamy — o, teraz znowu po szalonemu idziemy — nie, dziękuję, ja chcę mój nos zachować, jakkolwiek krzywo siedzi. Zdaje mi się, że sama lepiéj i pewniéj pójdę trzymając się.“ — „Po tysiąc razy Panią przepraszam“ — zawołał Jakobi, ściskając mocno ramię pani Gunilli — „to moja wina; ale teraz pójdziemy doskonale. Mnie się głowa kręciła.“

„Tak, przyjacielu? Zawrotu głowy czy serca trzeba unikać, bo jeszcze krzywiéj pójść można niż teraz—znowu się to z nami dzieje. He, he, he, he! Ale słuchaj kochany Jakobi“ — rzekła nagle seryo pani Gunilla—„powiem ci jednę rzecz, a ta jest“—

„Racz mi przebaczyć najłaskawsza pani“ — przerwał znowu Jakobi; „mnie — jest niedobrze; a—otóż, już jesteśmy u drzwi pani! Proszę darować“ — i z temi słowy rzucił się Jakobi nazad na schody. Przed drzwiami pomieszkania Franków odetchnął. Myśl o czekającéj go tajemnéj z Elizą rozmowie napełniała go radością i niespokojnością. Nie mógł jasno myśli zebrać i z żywo bijącém sercem wszedł do bawialnego pokoju. Gdy ujrzał jéj białą piękną postać, oświeconą czarownem światłem lampy, upojony, bezprzytomny chciał jéj do nóg upaść, gdy Eliza nagle lecz z godnością cofnęła się o kilka kroków i wyrzekła stanowczo, chociaż drżącym głosem: „Panie Jakobi! słuchaj mnie!“

„Słuchać panią!“ zawołał namiętnie—„o żebym ja wiecznie mógł słuchać głosu pani! żeby“ — „Przestań pan!“ przerwała Eliza z niezwykłą surowością. „Ani słowa podobnego więcéj, albo nasza rozmowa skończoną, a my rozdzieleni na zawsze!“

„Mój Boże!“—zawołał Jakobi—„cóż—“

„Proszę mnie posłuchać“—mówiła Eliza—„po-

wiedz mi panie Jakobi, czym kiedykolwiek jakim postępkiem zasłużyła na twe lekceważenie?“

Jakobi zdumiał się. „Jakież pytanie?“ wymówił z trudnością blednąc. „Jednakże“ — powiedziała Eliza wzruszona — „muszę ci je zadać, wywołałeś je dzisiejszém swojém postępowaniem. Czyż mniemasz że ja, matka kilkorga dzieci, żona, mogłabym pochwalać uczucia, które dziś wieczór tak nierozsądnie okazywałeś? Czy mniemasz że co innego jak gniew i boleść wzbudzić we mnie mogą? Panie Jakobi, sądzę że się bardzo mylisz — a jeśli jaką nieroztropnością w mojém postępowaniu przyczyniłam się do tego, to niech mi Bóg przebaczy. Ukarałeś mnie bardzo za okazywaną ci przyjaźń panie Jakobi — i jeśli teraz zerwę stosunek, który myślałam że upiękni mi życie, to sam temu będziesz winien. Jeszcze raz takie spojrzenia, takie wyrazy jakich pozwoliłeś sobie dziś wieczór, a — ja sama usunę pana z mego domu.“

Rumieniec wstydu i gniewu okrył lica Jakobiego. „Doprawdy!“ wyrzekł „na taką surowość nie zasłużyłem.“

„Wybadaj i osądź sam siebie panie Jakobi, a ostrzejszy niż mój wydasz wyrok. Powiadasz że mi sprzyjasz, a jednak nie wachasz się niszczyć lekkomyślnie pokoju i szczęścia mego życia. Widziałam dziś oczy nieprzyjazne zwrócone na mnie i na pana, a w duszy mego męża powstały uczucia,

których nigdy z mojéj przyczyny znać był nie powinien. Pan zaburzyłeś pokój domu, gdzie cię z zaufaniem i przyjaźnią przyjęto. Ale wiem — dodała Eliza łagodniéj — że to nie było ze złéj woli; nie przez niegodziwe zamiary, lecz przez lekkomyślność jedynie targnąłeś się pan na najświętsze związki. Nie zastanowiłeś się jeszcze prawdziwie nad swojém życiem, stanowiskiem i obowiązkami wśród téj rodziny.“

Jakobi głęboko wzruszony zakrył twarz rękoma.

„A takie zastanowienie się“ — mówiła daléj Eliza z zapałem i serdecznością — „takie przejęcie się swojém powołaniem jakże piękne i godne człowieka. Panie Jakobi, wybawicielu mego dziecka! młody mój przyjacielu! nie mówiłabym tak do ciebie, gdybym nie wierzyła w twoją szlachetność i zacność, gdybym się nie spodziewała że pozyskam w tobie dla siebie i mojego Ernesta przyjaciela na całe życie; o panie Jakobi! słuchaj mojéj prośby! Napotkałeś w nas ludzi, którzy serdecznie pragną być twymi prawdziwymi przyjaciołmi. Uczyń żebyśmy cię wysoko szacować mogli i życzliwości naszéj dla siebie nie zmieniaj w boleść. Przezwyciężż, pokonaj i oddal od siebie to nierozsądne uczucie, któremu na chwilę się poddałeś! Uważaj we mnie jakby siostrę, matkę, tak — dodała Eliza sama zdziwiona tém słowem, ale z jakiémś szczególném przeczuciem — któż wié czy mnie jeszcze

kiedyś matką nie nazwiesz. A jeśli rzeczywiście chcesz mi dowieść miłości i wierności, to ja przyjmuję te uczucia, ale dla mego syna. Jeśli chcesz panie Jakobi pozyskać sobie moje błogosławieństwo, moją wieczną wdzięczność, to bądź mojemu dziecku, mojemu Henrykowi wiernym przyjacielem i dobrym przewodnikiem. Twe zdolności nauczycielskie są niepospolite, serce dobre, umysł wykształcony; otwarta ci droga do wszystkiego co ludziom jedna szacunek i miłość bliźnich: — o nie opuszczaj téj drogi, idź nią wytrwale“ —

„O przestań pani!“ zawołał Jakobi — teraz widzę prawdę! Anielska istoto! przebacz mi moją winę! Wszystko, wszystko uczynię, aby tylko zasłużyć na twój szacunek i przyjaźń. Pani przeniknęłaś moje serce, przeistoczyłaś je—chcę się stać lepszym, zacniejszym człowiekiem; tylko powiédz pani że mi przebaczasz, że możesz mi jeszcze sprzyjać!“

Jakobi porwany uczuciem upadł na kolana; i Eliza była mocno wzruszona, łzy płynęły z jéj oczu, gdy podała Jakobiemu rękę i schyliwszy się wyrzekła: „Przyjaciółką będę ci zawsze!“

Uspokojeni i z rozjaśnioną twarzą podnieśli się oboje, i mimowolny dreszcz ich przeszedł, gdy— radcę w pokoju ujrzeli. Twarz jego była blada i surowa.

Jakobi śmiało postąpił ku niemu. „Panie radco“

rzekł stałym lubo skromnym głosem— „widzisz tu człowieka.“

„Przestań panie Jakobi!“ — przerwała prędko Eliza—„ni wstydzić się żeś ukląkł, ni tłómaczyć się nie potrzebujesz. Nieprawdaż Erneście, — dodała z całą czystą swobodą niewinności — ty nie żądasz żadnego tłómaczenia? Wierzysz, gdy ci mówię, że Jakobi więcéj niż kiedykolwiek na twą przyjaźń zasługuje. Pomiędzy nami trojgiem zawarty związek, którego ufam w Bogu nic już nie rozerwie, żaden zatruty język nie tknie. Wszak mi wierzysz Erneście!“

Radca podał jéj rękę i rzekł tylko: „Wierzę! — gdyby nie ta wiara, to“ — i straszny wyraz wybił się na jego twarzy; potém milczał chwilę, wpatrując się w żonę, i dodał spokojniéj: „Potrzebuję z Elizą pomówić. Dobranoc panie Jakobi!“—

Jakobi ukłonił się, postąpił kilka kroków, wrócił się i rzekł głosem mocno wzruszonym: „Panie radco, podaj mi rękę, pragnę stać się godnym twéj przyjaźni.“ Wyciągniętéj jego dłoni odpowiedziało silne, serdeczne uściśnienie i Jakobi oddalił się spiesznie.

„Elizo! chodź do mnie!“—rzekł radca prowadząc żonę ku sofie i obejmując ją rękami—„mów ze mną! Powiédz, czy było co w mojém postępowaniu w ostatnich czasach, co mi odstręczyło twoje serce?“

Eliza milczała, schyliwszy głowę na piersi męża.

Wreszcie wyrzekła z bolesném westchnieniem: „Ach, Erneście, i ja z siebie nie byłam zupełnie zadowoloną, ale — mówiła daléj z żywością — gdy się tak na tobie opieram i czuję bicie twego serca i czytam w niém, Erneście! wtedy czuję ile cię kocham, jak tobie ufam; wtedy wyrzucam sobie że byłam tak słabą, niewdzięczną, tak drażliwą, wtedy—o Erneście, bądź dobrym dla mnie! Patrz na mnie zawsze tak jak teraz! a rozjaśni mi się życie, pozyskam siłę przezwyciężenia wszystkiego, nawet własnéj słabości; dziś czuję, że tylko chmurka, mgła przemijająca przedzieliła nas—a teraz, teraz wszystko już zniknęło, teraz mogłabym ci otworzyć wnętrze serca, moją słabość wyznać.“

„Milcz, milcz teraz o tém“ — rzekł radca, z jasnym i kochającym wzrokiem kładąc Elizie rękę na ustach — „jam był winniejszym niż ty, ale obudziłem się. Nie płacz Elizo! Daj mi łzy twoje pocałunkami osuszyć. Czy nie czujesz wraz ze mną, że wszystko znowu dobrze będzie? Wszakże wierzymy w wieczną niebieską dobroć, wierzymy w siebie wzajemnie. Przebaczmy sobie, zapomnijmy i żyjmy w ufności wzajemnéj! Kiedyś, gdy obłędy tego czasu znikną z naszéj pamięci, wtedy dopiero będziemy o tém mówić i dziwić się, że mogły pomiędzy nas się wcisnąć. Teraz już ciemność i tak znikła, przed nami obojgiem jasna droga! Nasze błędy będą nam nadal przestrogą. Wszak po to żyjemy na świecie, by się poprawiać. Patrz na mnie Elizo! Czyś mi przebaczyła? Czy możesz mi ufać?“

„Mogę, ufam! Już i ziarnka proszku nie ma między nami. Jedném jesteśmy! Tak idźmy w imie Boże przez życie! Co on połączył, tego ludzie ani wypadki na ziemi nie rozłączą.“

Noc zapadła, ale w piersi małżonków światło zeszło. Rola niezgody wydaje zwykle tylko ciernie i chwasty, lecz czasem przyjąć może i nasienie, którego zbiór w niebieskiéj kiedyś spocznie stodole.

XI.

JAKOBI.

Gdy Jakobi przyszedł do swego pokoju, zastał na stole przy łóżku list. Poznał rękę radcy i otworzył go szybko. Papier bankowy znacznéj wartości wypadł z listu, który zawierał następne wyrazy:

„Masz tu długi w mieście u osób, z któremi radbym mój Jakobi, abyś jak najmniéj miał do czynienia; znajdziesz więc tu załączony środek zaspokojenia ich słusznych żądań. Przyjm to od przyjaciela jakby od ojca, który nim być dla ciebie szcze-

rze pragnie i z radością z téj sposobności korzysta, by wdzięczność okazać przyjacielowi i nauczycielowi swoich dzieci. Jednakże zostanę na wieki dłużnikiem wybawiciela mojéj córki. Jeżeli czego zechcesz lub będziesz potrzebował, Jakobi, nie udawaj się do nikogo innego, tylko do twego przyjaciela.“

E. Franka.

On! on także! zawołał Jakobi przeczytawszy list z głębokiém wzruszeniem. O dobrzy, zacni, szlachetni ludzie! A ja!? — Ale chcę się stać i stanę ich godnym. Od dzisiaj innym jestem człowiekiem.

Przycisnął list do piersi i spojrzał z cichą lecz ognistą przysięgą ku niebu okrytém gwiazdami.

XII.

CZAS UPŁYWA.

W życiu bywają pewne chwile siły i krewkości, chwile pogodne natchnienia, w których ludzki artysta, (rzeźbiarz ziemskiego życia) pojmuje i wypowiada najwyższą czystość, piękność i boskość. Gdyby takie chwile pozwalały cel życia osiągnąć,

zwycięztwo byłoby łatwém, przeznaczenie dokonaném, ofiara spełnioną, i życie nie byłoby ciężkiém. Ale trudniejszą jest rzeczą nie dać zblednąć i ostygnąć gorącemu płomieniowi zapalonemu natchnieniom, wśród burz i rdzy czasu wywierającego swój wpływ nieustanny przez długie lata, dnie i nocy jednostajne. Aby temu podołać, wszyscy robotnicy na téj ziemi, więksi i mniejsi, potrzebują siły czerpanéj z góry, potrzebują chrztu u źródła natchnienia. Szczęściem dla Ernesta i Elizy, wiedzieli oni o tém i umieli z tego korzystać; potrafili więc przezwyciężać coraz więcéj wrodzone swe wady, zbliżali się coraz bardziéj do siebie małemi nieznacznemi kroki, które przecież tak ściśle spajają serca ludzkie, a które podciągnąć by można pod rubrykę: Wzgląd i uwaga na wzajemne upodobania i skłonności.

Przez tę odrodzoną pomiędzy małżonkami, silną, czystą miłość, zajęła Eliza względem Jakobiego silne i szlachetne stanowisko. Żadnéj słabości nie uległo już jéj serce, nawet gdy cierpienie wyryło się w jego bladych rysach, nawet gdy się dowiedziała o jego chorobie, przecież pozostała silną, prosiła tylko męża, aby przyspieszył czas odjazdu Jakobiego i Henryka. Radca uczynił to chętnie. Łagodny i silny, jakby dobry anioł stał jéj przy boku; nic dziwnego więc że Eliza zwycięzko wyszła z téj walki, nie dziw że zjadliwa potwarz już

poczynająca się jéj kosztem rozgłaszać, umilknąć musiała przy widoku pożycia małżonków i spokojności radcy, i wkrótce znikła jak płomień któremu brakuje materyału palnego.

Tyle straszna Elizie „pierwsza miłość“ radcy tak się obraziła coraz większą obojętnością swego wielbiciela, tak ostygła wzajemnie, że opuściła wkrótce miasto i zaniechała dawniejszych zamysłów osiedlenia się w niém. „Życie tutaj byłoby zbyt jednostajne, żywszego interesu pozbawione“— mówiła ziewając do radcy, który doradzał jéj gorliwie, by jechała do Francyi lub Włoch. „W naszéj poczciwéj północy“—dodał—„wdzięk i powab życia czerpać trzeba tylko w domowém kółku i we własnéj piersi.“

„Bardzo to piękna i zajmująca kobieta!“ — rzekła Eliza do męża gdy pułkownikowa odjechała, z szczerą dla niéj przychylnością. Radca słowa nie odrzekł i nigdy więcéj nie wspomniał o dawnéj ulubionéj.

Dnie przemijały. Radca miał wiele do czynienia. Eliza zajmowała się swemi dziewczątkami, Jakobi Henrykiem i własnemi naukami.

Dzieci rosły jak szparagi na wiosnę, a ojciec cieszył się niemi. Przepowiadał że Ludwisia wszystkich przerośnie, i unosił się nad uczuciem, z jakiém Ewa zaczynała grać na fortepianie.—Wieczory, które cała rodzina razem przepędzała, były

coraz dla wszystkich milsze i weselsze. Często bawiono się i tańczono wraz z dziećmi.

Dzieci! Jakiż świat pełen radości i zmartwienia wnoszą one w dom z sobą! W istocie, nie wszystko u nich takie różowe jak ich policzki. Eliza często tego doświadczała z swojemi malcami, które doskonałościami wcale nie były. „Nie czyń drugiemu co tobie nie miło. Zastanów się pierwéj nim co zrobisz! Cierpliwość jest rzeczą bardzo potrzebną! Widzisz przecie, że matka ani ojciec tak nie robią! Patrz na mnie! Czyń jak ja!“ Te nauki ustawicznie powtarzane od czasów „Adama i Ewy“, nigdy nie zużyte, i które podobno trwać i odnawiać się będą do końca świata, udzielane obficie tutaj jak w każdym poczciwym domu wraz z chlebem powszednim, nie zawsze działały na dzieci, równie jak zapewnienia dołączane do kar wymierzanych i powtarzanych nagan: „że to dla ich dobra“; którym dzieci rzadko lub nigdy nie wierzą. Może z drugiéj strony Eliza zbyt się niepokoiła często powtarzającym się u dzieci jednym i tym samym błędem; może zbyt mało ufała niewidomemu, ale podobnemu do słońca, potężnemu wpływowi prawdziwéj rodzicielskiéj miłości na te małe człowiecze roślinki. To pewna, że się często martwiła dziećmi i troskała o ich dalsze wykształcenie i przyszłość.

Gdy dnia jednego więcéj zkłopotała się niż zwy-

kle, uczuła potrzebę poradzenia się rozumnéj i doświadczonéj przyjaciółki.

„Erneście!“—rzekła gdy radca chciał wychodzić zaraz po obiedzie — „zejdę na godzinkę do Eweliny, lecz nim powrócisz będę znowu na górze u siebie.“

„Zostań tam droga Elizo jak długo zechcesz, ja po ciebie przyjdę. Podaj mi rękę, a zejdziemy razem, abym się dobrze przypatrzył gdzie pójdziesz i potém mógł cię znaléźć.“

XIII.

ROZPRAWA PRZY KAWIE O WYCHOWANIU.

Gdy Eliza weszła do Eweliny, Pyrrus wyskoczył do niéj szczekając i kręcąc ogonem. Pani Gunilla tam była i na wyścigi z gospodynią witała Elizę i cieszyła się jéj przybyciem.

„Wybornie zrobiłaś moja najdroższa, żeś przyszła!“ — zawołała Pani Gunilla ściskając serdecznie Elizę. „Jakże się masz kochana pani? Jakaś blada jesteś, trochę zmartwiona jak mi się zdaje? Mogę ci zwierzyć pod tajemnicą, że wkrótce jak to wiem z dobrego źródła, dostaniemy doskonałéj ka-

wy, która mam nadzieję że rozweseli kochaną naszą Elizę.“

Ewelina wzięła rękę Elizy i patrzyła jéj w oczy swym spokojnym i mądrym a współczującym wzrokiem. Pyrrus trącał ją lekko w nogę mordeczką aby być spostrzeżonym, a potém siadł na tylnych łapkach i mruczał coś do niéj, jak gdyby także chciał jéj swe współczucie okazać. Eliza uśmiechnęła się i na wyścigi z panią Gunillą głaskała i pieściła małe zwierzątko.

Na wzrok Eweliny, w którym wyraźnie wypisane stało: „Co ci jest?“ odpowiedziała Eliza:

„Ach, pozwólcie mi tu usiąść i z wami pogadać a wszystko będzie dobrze. Tutaj zawsze tak miło i dobrze. Nie wiem jak ty to robisz Ewelino, ale mnie się zdaje, że powietrze w twoim pokoju czyściejsze niż gdzieindziéj; gdy wchodzę do ciebie to jakbym wstępowała do świątyni pokoju.“

„Tak i mnie się zawsze zdaje!“ rzekła serdecznie pani Gunilla.

Ewelina podziękowała im wdzięcznym uśmiechem.— „Tak, chwała Bogu, tu spokój!“ rzekła, a jéj oczy napełniły się łzami.“

„A naszéj młodéj pani dzieci pruszą trochę w pokoju i w umyśle? Nie prawdaż?“ zapytała żartobliwie pani Gunilla. „No, no“ — dodała na pociechę— wszystko ma swój czas, i pył każdy opadnie kiedyś. Tylko cierpliwości!“

„Nauczże mnie jéj kochana ciotko!“—rzekła Eliza — „właśnie tu przyszłam w nadziei że mi coś udzielicie z swojéj mądrości; bardzo tego potrzebuję. Ale gdzie dziś twoje dziewczęta, Ewelino?“

„Są u przyjaciołki zaproszone na małą zabawę, którą się już dawno cieszyły, a w któréj ja dobry udział wezmę słuchając ich opowiadań.“

„Ach naucz mnie Ewelino, jak mam postępować z mojemi córkami, by się stały tak miłe, dobre i szczęśliwe jak Laura i Karina. Wyznaję, że troska o dobre wychowanie moich córek dręczy mnie często, a dziś więcéj niż kiedy. Obawiam się że moje zdolności i wiadomości są zbyt słabe, abym je potrafiła dobrze poprowadzić, potrzebne dać im ukształcenie.“

„Ach, wykształcenie! wykształcenie! przerwała pani Gunilla gniewnie — „teraz tylko o wykształceniu krzyczą i krzyczą, nic innego usłyszéć nie można. Za moich czasów nie słyszałam nigdy rozpraw o wykształceniu, a przecież my także byliśmy czémś w świecie. Z początku gdy mnie doszła ta gadanina o wykształceniu myślałam, że w tém jest co nadzwyczajnego i mądrego, ale potém inaczéj się przekonałam i oswoiłam z tém; odkąd zaś tiers-état tak wzrósł i za takie wielkie ma się rzeczy, i z swojém ukształceniem czémś tak nadzwyczajném światu się wydaje, wszyscy wołają: Kształćcie się! kształćcie! — nawet pokojówki chcą się kształcić. Proszę Boga, by mnie od tego ochronił i nie dał żyć w czasie, w którym pokojówki będą wykształcone, bo wtenczas nie one mnie, ale ja im musiałabym służyć; tak, tak, do tego idzie wielkim krokiem. Już czytają Axela i powieści Frithiofa, a wkrótce zaczną rozprawiać o „mężczyznie i kobiecie“ i „o kobiecie i mężczyznie“, i mniemać będą że są „winne latorośle“, które zwiędną jeśli oparcia nie znajdą, że są „ofiarami“ i tysiąc innych czułych rzeczy, przy których nie potrafią wcale wyszorować dobrze podłogi lub kocioła. Wtenczas trudno będzie wyżyć na ziemi z tém wykształceniem. To szaleństwo straszne!“ Im dłużéj mówiła pani Gunilla o tym przedmiocie, tém bardziéj się zapalała.

Eliza i Ewelina uśmiały się serdecznie, lecz oświadczyły że jako należące do tiers-état, muszą wziąść obronę wykształcenia, nawet u pokojówek.

„Ach“ — rzekła niecierpliwie marszałkowa — „z waszém wykształceniem tylko dzieciom głowy zawracacie i napełniacie je tysiącem rzeczy niepotrzebnych, z któremi potém całe życie nie wiedzą co począć. W mojéj młodości uczono języka francuzkiego tyle tylko, ile potrzeba do przetłómaczenia dewizy; rysunku tyle by potrafić sobie wzorek do haftu wyrysować, a muzyki aby w potrzebie zagrać kontredanse; nie uczono wtedy jak teraz o wszystkiém na świecie paplać, ale uczono my-

śléć; mniéj znano sztuk i umiejętności, lecz za to wiedziano że swojego trzeba pilnować, a świat zostawić w pokoju.“

„Przecież, łaskawa pani“ — rzekła Ewelina — „wykształcenie (w prawdziwém swém znaczeniu) którego teraz żądamy, właśnie ma za cel, by nam wyjaśnić świat i siebie, dać zrozumieć własne powołanie i ocenić stanowisko drugich, ażebyśmy każdy w swoim zakresie potrafili być użytecznymi i szczęśliwymi.“

„Tak, tak“—rzekła pani Gunilla—„może to być wszystko bardzo dobrém, ale“—ale teraz wniesiono kawę z preclami i biszkopcikami i przerwano rozprawę, która potém weselszy przybrała charakter. Pani Gunilla z komiczną powagą udzielała Elizie rozmaitych rad tyczących się wychowania dzieci. Kazała przynieść od siebie stary orbis pictus, z którego się sama w dzieciństwie uczyła i który zaczynał się słowy: „chodź tu chłopcze i ucz się mądrości z ust moich“ i polecając go bardzo pokazywała zawarty w nim obrazek, na którym dusza była wymalowana na podobieństwo piernika, płaska i okrągła, leżąca na stole i pięciu zmysłami dokładnie ponumerowana. Pani Gunilla zapewniała Elizę, że widok tego obrazka znacznie „rozwinie, wykształci“ u jéj dzieci i pojęcie o duszy. Następnie radziła Elizie, aby przyjęła dla swoich malców taką metodę wychowania, jakiéj używano z bar-

dzo dobrym skutkiem u jéj nieboszczyka ojca i stryja, gdy do szkoły chodzili. Metoda ta na tém polegała, że co soboty czesano chłopców gęstym grzebieniem, bito rózgą i dawano każdemu zażyć łut angielskiéj soli, by tym sposobem złe z nich wypędzać. Potém dostawali piwo grzane i inne pożywne potrawy, któremi wzmocnić się mieli do wielkich postępów w nauce w następnym tygodniu.

Wśród śmiechu wzbudzonego tą anegdotą wszedł radca, rad z téj wesołości, rad z swojéj żony, obok któréj usiadł, ochoczy do swobodnéj przez jaką godzinkę pogadanki z paniami. Pani Gunilla przedłożyła mu zaraz „duszę“ w orbis pictus, i musiała na żądanie Elizy powtórzyć historyę o wypędzaniu złego z chłopców. Radca uśmiał się serdecznie z obojga i rozpoczął rozmowę o wychowaniu. Wszyscy się zgodzili na niedostateczność wszelkich w tym względzie zasad i metod.

Ewelina utrzymywała, iż najważniejszą jest rzeczą, by ten który wychowuje sam był dobry i wykształcony. „W miarę—wyrzekła—jak sami w sobie rozwijamy dobroć, mądrość i biegłość, możemy je i w dzieciach kształcić.“

Wszyscy bez wyjątku w małém towarzystwie zgodzili się na to z zapałem, a Eliza uczuła się wzmocniona i pokrzepiona temi słowy, które jéj wyraźną drogę wskazywały; zwróciła teraz rozmowę na życie Eweliny i koleje jakie ona kształcąc

się przeszła. Wiedziano że jéj droga była niezwykłą i samodzielną, lecz Eliza pragnęła usłyszéć, jak doszła jéj przyjaciołka do téj jasnéj swobody i pokoju, które jéj życie odznaczały. Ewelina zczerwieniała się i chciała odwrócić rozmowę od siebie (jako od przedmiotu, o którym najmniéj rada była mówić, bo była z sobą w zgodzie), gdy jednak radca serdeczną prośbę dołączył do nalegań Elizy i marszałkowéj, by im coś z swego życia opowiedziała, przystała na to uprzejmie, lecz zapewniając, że nic ciekawego ni nadzwyczajnego do opowiedzenia nie ma, i po krótkim namyśle rozpoczęła w następnych słowach, zwracając się głównie do Elizy, podczas gdy pani Gunilla pilnie pracowała nad swą robotą, opowiadanie, które nazwiemy:

Historyą Eweliny.

Czyś doznała kiedy, słuchając pięknéj muzyki, głębokiéj potrzeby, nieopisanéj tęsknoty wzbudzenia w twéj własnéj duszy, w twém życiu podobnéj harmonii, jaką słyszysz w dźwiękach; jeśli tak było, to pojmiesz cierpienia méj duszy i jéj wyswobodzenie. Dzieckiem jeszcze będąc doznałam téj tęsknoty, nie rozumiejąc jéj wcale. Raz w rodzicielskim domu urządzono mały koncercik; harfa, fortepian, flet i klarynet odzywały się w ręku znakomitych artystów. Gdy w jedném miejscu w symfonii instrumenta te spłynęły w słodką i swobodną melodyę, dziecięcą wówczas moją duszę przeniknęło dziwne i żywe uniesienie i zarazem żywa tęsknota; zdawało mi się że rozumiem niebo i rozpłakałam się. Ach! znaczenie tych łez zrozumiałam późniéj, gdy wiele podobnych i boleśniejszych łez tęsknoty spadło na poplątaną tkaninę mego życia.

Z czemże mam porównać obraz moich lat młodych. Był on podobny wizerunkom wielu rodzin— odznaczających się tylko niepewnością, pomięszaniem zarysów. Podobne one ponuremu jesiennemu niebu z jego szaremi, bezkształtnemi, łączącemi się z sobą chmurami; są to rysy niepewne, kontury bez znaczenia i prawdy, cienia blade, światła bez jasności, co wszystko nieudolną robotę od pracy mistrza odróżnia.

Moja rodzina należała do zacnéj klasy średniéj, i na pozór rada temu była; jednakże uważała się za coś lepszego od niéj, nie licząc się właściwie do żadnego stanu, gdyż żyła z procentów. Względem wyższych klas w towarzystwie okazywaliśmy w słowach a czasem i w czynach dumną obojętność, lecz w istocie ich postępowanie obrażało nas lub pochlebiało nam bardzo, i nieraz pomiędzy familią była mowa o szlachectwie, i o usługach jakie ojciec nasz mógłby oddać państwu, a serca młodych dziewcząt biły żądzą zostać wielmożnemi paniami.

Córkom w domu mówiono, że wszelki przepych i radość téj ziemi próżnemi są, że cnota tylko daje nam wartość i do niéj jedynie dążyć trzeba. Tymczasem najgorętszém życzeniem ich serc, najusilniejszém staraniem było dojść do bogactwa, znaczenia i wszelkiego ziemskiego szczęścia.

Córkom w domu mówiono, że Bożéj woli jedynie we wszystkiém trzeba być posłuszną; pomimo tego kierował niemi ustawicznie tylko wzgląd ludzki. Mówiono im że piękność jest niczém; przecież często nawet w ojcowskim domu boleśnie uczuć musiały że pięknemi nie są. Udzielano im różnych wiadomości i towarzyskich talentów, ale że broń Boże! nie miały być uczonemi kobietami i niczego się porządnie nie uczyły, to téż w wielu rzeczach miały pretensyę do uczoności, chociaż nic gruntownie nie znały. Przedewszystkiém nauczyły się (i to coraz bardziéj z przybywającemi laty) małżeństwo uważać za najwyższy cel życia, w skutku czego (nie wyraźnie ale wewnętrznie i tajemnie) podobanie się mężczyznom miały za jedyne szczęście, czego jednakże ustawicznie się wypierały.

Było nas trzy siostry. W dzieciństwie uczono nas byśmy się między sobą kochały, wkrótce jednak w skutku pierwszeństwa jednéj nad drugą u wychowujących nas, pochwał i nagan, kar i nagród rozdzielanych bez potrzeby w nic nieznaczących rzeczach, wkradły się między nas zazdrość

i niechęć. Moja starsza siostra i ja nibyto kochałyśmy się bardzo i nie mogłyśmy żyć bez siebie; przytaczano nas jako wzór miłości braterskiéj, a my słuchając tego ciągle, myślałyśmy także że tak jest. Porównywano nas z parą koni powozowych będących w domu, i tak nas nazywał ojciec gdyśmy z przywyknienia po obiedzie po jego stronach siadały, a on nas wtedy serdecznie ściskał i pieścił. Rzeczywistego zaś przywiązania nie było między nami; siostra była od natury hojniéj obdarzona i więcéj się podobała. Nikt z ludzi nie wzbudzał we mnie takiéj zazdrości jak ona, dopóki w późniejszych czasach i innych stosunkach nie pokochałam jéj szczerze, a tém samém i jéj pierwszeństwo stało mi się miłém.

Nie byliśmy bardzo majętni i spoglądaliśmy filozoficznym i litościwym wzrokiem na tych, którzy bogatsi od nas dostatniéj żyli, piękniejsze mieli powozy i strojniéj się ubierali. „Co za niedorzeczność! jakaż nędzna próżność!“ — mówiłyśmy — „biedni ludzie którzy nie umieją lepiéj użyć pieniędzy!“ — Nie domyślałyśmy się, że z naszą filozofią stawałyśmy się podobne lisowi w bajce pogardzającemu tém, czego dostać nie mógł.

Większą jeszcze pogardę okazywałyśmy wszelkim uciechom i rozrywkom na które tłumnie bieżono. Miałyśmy sobie (niestety) zupełnie wystarczać i skoro jakaś sztuka w teatrze podobała się

i ściągała wiele widzów, to wyraźnie szukałyśmy w tém chluby, by jéj nie widzieć i obojętnie o tém mówić. Gdy zaś jakaś uroczystość lub festyn ludu pociągał tłumy w pewną stronę, to nasz powóz widziano niezawodnie jadący w przeciwną i szukający samotnéj okolicy; przyczém wielbiłyśmy same naszą filozofię, lubo z nie bardzo rozradowaném sercem.

Córki weszły w świat. I one i rodzice pragnęli, by się podobały, były często zapraszane,—ale zbywało im na piękności, i bardzo skromnie musiały się ubierać. Rodzice niewiele osób u siebie przyjmowali—córki nie tańcowały na balach i przy wieczerzach o nich zapominano. Jednakże, w złem czy dobrém czas upływał, rok przechodził za rokiem.

Córki wstąpiły wreszcie w dojrzałą młodość. Rodzice widocznie chcieli je wydać za mąż, córki także tego pragnęły — zwłaszcza że w domu nie bardzo były szczęśliwe; — trzeba przyznać jednakże, że nie przyczyniały się wiele do upięknienia sobie życia domowego. Były wymuszone, obrażliwe, gniewne, żadna nie wiedziała sama czego chce i co ma z sobą robić; błądziły jakby we mgle.

Niezamężne kobiety mówią często że są zadowolone z swego położenia i nie chciałyby pójść za mąż; w tych słowach, zwłaszcza gdy już ucichły żywsze uczucia młodości, więcéj jest prawdy niż

zwykle mniemają. Przynajmniéj widziałam to wszędzie, gdzie tylko kobieta w jakikolwiek sposób stworzyła sobie samodzielny zakres działania, albo téż w tkliwych stosunkach rodzinnych używa swobody, czystéj roskoszy życia, jakich dostarcza prawdziwa przyjaźń i ukształcenie.

Znałam raz młodą kobietę, któréj gdy winszowano z uniesieniem że bardzo dobrze za mąż idzie, (co było w istocie, lubo miłość w tym związku małą grała rolę)—odpowiedziała spokojnie: „Ach tak! to musi być bardzo miło mieć własny dom.“— Śmiano się wówczas z tak prozaicznego ocenienia dla drugich wielkiego szczęścia. Ale jéj proste słowa zawierały wielką i ogólną prawdę. Tego „własnego“ potrzebuje człowiek koniecznie w swoim świecie i zakresie działania, by mógł wykształcić wewnętrzną swoją istotę, pozyskać szczęście i samodzielną siłę, własny i drugich szacunek. Zakonnica nawet ma swoją własną celę, gdzie może sobie spokojnie wysługiwać niebo, prawdziwą ojczyznę, ale w niby swobodném towarzyskiém życiu niezamężna kobieta nie ma często najmniejszego schronienia któreby własném nazwać mogła, przechodzi przez życie nie spocząwszy nigdzie, jak chmurka przelotna przez niebo. Ztąd pochodzą często owe małżeństwa — prawdziwe dzieci konieczności — któreby nigdy nie powinny były się za-

wierać, albo głęboka tęsknota za ciszą grobu—tęsknota z którą się dość często spotkać można.

Ale tak nie powinno być, i w naszych czasach, kiedy się towarzystwo coraz wielostronniéj wykształca, patrząc na wielką massę ludzi potrzebujących schronienia, na tłumy dzieci wyrastających bez majątku i opieki, upada powoli jednostronne pojęcie powołania kobiecego, otwiera się im obszerniejszy zakres działania i podobne wypadki rzadszemi się stają.

Powracam teraz do mojéj własnéj historyi, z któréj jeszcze jeden rys muszę przytoczyć. Gdy pomiędzy naszemi znajomemi znalazły się kobiety które szły za mąż za ludzi raczéj niżéj niż wyżéj od nich stojących w godności i majątku, znajdywałyśmy to rozsądném i szlachetném; lecz kiedy w podobnym do nas stosunku stojący człowiek wstępował w nasz dom, w myśli szukania w nim małżonki, wydawał nam się zuchwałym nad miarę i jako z takim postępowałyśmy z nim. Zawsze zwracałyśmy tajemnie wzrok nasz na znakomitszych i bogatszych. (Dzieje się to zwykle podobnie tak u kobiet jak i u mężczyzn w wielkim świecie, lecz broń Boże przyznać się do tego.)

Tymczasem we mnie rozwinęła się istota pełna życia i siły, obudziła się do uczucia własnéj nicości i zerwania krępujących więzów wśród których się poruszała. Jeszcze nie wiedziałam sama czego

pragnie niespokojna moja dusza, lecz często na widok pięknych dzieł sztuki zdawało mi się że one mi wyjaśniają zagadkę własnego serca. Kiedy przypatrywałam się starożytnéj westalce, jéj spokojowi i słodyczy, cichości i swobodzie, przeczuwałam w niéj życie jakiego mnie brakło i wylewałam łzy tęsknoty i goryczy.

Długo cierpiąc na tém skrzywioném stanowisku jakie zajmowałam we własnym domu, a którego szczegółowo opisywać nie chcę, weszłam z laty w stosunek do świata i ludzi niebezpieczny dla mojego usposobienia i charakteru.

Słyszeliśmy wszyscy o córkach domu Hausgiebelskiego, które zestarzały się ziewając przy kądzielach i kołowrotkach! Ale lepiéj już, tysiąc razy lepiéj tak jak one zestarzéć się i posiwieć przy nudnéj i bez celu pracy, jak z sztucznemi we włosach kwiatami, z wymuszonym na ustach uśmiechem do świata, który już do nas uśmiechać się przestał, starzeć się na ławkach i krzesłach sali balowéj. Tak właśnie ze mną się działo.

Są łagodne, ciche istoty, które w milczeniu uginają się pod jarzmem, i nie mogąc je zerwać, bez szemrania rok za rokiem przebywają w kołach towarzyskich, bez innego celu jak tylko by zapełnić miejsce, owdzie ścianę ozdobić lub oszpecić. Pokój tym cierpliwym duszom! Są znowu wesołe, świeże, wiecznie młode natury, które w starości

nawet ożywiają, rozweselają wszystko co je otacza. Takie są błogosłowieństwem życia towarzyskiego do którego należą. Wiele jest rozmaitych rodzajów ludzi — i to dobrze; ja nie należałam ani do wesołych, dowcipnych, ani do cierpliwych i cichych; zaczęłam więc nienawidzieć życie towarzyskie, które mnie coraz mocniéj nudziło, a do którego byłam pędzona z domu niespokojnością i niechęcią. Byłam pracownikiem, zmuszonym ukrywać chęć do pracy, i zakopującym w ziemię swój talent. Tak chciały przepisy i formy towarzyskie wszechwładne w kołach, w których żyłam.

Kwiat daje człowiekowi zapach i pożytek, żywi owad; kropla rosy dodaje siły liściu na który spada. A ja ludzka i silna istota z nieśmiertelną duszą, stałam niżéj od kwiatu, niżéj od kropli rosy! Ale obudziłam się wczas jeszcze do świadomości mego położenia. Mówię „wczas“, bo nieraz może być już zapóźno, dusza wśród gnuśnych lat może zgnuśnieć i stracić siłę wydobycia się z błota.

Czułam że się gorszą staję, czułam wyraźnie że w takiém życiu bez zatrudnienia i interesu jakie prowadziłam, dzień każdy nowy chwast zaszczepiał w mojéj duszy. Ciekawość, gadatliwość, skłonność do złośliwości i obmowy, jako téż coraz większa zmienność humoru kaziły duszę, w którą natura zbyt wiele czynnéj siły złożyła, by potrafiła jak tyle innych przeżyć w niewinności nieczynne

życie i niém się zadowolnić. Ach gdy się tak żyje bez celu i użytecznego zatrudnienia, gdy żadna dążność szlachetniejsza, żadna przyjaźń ni radość nie umili choć czasem życia: wtenczas niepokój rozdziera dziko i nieustannie pierś ludzką i niszczy zdrowie, swobodę umysłu, dobroć serca, spokój sumienia, i wszystkie złe duchy wywołuje z przepaści. Tak rdza odbiera blask najtwardszemu żelazu i niszczy je powoli.

Wyczytałam raz w jedném z dzieł mądrego Steffensa następne słowa: „Ten, kto nie ma zatrudnienia, któremuby się oddawał z zupełną gorliwością, któreby kochał jak siebie i bliźnich, w tym nie ma gruntu, na którymby nawet chrześciaństwo zdołało wydać owoce. Takie zatrudnienie staje się cichą świątynią, w któréj Zbawiciel nieustannie, w każdéj trudu godzinie błogosławieństwo rozlewa; ono wiąże nas z ludźmi i budzi dla nich współczucie, i dla nich czyni nas pożytecznymi; ono nas uczy oceniać naszą nicość a wartość drugich i staje się prawdziwie dobrą i żyzną rolą, na któréj rozkrzewiać się mogą boskie religii naszéj nauki.“

Te słowa były podmuchem na zarzące iskry. Światło zabłysło mi w duszy, zrozumiałam czego chcę i co uczynić powinnam. Rozważywszy dobrze rzecz całą, pomówiłam z rodzicami i otworzyłam im moje serce. Dziwili się i sprzeciwiali i prosili bym się inaczéj namyśliła. Przewidywałam opór,

lecz gdy stale i spokojnie trwałam przy moich prośbach i życzeniu, przyzwolili z wielką dobrocią. Zamiarem moim było zamieszkać osobno i przedsięwziąść jakąś pracę lub zatrudnienie, któreby mnie powoli postawiło w możności wzięcia do siebie jednego lub dwojga dzieci, gdyż zawsze bardzo dzieci lubiłam, zajęcia się niemi i wychowywania jak swoje. Czułam wprawdzie że mi zbywa na przymiotach potrzebnych dla dobréj mistrzyni, ale miałam nadzieję, że i ja się odrodzę nowym i lepszym człowiekiem wśród czynnego życia. Dobra wola i miłość ku dzieciom wesprą mnie; a nie mogąc być żoną, doznam przecież macierzyńskiego szczęścia.

„Ale dla czegóż nie mogłaś, nie chciałaś?“ przerwała Eliza.

Ewelina uśmiechnęła się i rzekła: Mówią że mogłaś wybierać pomiędzy wielu czcicielami, dziwném ci się więc zdaje, że ja żadnego nie miałam i za mąż pójść nie mogłam, a przecież tak było w istocie. Nie patrz na mnie z takiém zdziwieniem droga Elizo, jak gdybym coś niesłychanego mówiła—ja nigdy nie miałam sposobności powiedzieć starającemu się *tak* lub *nie!* Moje siostry były milsze i ładniejsze, z niemi więc inaczéj się działo.

Powracam do chwili w któréj wyrwałam moje życie z powszedniéj kolei, lecz dzięki Bogu nie gwałtem, nie ze zgryzotą, lecz owszem pobłogo-

sławiona przez tych, którzy mi dali życie, a którym teraz dopiero za ten dar podziękowałam.

Moi rodzice — niech im Bóg za to zapłaci! — postanowili, widząc moje usposobienie i dobrą wolę, obrócić na urządzenie mojego małego nowego domku i przyszłego życia, summę którą mi przeznaczali na posag, w razie pójścia za mąż. Dobroć rodziców i sióstr postarała się o wszystkie możliwe dla mnie przyjemności i dogodności, i kiedy zamieniałam dom ojcowski na własny, to nie bez łez szczerego żalu. Zbyt jasno jednak poznałam własny charakter i położenie, by się wachać w raz powziętym zamiarze.

Było to w dzień kwietniowy — w trzydziestą rocznicę moich urodzin—gdy otoczona mojemi sprowadziłam się do mego nowego, małego ale wygodnego pomieszkania. Towarzyszyły mi dwie małe sieroty, lecz niezupełnie mienia pozbawione. One mi miały być dziećmi, ja im matką.

Pierwszy poranek, pierwsze obudzenie się w nowém pomieszkaniu jest mi dotąd pamiętne. Jeszcze widzę jak wciskające się do pokoju światło poranne blask rzucało na otaczające mnie przedmioty. Z bliskiego kościoła dolatywał mnie odgłos śpiewów porannych, a wdzięczna, poważna melodya uspokajała duszę. Wstałam rano, bo mnie czekały obowiązki gospodyni i matki. W duszy mi było słodko i swobodnie, miłe wzruszenie nie odstępowało mnie.

Na dworze wiosna się uśmiechała. Śnieg topniał na dachach i błyszczącemi spadał kroplami; wróble siedzące na brzegu komina wesołém świegotaniem witały słońce, a dla mnie wszystko jaśniejsze, żywsze miało barwy niż kiedykolwiek. Widziałam przez okno ludzi zabierających się ochoczo do swych zatrudnień; weszła mleczarka i wydała mi się weselszą, a mléko lepsze niż zwykle. Zdawało mi się że po raz pierwszy świat widzę tak obfitym w życie i powaby; sama sobie podobałam się lepiéj, spojrzawszy w zwierciadło. W pokoju obok obudziły się dzieci, nieśmiertelne dusze, które wieść miałam do zbawienia. O pięknym był ten poranek! W nim zabłysło mi światło, otworzyło się życie, a ja w własnych oczach nabyłam wartości.

Czynne i spokojne życie, jakie odtąd wiedłam, odpowiadało mi niezmiernie, i doprowadzało mnie do coraz większéj zgody z sobą. Dzień był często trudzący, lecz tém milsza za to myśl o nim i spokój wieczora. Dzieci nieraz mnie zmartwiły i zmęczyły, ale dawały interes memu życiu i stawały mi się coraz droższe w złém i w dobrém, w pociesze i w smutku, coraz większą roskoszą dla mego serca. Nie wiem czy może która matka własne dzieci więcéj kochać, niż ja teraz kocham Laurę i Karynę. W tém nowém położeniu stałam się nawet lepszą córką, czulszą siostrą niż byłam pierwéj, i większą pociechą rodziców w starości, niż gdybym była pozostała daléj nieużytecznym członkiem ich domu. Teraz dopiero odniosłam korzyść z wychowania jakie mi dali. Wszystko sztuczne, fałszywe lub błędne odpadło wśród ciągłéj czynności, miłych sercu stosunków i w obec wytkniętego celu życia, a wiadomości mi dane, prawdy wpojone, przyniosły owoc w sercu i czynie, odkąd użytecznie żyć poczęłam.

Tu umilkła Ewelina. Wszyscy słuchali z uwagą, lecz najwięcéj zajął się jéj powieścią radca. W jego męzkich rysach malowało się najżywsze współczucie. Piękny obraz późniejszego życia Eweliny utkwił mu w duszy; poprzedni ucisk bolał go: pomyślał iż wiele istot kobiecych jest ugniecionych i tworzył zamiary i plany, jakby zerwać te pęta.

„Ach tak!“—rzekła Gunilla z cichém westchnieniem—„każdy ma w tém życiu trudną do przebycia drogę; lecz gdy nią postępuje w pokorze i za wolą Pana, to dojdzie wreszcie do ojczyzny. Bóg niech będzie z nami wszystkiemi!“—I pani Gunilla by pokryć wzruszenie zażyła dużą szczyptę tabaki.

„Nie zapomnijże orbis pictus“, zawołała na Elizę, gdy ta odchodziła z mężem, — „a niech się dzieci kształcą widokiem jak dusza wygląda. He, he, he, he!“

XV.

SIEROTA.

Dzień schylał się ku wieczorowi. Ernest i Eliza siedzieli w oknie oddani téj poufnéj pogadance szczęśliwych i zgodnych małżonków, których równie żywo obchodzi każdy szczegół o dzieciach i domu. Naraz umilkli, ale harmonijne w obojgu przeczucie, że coraz milsze jeszcze będzie im życie razem, rozjaśniło ich twarze. Tymczasem cienie wieczora zalegały pokój, a lekki deszcz bił w okno. Z sali obok słychać było donośny głos Jakobiego, który opowiadał dzieciom powieści, przerywane ich wykrzyknieniami i zapytaniami. Uczucie domowego pokoju przejęło słodko serce ojca rodziny, wziął z miłością rękę małżonki, i rad patrzał w jéj łagodną twarz, układając z nią razem w pół żartem rozmaite zamiary tyczące się urządzenia domowego. Nagle chmura jakaś zasępiła czoło radcy, a łza zabłysła w męzkim oku.— „Co tobie Erneście?“ zapytała tkliwie Eliza.

„Czuję żeśmy szczęśliwi“—odrzekł—„słyszę radośne głosy naszych dzieci, a przyszło mi na myśl nieszczęsne dziecię, które w tym domu naprzeciw nas wśród szkaradnych psuje się ludzi.“

„Prawda!“—westchnęła Eliza—„Bóg niech będzie z wszystkiemi nieszczęśliwemi na ziemi dziatkami.“

Mimowolnie spojrzeli oboje w okno wspomnianego domu. Ruch jakiś dał się widzieć przez szybę, postać kobieca przystąpiła do okna; ciemna głowa dziecięca przytuliła się do jéj kolan, ale została odtrącona, a długa biała firanka, spuszczona szybko zakryła wszystko.

„On umarł!“—zawołali oboje małżonkowie spoglądając na siebie.

Radca posłał zaraz dowiedzieć się co się tam dzieje; posłaniec wrócił z doniesieniem, że pan N. umarł przed kilku godzinami.

Z za firanki przeglądało teraz światło i zdradzało ruch wielki w pokoju. Radca chodził widocznie mocno wzruszony. „Biedne dziecię! Nieszczęśliwa dziewczynka! Co z niéj będzie? Biedne dziecię!“ powtarzał nieustannie. Eliza czytała w duszy męża. Oddawna już zgadując jego życzenie oswoiła się z myślą, którą przecież trudno jéj było wymówić. Wreszcie odetchnęła mocniéj i rzekła: „Erneście, garnek z którego sześcioro dzieci jé, mógłby nakarmić siedmioro.“

„Tak myślisz?“—zawołał wesoło, a jego oczy zabłysły. Uściskał czule żonę, usiadł koło niéj i zapytał: „Ale czy obrachowałaś się z twojemi siłami? Na ciebie spadnie główny ciężar, jednak je-

śli czujesz w sobie dość na to siły, to dogodzisz serdecznemu mojemu życzeniu.“

„Erneście! siły moje słabe“—rzekła Eliza ocierając łzę z oka—„i ty wiesz o tém najlepiéj, ale dobréj woli mi nie brak, a ty mi zawsze dopomożesz.“

„Będziemy się wzajemnie wspierali!“—zawołał Radca powstając radośny.— „Dziękuję ci droga, kochana moja Elizo!“—dodał całując czule jéj rękę.— „Mogęż pójść zaraz i sprowadzić dziecię? Może będzie się bało pójść ze mną?“

»Mam pójść z tobą?“

„Ty? Ciemno jest i deszcz pada!“

„Możemy wziąść parasol, wezmę tylko na siebie płaszcz i będę gotowa.“

Eliza poszła ubrać się, a radca pomódz jéj; sam na nią włożył płaszcz, wdział buciki skórzane i okazywał najtkliwsze względy. Wydawszy niektóre rozporządzenia Brygicie, Eliza wyszła z mężem z domu, zostawiając dzieci w wielkiéj ztąd ciekawości i zdziwieniu.

Przeszedłszy wśród burzy i deszczu ulicę, potem ciemne schody, dostali się nakoniec małżonkowie do pokoju, w którym pan N. mieszkał. Drzwi stały wpółotwarte, dopalająca się świeca rzucała blask niepewny na pokój i na znajdujące się w nim przedmioty. W pokoju zdawało się, iż niema żywéj duszy, wyglądał pusty i odarty.

Umarły leżał opuszczony na łóżku z twarzą chustką zakrytą, a obok niego nie było śladu co łagodzi ostatnią walkę konającego. Radca przystąpił do łoża, podniósł chustkę, popatrzył chwilę na ponure rysy zmarłego, probował pulsu i zakrył go znowu w milczeniu; gdy się obrócił do Elizy, był bardzo blady.

„Gdzie dziecię?“—zapytał; obejrzeli się w koło szukając. Cień jakiś czarny poruszył się w kącie pokoju. Była to sierota, która siedziała tam tuląc się do ściany, podobna do puszczyka nocnego. Eliza zbliżyła się do niéj i chciała dziewczynkę wziąść na ręce, gdy ta nagle podniesła ramie i z całéj siły uderzyła Elizę; cofnęła się przerażona, poczciwa kobieta, lecz zaraz zbliżyła się znowu i przemówiła uprzejmie do zdziczałego dziecka. To znowu podniosło rękę, ale je powstrzymała silna, męzka dłoń i spojrzenie, przed którem dziewcze zadrżało i uczuło się pokonane przewagą silniejszego. Radca wziął je na kolana; drżało na całem ciele. „Nie bój się nas“—rzekła słodko Eliza—„jesteśmy twoimi przyjaciołmi; jeśli zechcesz pójść teraz z nami do moich dzieci, to dostaniesz wraz z niemi słodkiego mleka i bułki, i będziesz spała w małem łóżeczku pod czerwonem pokryciem. Obietnice te i łagodny głos Elizy zdawały się działać na dziecięcy umysł.

„Pójdę z tobą“—odrzekła — „ale co na to tato powie jak się obudzi?“

„Będzie rad z tego!“—zapewniła Eliza owijając dziecię swoim płaszczem.

W téj chwili usłyszano hałas u drzwi. Sara wykrzyknęła cicho z przestrachu i zaczęła drżeć znowu. Weszła gospodyni pana N. z dwoma młodymi chłopcami; radca oświadczył jéj, że bierze pod swoją opiekę Sarę i to, co po jéj ojcu pozostało. Przy ostatnich słowach wybuchła gospodyni głośnemi skargami i przekleństwy, którym radca dopiero ostrą groźbą koniec położył. Potem posłał jednego z chłopców po gospodarza domu, a przedsiewziąwszy razem z nim środki ostrożności ku zabezpieczeniu Sarze możliwego po ojcu spadku, wziął ją na rękę, owinął płaszczem i odszedł z żoną.

Tymczasem między małemi Frankami panowała nieokreślona ciekawość. Eliza powiedziała im odchodząc, że powróci może z małą siostrzyczką. Można sobie wyobrazić jak poruszyły te słowa małe główki, jakie pobudziły zdziwienie i domysły. Jakobi na niezliczone pytania nie umiał dać odpowiedzi; by dzieci uspokoić wymyślał nowe gry, lecz je przerwały i rzuciły się śpiesznie ku drzwiom obaczywszy wchodzących rodziców. Petrea patrzyła z największą ciekawością, gdy ojciec otworzzł szeroki swój płaszcz, a z niego wysunęła

się postać, którą zrazu z przestrachu wzięła za kominiarczyka; przy bliższém przypatrzeniu się obaczyły dzieci, że to była mała i chuda dziewięcioletnia dziewczynka, z czarnym włosem, ciemną płcią i dużemi czarnemi oczyma, które prawie groźnie spoglądały na otaczające ją białe, blond główki.

„Oto macie jeszcze jedną siostrę!“—rzekł ojciec prowadząc Sarę między swe dzieci.—„Saro! oto twoje rodzeństwo! Kochajcie się dzieci i bądźcie wszystkie dobremi!“

Dzieci zdumione spoglądały na siebie, ale Henryk i Ludwisia wzięły z opiekuńczą troskliwością małę za ręce i wnet wszyscy ubiegali się by ją przyjąć jak najlepiéj.

Przyniesiono dzieciom wieczerzę; scena się ożywiła, nowo przybyłéj wszyscy złożyli dary. Ludwisia wystąpiła z dwoma cukierkami, które już miała od roku, i z pudełeczkiem na przechowywanie ich daléj.

Henryk ofiarował Sarze czerwoną trąbkę i dał jéj gratis lekcyę jak należy używać tego instrumentu.

Ewa darowała jéj lalkę Józefinę, w nowéj czerwonéj sukni.

Eleonora zapaliła przed nią swój nowy, różnokolorowy stoczek.

Petra—ach, Petrea, tak serdecznie pragnęła dać coś Sarze, przeszukała wszystkie swe kryjówki,

ale niestety zawierały one tylko same nieszczęśliwe szczątki. Tu lalka bez ręki, tam stół o trzech tylko nogach, ówdzie rozłamany cukierek, tam piesek bez głowy. Wszystkie własności Petrei po rozlicznych próbach jakie z niemi wykonywała, podpadły smutnemu zniszczeniu, nawet owo serce piernikowe, którém tylekroć wabiła Gabryelkę, dziś właśnie zjadła, w nieszczęśliwéj chwili łakomstwa. Petrea w istocie nic nie posiadała, coby mogło wystąpić jako dar przyzwoity. Obaczyła to z westchnieniem i ściśnioném sercem, i jużłzyzaczęły jéj płynąć z oczu, gdy naraz przyszła jéj myśl szczęśliwa. A owa kobieta u różanego krzaka! Ten klejnot jeszcze posiadała; wisiał nienaruszony za szkłem i oprawiony w ramki na niebieskiéj wstążeczce nad jéj łóżeczkiem. Po chwili namysłu, wdrapała się na łóżeczko, zdjęła obrazek z gwoździa, pobiegła oddać to co najdroższego posiadała z błyszczącemi oczyma, palącém licem, i uroczyście mianowała Sarę właścicielką tak upragnionego niedawno obrazka.

„Mała-Afryka“ okazała się dość obojętną na ofiary małych mieszkanek Europy; przyjęła je wprawdzie, lecz odłożyła zaraz na bok niedbale; widząc to Ludwisia podjęła się jéj schować te podarki.

Wśród tych wypadków nadszedł assessor; rzucił badawczy wzrok dokoła pokoju, uśmiechnął się

i rzekł naprzód do siebie: „Tak! to dobrze! to mogłem przewidzieć!“

„No“ — dodał głośno i gderliwie ściskając rękę radcy—„jak widzę, wam się zdaje że za mało macie własnych dzieci w domu, kiedy cudze jeszcze sprowadzacie. Wiele ich zgromadzić myślicie? Czy jutro znowu nowe przybędzie? Zapewne nie mogliście się zaspokoić nie uzupełniwszy pół tuzina dziewcząt? I do czego to doprowadzi? Wśród tylu dzieci w domu nie będzie można kroku postąpić! Lecz wy zapewne macie tyle pieniędzy i mienia, że je gwałtem innym musicie narzucać. No, daj Boże szczęście!“

Państwo Frankowie odpowiedzieli na gderanie przyjaciela uśmiechem i zaproszeniem, by z niemi ten wieczór pozostał. Ale nie miał czasu jak mówił, i odszedł włożywszy wyjęte z kieszeni duże gruszki pod talerze dzieci. Każda gruszka miała znak pewien; Sary była związana żółtą wstążeczką, a pod nią znalazł się na talerzu papier bankowy znacznéj wartości. Był to dar assessora dla sieroty, ale według zwyczaju nigdy się do niego przyznać nie chciał.

Gdy Sara szła spać i matka poprowadziła ją do łóżka, Petrea obaczyła z wielką radością, że Sara ze wszystkich otrzymanych podarków, obrazek od niéj wzięła tylko z sobą, przypatrując mu się z zadowoleniem. Jednak w miłym sypialnym pokoju

dzieci gwałtowna żałość opanowała sierotę, poczęła mocno płakać i wołać głośno ojca. Eliza wzięła ją na ręce, na swoich piersiach dała jéj się wypłakać, potém uspokoiwszy rozebrała dziecinę i gdy ją niosła do łóżka, uczuła z pociechą że Sara objęła pieszczotliwie jéj szyję rękami. Obrazek od Petrei zawieszono nad łóżkiem Sary, ale choć na białéj i miękkiéj pościeli, spokój dalekim był od „małéj-Afryki“. Ciemne jéj oczy spoglądały z przerażeniem po pokoju a rękami chwytała się sukien Elizy. „Nie chodź odemnie!“—szeptała—„bo oni przyjdą i zabiją mnie!“ — Wzięła więc Eliza ręce dziecięcia w swoje i kazała jéj za sobą odmówić prostą, pobożną, dziecinną modlitwę, którą wszystkie jéj dzieci umiały. Sara powtórzyła ją machinalnie, uspokoiła się jednak cokolwiek, ale nie puściła sukien Elizy, która widząc że chwilami jakby dreszcz przebiegał biedną dziecinę, usiadła przy niéj i na prośbę swoich malców zaśpiewała miłym, cichym głosem małą piosnkę o gołąbku, którą sama dla dzieci ułożyła:

„Siedzi gołąbek piękny i biały,
Na liliowém kwiecie,
I jak Chrystus miłością przejęty cały,
Słucha o co prosi dziecię.

Usłyszawszy skrzydła wznosi,
W górę ulatuje,
Ojcu w niebiesiech zanosi,
To co serce dziecka czuje.

Potém znów lekko do nich się spuszcza
Z błogosławieństwem Najwyższego;
Dziatki! Niech szczęście was nie opuszcza,
Módlcie się do Ojca wszechmocnego!“

Podczas śpiewu gołąb pokoju zstąpił w dziecięcą duszę. Miłe obrazy przesuwały się przed wyobraźnią Sary; kobieta u różanego krzaku i śpiewająca Eliza zlewały się w jednę postać, róże woń wydawały, a w miarę jak długie powieki Sary tuliły się do liców zasłaniając oczy usypiające, zdało jéj się jak gdyby biały, pięknie śpiewający ptak osłaniał ją pieszczotliwie swemi skrzydłami. Wreszcie mała rączka wypuściła suknię Elizy, spłakane oczy sen pokrył, a słodki spoczynek utulił sierotkę pozbawioną ojca i matki.

Eliza wstała cicho i przystąpiła do łóżek swych dzieci, które także piosnka ukołysała. Pocałowała każde, poleciła Brygicie nowo przybyłą a przekonana, że poczciwa, lubiąca dzieci staruszka będzie nad nią czuwać troskliwie, pospieszyła do męża.

Słuchał chciwie co mu mówiła o Sarze; zdawało się iż ten nowy członek jego rodziny, zwiększający troski, ożywił i podniósł jego duszę. Jego oczy słodkiém zabłysły rozczuleniem, gdy począł mówić z Elizą o przyszłości dzieci. Świeża u obojga pamięć historyi Eweliny była mu bodźcem nowym, by prawdziwe dał życie swoim dzieciom i domowi. „Nie dla siebie będziemy dzieci wychowywać“ —

rzekł z zapałem — „ale dla nich, dla ich dobra i szczęścia, o które będziemy się usilnie starali, i ufam że z pomocą Bożą znajdziemy do tego drogę, odgadniemy czego któremu potrzeba; pozyskajmy tylko i zachowajmy ich zaufanie, a gdyby surowość mego charakteru odstręczała ich kiedy, to mi pomagaj Elizo! Niech ich tajemne troski i życzenia przez ciebie do mnie dochodzą.“

„A gdzież jeśli nie do ciebie ze wszystkiém się udam?“—rzekła Eliza serdecznie.—„Tyś moją najlepszą podporą, siłą mego życia, jakże słabą byłabym bez ciebie!“

„A gdyby nie ty Elizo, siła moja byłaby się stała srogością. Natura dała mi charakter despotyczny. Nieraz dawniéj i teraz jeszcze często z trudnością mi przychodzi go pokonywać, ale ufam że mi się to uda z pomocą Bożą. Będziemy droga Elizo coraz lepszymi. Dla dzieci, dla ich szczęścia będziemy usiłowali siebie uszlachetniać.“

„Tak, mój Erneście, tak! Oby pokój domowy wcześnie ustalił pokój w ich piersiach.“

„Uczynimy ich szczęśliwemi“—mówił ojciec daléj z coraz serdeczniejszym zapałem: „Z pomocą Bożą żadno nie pójdzie w życie z duchem niedołężnym lub skrzywionym. Moje drogie małe dziewczątka! Cali, zupełni ludzie z was będą, nie połówki człowieka. Żaden obłęd nie zasłoni wam oczu na rzeczywiste bogactwo życia. Każde wasze

pragnienie za czémkolwiek szlachetném będzie zaspokojone. Wszak życie dość bogate by wszystkie ptaki niebieskie nakarmić, i nikogo Opatrzność Boża nie opuszcza. Wasze niewinne lata radością otoczymy, poznacie wcześnie ważność rzeczywistego życia, uzbroicie się w siłę, a święte uczucie powinności stanie się dla was błogosławieństwem dnia każdego, urokiem każdéj chwili i zatrudnienia, i da wam pokój i samodzielność w radości i cierpieniu, w życiu i śmierci.“

Słuchając tych słów Eliza rosła na duszy. Przy tak pięknym celu wszystkie ciężary życia wydały jéj się lekkiemi. Czuła z roskoszą że to męzkie, kochające serce dla niéj tylko i dla dzieci bije, myślała z radosną dumą, że z chlubą na męża spoglądać może, bo on wysoko stoi i pokora przeniknęła jéj własne serce. Schyliła się i pocałowała go serdecznie w rękę.

Radca tego nie lubił, gdyż jak każdy prawdziwy i silny mąż wolał raczéj niewieście hołdować, jak by ona—przynajmniéj na pozór —jemu hołdy oddawała. Usunął więc nierad rękę.

„Dla czego nie mam cię w rękę pocałować, kiedy mi to przyjemność robi?“ zapytała Eliza.

„Ale mnie nie miło, i nie czyń tego więcéj nigdy.“

„No, no, mój drogi! Nie potrzebujesz mi tak

surowo zakazywać. Może mnie więcéj nigdy ochota na to nie weźmie.“

„Tém lepiéj!“

„Może téż i weźmie. Ale teraz chodźmy do spoczynku!“

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

NOWY DOM.

„Bądź zdrów domie, gdzie me dzięciństwo upłynęło! Bądźcie zdrowe mury, nieczułe świadki pierwszych łez moich, mego pierwszego uśmiechu, pierwszych kroków i potknień się na nierównéj drodze życia, mojéj pierwszéj znajomości z kminkową zupą i z abecadłem. Ty kącie, w którym stałam z trudną do nauczenia się lekcyą i ty, w którym daremnie starałam się ułaskawić najniewdzięczniejsze ze wszystkich stworzeń, komara i gąsienicę! Wy podłogi, któreście mnie nosiły wśród zabaw i gier z mojém rodzeństwem drogiém! Wy obicia, które dziurawiłam szukając mniemanych, ukrytych skarbów! Wy, świadki moich potyczek z butelkami, szklankami i rozmaitych czynów — żegnam was na zawsze, idę by na nowych widowniach nowych przygód i losów próbować!“

Tak mówiła Petrea Frank z tragikomicznemi gestami żegnając się z domem, z którego się wraz z rodziną wyprowadzała.

Był to dzień przyjemny w połowie kwietnia. Czarny jedwabny płaszcz i ogromny czerwony deszczochron (wspólność majątkowa rodziny Franków) przebywały w dniu tym ustawicznie tam i nazad ulice miasta X. w towarzystwie dużéj, blond, niebiesko-okiéj dziewczyny, służącéj i małego, zwinnego bruneta, służącego, którzy nosili szkatułki, kosze, tłumoczki i t. p. Ku wieczorowi wreszcie ujrzano długą, chudą postać assessora Jeremiasza Muntera, który niósł familijny deszczochron nad Petreą Frank i sobą. Petrea coś niosła pod płaszczem, szczebiotała i śmiała się i oboje z assessorem zdawali się być z siebie bardzo zadowoleni. Na nieszczęście radość nie długo trwała. Na schodach przystąpiła Petrea przypadkiem tasiemki od bucików, upadła, i wielki pakiet cukierków wytoczył się nagle z pod płaszcza, a karmelki, migdałki i suche owoce rozsypały się na wszystkie strony. Pomimo przestrachu w pierwszéj chwili, nie mogła powstrzymać głośnego śmiechu widząc przerażenie assessora i jego skoki za toczącemi się ze schodów cukierkami. Był to dar assessora ku uczczeniu uroczystości dnia, który się tak nieszczęśliwie zakończył.

„Tak, gdyby nie było kobiet na świecie, toby ja-

koś można sobie na nim dać rady; ale skoro one przyjdą pomagać, wszystko przepada. „Proszę to mnie zostawić, ja już o tém będę miała staranie!“ mówią—a jak się wezmą do czego, to—widział kto kiedy taki nierozsądek? Upaść przystępując tasiemki od trzewików! Ale kobiety nie znają w niczém ładu i porządku; i takie stworzenia stawiają u steru rządu całych krajów! Krajami im rządzić! Ja nic więcéj od nich nie wymagam jak żeby umiały zarządzać własnemi nogami i wiązały porządnie buciki i trzewiki, ale i tego nie potrafi żadna kobieta w świecie, zacząwszy od królowéj a skończywszy na wyrobnicy.“

Tak brzmiała filipika Jeremiasza Muntera, gdy z Petreą wszedł do pokoju i rzucił okiem na pozostałe nieliczne rozbitki pakietu cukierków. Daremnie Petrea uniewinniała się i przepraszała; nie mogła ułagodzić jego gniewu. Wyznać trzeba, że z trudnością powstrzymywana chęć do śmiechu sprawiała, iż żal Petrei za winę zdawał się dosyć podejrzanym. Gdy jednak wreszcie w istocie było jéj przykrém nieukontentowanie starego przyjaciela, Ewa się w to wdała i rzekła do assessora proszącym, pochlebnym głosem: „Nie gniewajże się już wujaszku! Biedna Petrea tak się zmartwiła, i jeszcze przytém uderzyła się w nogę.“ Na co assessor odrzekł zupełnie innym głosem:

„Doprawdy? Ale czemuż jest tak nieuważna, potyka się i płacze, że—“

„Cukierki są rzeczą do odzyskania.“

„Tak? Do odzyskania? Rosną może na drzewach, co? Trzeba wyrzucać pieniądze na cukierki aby je potém po ulicy rozsypywać? Piękne gospodarstwo! Dziękuję za nie.“

„Proszę powiedzieć Petrei jakieś milsze słówko.“

„Milsze słówko? Powiem jéj żeby była tak dobrą i na drugi raz lepiéj buciki wiązała. No, teraz przyniosę trochę cukierków, ale tylko dla ciebie to zrobię panno Ewciu. Zaraz idę, mógłbym nawet tańcować gdybyś ty — Ale dészcz pada ogromny! Pożyczcie mi „deszczochronu familijnego“ — moglibyście mi nawet tego płaszcza pozwolić; dajcież mi go! No, cóż się spoglądacie? He? Ludzie będą się za mną oglądać? I owszem, jeśli ich to bawi. Niech się i śmieją ze mnie, byle mnie z tém dobrze było. Zdrowie i wygoda przedewszystkiém, a suknia jedna jest tak dobra jak druga.“

Ze śmiechem zarzuciły młode dziewczęta assessorowi na ramiona „płaszcz familijny“ który mu do kolan nie dostawał i wyszedł dużemi kroki.

Rodzina Franków w dniu tym sprowadziła się do nowego domu. Radca zakupił go wraz z małym ogródkiem na dożywocie sobie i żonie, i od dwóch lat już tam walił, murował, naprawiał i urządzał, jedne drzwi zamykał, drugie wybijał, dopóki

wszystko nie było tak wygodne i dobre jak pragnął. Żona zostawiła to wszystko z ufnością jego woli, rada, że nie ma do czynienia z mularzami i cieślami, nie słyszy ich hałasu i nie znajduje się wśród mnóstwa ich narzędzi i naczyń. Obicia zaś i inne ostateczne urządzenia zostawił radca do wyboru żonie i córkom.

A teraz prowadząc żonę pod rękę przechodził zadowolony z piętra na piętro, z jednego pokoju do drugiego i cieszył się wygodném, miłém i obszernem pomieszkaniem, bardziéj zaś jeszcze żywém zadowoleniem Elizy z jego całego dzieła. Nie puścił jéj téż dopóki nie oprowadził po całym domu, od piwnic i drwalni do strychu.

Nie chcąc utrudzić czytelnika, nie będziemy towarzyszyć téj całéj przechadzce, zapoznamy go tylko z niektóremi pokojami, w których częściéj będziemy spotykali rodzinę Franków. Sala i pokój bawialny były ładnie, ale w zwykły sposób urządzone; z widocznem zaś upodobaniem przyozdobił radca pokój zwany biblioteką, który miał być codziennem miejscem zbierania się rodziny. Był długi i wesoły, z trzema oknami po jednéj stronie, wychodzącemi na wielki plac targowy. Ludwika cieszyła się tém najbardziéj, że można było dostrzedz z okien na placu w dzień targowy, co się tam znajduje do kupienia potrzebnego w domu; na przeciw wznosił się kościół z pięknym, drzewami zasadzo-

nym dziedzińcem, a ten widok bardzo się Elizie podobał. Przeciwległa ściana pokoju była zupełnie okryta książkami ułożonemi na półkach w oddziałach, zawierających każdy literaturę pewnego kraju. We framugach znajdujących się między oddziałami, stały na prostych ale ładnych podstawach popiersia ludzi znakomitych pod względem spokojnych darów geniuszu, sztuki i nauki, przy czém radca zrobił uwagę, iż tu stoją nie dla tego, aby rozgraniczali ludy ziemskie, ale aby je łączyli. Biblioteka radzcy odznaczała się dobrym dzieł wyborem, przez całe życie miał największą przyjemność pomnażać swój zbiór ksiąg, ale teraz dopiero urządził bibliotekę i zebrał w jedne miejsce; cieszył się więc tym skarbem i dozwolił córkom go używać ilekroć zechcą, tylko pod warunkiem wyraźnym, aby każdą książkę na swoje miejsce napowrót stawiały. Ludwika mianowaną została zaraz bibliotekarzem.

Matka i córki cieszyły się tym pokojem i uważały zaraz jak się tu rozłożą, gdzie stanie stolik do roboty, półki do kwiatów i t. d., i otóż! wszystko przypadało doskonale. Pod jedną z krótszych ścian pokoju stała zielona sofa, na któréj matka miała przesiadywać, pod przeciwległą był fortepian, harfa — ulobiony instrument Sary — i gitara, na któréj Ewa zaraz zagrała i zaśpiewała: „mamma mia."

Miłéj niespodzianki doznała Eliza, gdy ją radca zaprowadził małemi drzwiczkami okrytemi obiciem z biblioteki do gabinetu, mającego tenże sam widok, który wybrał na osobny dla niéj pokoik. Matka zobaczyła z rozczuleniem, że wszystkie w nim sprzęty obite były śliczną córek robotą. Jéj stół do pisania stał pod oknem; kilka ładnych obrazów i piękne grupy z porcelany zdobiły pokój; Eliza widziała z wdzięczną radością że mąż i dzieci usiłowali dogodzić wszystkim jéj drobnym gustom i upodobaniom.

Podobne po drugiéj stronie drzwiczki jak od biblioteki zaprowadziły Elizę z tego pokoju do sypialnego; radca zaś zwrócił jéj uwagę na to, jak lekko się drzwi poruszały, i jak łatwo będzie mogła zewsząd się zamknąć i używać samotności i pokoju.

Daléj była łazienka, która prawie najwięcéj ucieszyła Elizę, gdyż radca ją bardzo wygodnie urządził i z zadowoleniem odkręcał jéj kurki, pokazywał zkąd idzie woda ciepła, zkąd zimna, i jak się tu wszystko znajduje co tylko do wygody i przyjemności przy kąpieli służyć może. W sąsiednim, do ubrania przeznaczonym pokoju, miała także zamieszkać stara, porządna Brigita i tu starzéć się razem z ogromną szafą bielizny; tu był już przybity na ścianie jéj zegar, tu mruczał jéj kot, kwitły ge-

ranje i balsaminy, pomiędzy któremi leżała biblja i zbiór pieśni nabożnych.

Trzy jasne i miłe pokoje córek znajdowały się na drugiém piętrze i były bez wszelkiego zbytku, ale ślicznie ozdobione i urządzone. „Wszak im tu będzie dobrze, Elizo?“ zapytał ojciec z jaśniejącemi oczyma. „Trzeba nam dom rodzicielski tak miłym dzieciom uczynić, by go nigdy bez bardzo ważnych i słusznych przyczyn opuścić nie chciały, by żaden niepokój ani przykrości nie wypędzały ich z domowego świata. Tu mogą używać wygody, spokoju i samotności, która czasem jest rzeczą dobrą i potrzebną, nie tylko młodym, lecz każdemu człowiekowi, aby wszedł w siebie samego i z sobą się porachował. Matka zgadzała się z nim najzupełniéj. Po chwili jednak jéj myśl była widocznie zajęta czém inném, a gdy weszła Ludwika, rozpoczęła się między obydwoma ważna rozmowa, z któréj radca usłyszał następne słowa:

— „A potém moja droga, przyjdą pirożki, tylko każ sześć dużych bardzo upiec, bo wiész że Henryk takie lubi.“

— „Może dać także zamrożoną śmietanę z malinami do pirożków?“

— „Dobrze, Jakobi będzie z tego rad.“

Ludwika zarumieniła się trochę, a wesoły radca prosił dla siebie oprócz „niebiańskiego przysmaku,“ coś pożywniejszego na wieczerzę i to mu przyrzeczono.

Na dole w sali gniewny assessor otrząsał z dészczu familijny deszczochron. — „Najnędzniejszy deszczochron w całém chrześciaństwie — nie chroni ani od wiatru, ani od dészczu, a ciężki niezmiernie, i“— dalsze gderanie przerwał mu nagły w domu hałas i wesołe, serdeczne powitania wykrzyki. Zrzucił szybko płaszcz na deszczochron i pobiegł w podskokach, by uścisnąć ręce synowi i przyjacielowi domu, którzy właśnie obydwa powrócili z akademii.

Z radością i witaniem mięszały się także wyrazy politowania: „Jakżeście wy przemokli i zziębli!“

„O mieliśmy ulewę przepyszną“— wyrzekł Henryk spoglądając na Jakobiego, przemokłego do nitki i zmęczonego podróżą. „Taki czas to właśnie dla mnie; wśród wichru i dészczu stajemy się — tak — nie wiem właśnie czém? Dokończ ty, mon cher!“

„Marmoladą, zupełnie marmoladą!“ rzekł kwaśno i dzwoniąc zębami Jakobi. „Czémże inném stać się można, tłukąc się na najniegodziwszym wozie chłopskim, wśród burzy i dészczu. Hu, uh, ub, hu!“

Henryk roześmiał się serdecznie ze smutnéj miny swego współtowarzysza i wyrzekł: „Mnie się zdaje przeciwnie, że takie powietrze hartu dodaje

i napawa jakiémś dumném, wzniosłém uczuciem, gdy siedziemy spokojni wśród walki żywiołów, zwłaszcza spoglądając z wysokości na innych śmiertelnych, biegnących śpiesznie i bojaźliwie pod swemi dészczochronami. Wtedy siedzi się na wozie jak na tronie — przychodzi nawet myśl pochlebna, że się jest trochę filozofem. Apropos! zdawało mi się jadąc przez miasto, żem widział jakiegoś filozofa w kobiecym płaszczu. Lecz jakże wy się wszystkie macie, moje drogie, kochane siostry? Jakże to już dawno nie widziałem was?“ I ściskał ich ręce w swoich zimnych i mokrych.

Téj scenie wśród zmroku wieczornego położono wkrótce koniec, wyprawiając panów do ich pokoju by suknie zmienili. Jakobiego nie trzeba było długo na to namawiać; Ludwika zaś znalazła, że Henryk nie bardzo właściwie zastosował tu swoją filozofię. Wprzód już postarała się, aby wesoły na kominku ogień przyjął podróżnych w ich wygodném pomieszkaniu.

Tymczasem panie usiadły w bibliotece; zapalono świece, przysunięto stół, radca wszystkim pomagał i wszystkiém się cieszył.

Assessor patrzał zachwycony, jak Ewa swe cukierki na małe rozkładała talerzyki; Petrei zabraniał patrzéć się na nie, a cóż dopiero je ruszyć.

„Nie prawdaż, drogie moje dziewczęta, jak tu miło?“ zawołał ucieszony radca, widząc teraz bibliotekę zaludnioną i tak już urządzoną jak zawsze pozostać miała. — „Czy ci wygodnie na sofie, Elizo? może ci podać stołeczek pod nogi? Nie ruszaj że się moje życie. Od czegoż mężczyzni są na świecie?“

Mistrz Jakobi gdy wszedł po godzinie, pięknie przebrany z młodym przyjacielem do pań, zdawał się być innym człowiekiem niż pierwéj w przemokłych sukniach, a twarz jego zajaśniała radością na wesoły widok, który go otoczył.

Przypatrywano się teraz sobie bliżéj: Henryka znaleziono o wiele chudszym i bledszym; przyjął to jako pochwałę swéj pilności w naukach. Jakobi domagał się podobnéj pochwały, ale mu jéj odmówiono bo wybornie wyglądał; napróżno dowodził iż to słońce tak go opaliło. Ludwisia myślała w cichości, że Jakobi zyskał wiele pod względem męzkości i siły a prostoty w układzie; stał się podobniejszym do jéj ojca, który zawsze jeszcze dla Ludwiki był ideałem męzkiéj doskonałości.

Mała Gabryela zaczerwieniała się mocno i schowała za matkę, gdy brat tak do niéj przemówił „Najłaskawsza księżniczko Turandot! Jakże zdrowie waszéj wysokości? Czy nie ma tam jakiéj zagadki gotowéj, aby nasze biedne głowy pozawracać?“

Zmięszało się dziewczątko i chciało wyciągnąć bratu rączkę, którą on najserdeczniéj całował.

Widocznie Gabryela zatrwożyła się w obec wysokiego studenta.

Henryk brał każdą siostrę na osobną rozmowę, z Małą-Afryką miał jakoś krótko i zimno. Potém usiadł przy matce, jéj rękę trzymał w swoich, rozmowa stała się ogólną i ożywioną a Ewa częstowała cukierkami.

„Cóż to znowu?“ zawołał nagle Henryk — czemu siostry nas teraz opuszczają i składają tam jakąś naradę z tak uroczystą twarzą? Czy kraj w niebezpieczeństwie? Nie mamże go wespół ratować? Żeby tylko pierwéj spokojnie zjeść wieczerzę, rzekł niby do siebie, jak się na scenie „na stronie“ mówi.

Właśnie to o wieczerzę chodziło, wieczerza była w niebezpieczeństwie, bo pirożki się nie udawały. Jakobi i Henryk postanowili pomagać i mimo oporu pobiegli do kuchni, gdzie z wielkiém zadowoleniem młodych pań a tragikomiczną rozpaczą kucharki, z niesłychaną niezgrabnością wystąpili w roli kucharzy; wreszcie Ludwika z poważną twarzą położyła koniec szalonym śmiechom, figlom i tańcowi spalonych pirożków, sama się do téj rzeczy biorąc. Pod jéj okiem i za przyłożeniem jéj ręki pirożki udały się wybornie. Jakobi uprosił sobie jeden przez nią upieczony w nagrodę swych trudów, a otrzymawszy go połknął gorący dar tak chciwie, że byłby mu popalił wnętrzności, gdyby

(jak się domyślamy) materyalnemu pożarowi nie działał odwrotnie inny, słodki ogień w duszy.

Otóż przymieszaliśmy tu nakoniec coś homeopatycznego? Że zaś to nigdy smaczném nie jest, opuszczamy więc teraz kuchnię by zasiąść z rodziną do wieczerzy, rozpoznawać które pirożki czyjém są dziełem, lecz wszystkie wychwalając, zajadać z „niebiańskim przysmakiem“ i ziemskim apetytem. Potém pito zdrowie podróżnych i zaśpiewano przytém wesołą piosneczkę ułożoną przez Petreę. Ojciec cieszył się swoją Petreą, która do najwyższego stopnia zelektryzowana, z całych sił chociaż nie bardzo miłym głosem, śpiewała nie czując braku muzykalnego słuchu. „Ona głośniejsza niż wszyscy razem!“ rzekł radca do żony, która z mniejszém zadowoleniem uważała postępy Petrei w muzyce.

Chociaż wszyscy znajdujący się w towarzystwie, przepędzili dzień ten w trudach, zaczęła jednak młodzież tańczyć zaraz po wieczerzy, jakby posłuszna naturalnemu prawu.

Jakobi, który zdawał się być bardzo uderzony powierzchownością Sary, wiódł ją w czarowne obroty walca. „Nasza mała, rozsądna Ludwisia“ była teraz tłuściutką, ale słusznego wzrostu, kształtną i ładną ośmnastoletnią blondynką, odznaczającą się w tańcu piękną nóżką i miłą choć zbyt poważną postawą. Najchętniéj zwracały się wszystkich oczy na Ewę, która ciałem i duszą była od-

dana tańcowi. Gabryela z złotemi swemi loczkami latała w koło jak motylek. Nikt się od tańca nie usuwał. Ochoczość Henryka, niezmiernie dziś wesołego, tak ożywiała wszystkich, że nawet asessor poszedł z Ewą do polki, którą tańczył z wielką sztuką i talentem.

Dopiero o północy na żądanie Elizy ustał taniec. Nim się porozchodzono prosił radca żony, by mu zaśpiewała znaną piosneczkę: „Pierwszy wieczór w nowym domu“. Uczyniła to w właściwy jéj sposób z prostotą i tkliwością, a swoboda i pokój jaką tchnie piosenka przejęły wszystkich; nawet radcy oczy zajaśniały łzami rozczulenia. Cicha, tkliwa roskosz przeniknęła całą rodzinę i upiękniła wszystkie twarze, bo śpiew jak światło słoneczne rozlewa ożywcze promienie na wszystkie twory i chwilowéj przynajmniéj użycza im piękności. Nawet „prządka“, nawet „Starzec nad drogą“, przechodzą piosnką w państwo piękności, jak przez ewangelię do nieba.

Przy „dobréj nocy“ umówili się wszyscy iż się zejdą nazajutrz po śniadaniu w ogrodzie, by obaczyć co się z niego da zrobić.

Ojciec poszedł z córkami do ich pokojów, chcąc jeszcze raz obaczyć jak im tam będzie, i pytał troskliwie: „Cóż, czy rade jesteście z urządzenia moje dziatki, czy podoba wam się tutaj? Może chcecie coś odmienić, to powiedźcie tylko śmiało.“

Gdy zaś wdzięczne córki zapewniały go serdecznie że wszystko wybornie urządzone, i tuliły się i cisnęły z pieszczotami do niego, nie było szczęśliwszego na ziemi człowieka jak radca Frank.

Matka zaś wzięła z sobą do gabinetu swego pierworodnego, z którym jeszcze i słowa we cztery oczy nie mówiła. Jakżeż go teraz o wszystko wypytywała co go się tylko tyczyło, i jakże chętnie i szczerze otworzył on jéj swe serce! Potém mówili o rzeczach tyczących się całéj rodziny, o nowém kupnie, o długu zaciągniętym z tego powodu i środkach spłacenia go powoli, i potrzebie oszczędności. Potém mówiono o dziewczętach domowych.

„Ludwisia jest śliczna!“ rzekł Henryk, „tylko płeć jéj nie dosyć czysta. Czy nie mogłaby jakiéj wody używać? Byłaby wiele ładniejszą gdyby miała świeższą płeć. Minę ma jakąś zbyt uroczystą. Co za minę naprzykład miała przepyszną, kiedy Jakobi powiedział jéj dziś jakąś grzeczność. Mnie się zdaje mamo, że dziewczęta za wiele siedzą, i ztąd tak poważnieją. Musiemy je rozruszać i rozbawić! A Ewa jakże wyrosła, a jaka wesoła i jedyna! Radość bierze patrząc na nią; możnaby się w niéj zakochać. Ale co to będzie daléj z nosem Petrei? Taki gruby i długi, że nie wiem co ona z nim pocznie, a szkoda bo to niezmiernie poczci-

we i zabawne dziewcze. Eleonora biedna jakaś słaba i skwaszona! Musiemy ją rozweselić.“

„Byle do zdrowia już raz zupełnie powróciła, to wesołość sama z siebie przyjdzie. No, a nic nie mówisz o małéj Gabryeli?“

„Ach, ta jest prześliczna i miła nad wyraz, z swoją pyszną minką.“

„A Sara?“

„Sara jest piękna — bardzo piękna — a przecież mnie się nie podoba. Do sióstr wcale nie podobna, ma coś w sobie zimnego, prawie odtrącającego.“

„Tak“ — odrzekła matka z westchnieniem — „od jakiegoś czasu Sara często jest dziwną. Lękam się czy pewna osoba nie uzyskała nad nią zanadto wielkiego i szkodliwego wpływu, ale to dziewcze hojnie jest od natury obdarzone i bardzo zajmujące, i z niéj wieleby mogło być dobrego, gdyby — gdyby — nieraz się nią martwiemy, bo ją kochamy jak własne dziecko. Nadzwyczajny ma Sara talent do muzyki — usłyszysz ją! wiele posiada darów i powabów; zobaczysz to, zostając teraz dłuższy czas z nami.“

„Dzięki Bogu! mam parę miesięcy wakacyj.“

Teraz zwróciła się rozmowa na przyszłość Henryka. Radca życzył sobie by się syn oddał górnictwu; Henryk nawet odbył już potrzebne ku temu nauki, lecz czuł coraz mocniejszą skłonność do innego zawodu, co nawet było obecną troską

rodziny. Matka prosiła tylko swego jedynaka, by siebie dobrze wypróbował i doświadczył nim opuści zawód miły ojcu i który Henryk po naradzie z nim sam był obrał. Henryk jéj to szczerze przyrzekł; dusza jego była szlachetna i ognista. Piękny przymiot młodzieńczego serca, czysty zapał dla cnoty i bliźnich, gorąca wola służenia im opanowały całe jego serce. Z myślą o własnym dalszym losie wiązała się u niego nieodstępnie chęć zostania użytecznym ogółowi, a nadzieja szczęścia kwitła mu tylko w wspólném szczęściu jego rodziny. Te myśli i uczucia wylewał przed matką w szczęśliwéj poufnej rozmowie, przed szczęśliwą matką, któréj serce biło roskoszą i chlubnemi nadziejami dla swego pierworodnego ukochanego dziecięcia.

„A gdy już“ — kończył Henryk całując radośnie rękę matki — „gdy już dojdę do pewnego stanowiska w świecie i mieć będę swój dom własny, wtedy mama u mnie zamieszka. Nieprawdaż?“

„A cóżby twój ojciec na to powiedział?“ odrzekła z uśmiechem.

„Ma przecież wszystkie siostry, to mogą mu domem zarządzać, i“ —

„Czy całą noc myślicie tak siedzieć“ — zapytał radca stanąwszy we drzwiach.

Matka i syn zerwali się jakby schwytani na jakim spisku; odkryto zaraz ten spisek radcy, który oświadczył, że rzecz ta doprowadziłaby do tak

okropnego procesu, iż lepiéj o niéj nigdy nie mówić.

Śmiejąc się powiedziano sobie dobranoc, lecz Henryk całując rękę matki wpadł w zachwycenie.

„Mój Boże! co za rączka! a ten mały paluszek! Nie, jak to można mieć taki mały paluszek!“

I z komiczną czcią całował palec mały jéj pięknéj ręki.

„Widzę że chyba porwać i unieść cię ztąd muszę!“ — rzekł wesoło radca, wziął żonę na ręce i zaniósł do jéj pokoju.

Myśli Elizy pozostały jednak przy jéj ukochanym, pięknym, pełnym nadziei synu. Gdy noc pierwszą w nowym domu słodko wszyscy spali, ona modliła się gorąco o jego szczęście i o udoskonalenie, o jakiém marzył.

II.

NAZAJUTRZ.

Z jakąż przyjemnością zeszła się nazajutrz rodzina w obszernéj i pięknéj sali, przy obfitém śniadaniu? Lecz jak obojętną jest rzeczą sala i śniadanie i wszelki zewnętrzny „comfort“, jeśli na we-

wnętrznym zbywa, jeśli kochające serca i wzrok przyjazny nie rozjaśnią sali, nie przyprawią śniadania! W domu Franków na niczém nie zbywało tego rana, nawet słońce jasno im przyświecało.

Henryk miał przemowę do pani Foletty, w któréj wyrażał jéj swe uszanowanie i miłość, jakotéż radość, że ją w dobrém zdrowiu obaczył.

Ludwika podawała z pomocą Ewy kawę i herbatę, chléb z masłem i rogalki i t. d. zważając pilnie by każdy otrzymał to, co najlepiéj lubi Koszyk z obarzankami kilka razy był posunięty ku Jakobiemu.

„Przepysznie tutaj!“ — zawołał Henryk, zacierając ręce i poglądając radośnie na rodziców i rodzeństwo—„jesteśmy jak w raju! Co rozkaże wasza wysokość? Ach, najniższy sługa! Czy mogę prosić o kawę najlepsza pani Foletto?“—

„Po śniadaniu“— rzekła matka—„dam wam zagadkę do odgadnienia.“

„Do odgadnienia? Cóż to być może? Proszę mamy zaraz powiedzieć! Jak się zowie zagadka?“

„Małżeństwo!“

„Małżeństwo? bardzo ciekawa nowina! Nie przełknę już i kawałeczka, nim dojdę do gruntu téj rzeczy. Najdroższy Jakobi! czy nie mógłbym dostać obarzanków! Małżeństwo! Czy znam strony zawierające je?“

„Bardzo dobrze!“

„Czy tylko przypadkiem nasz poczciwy Munter nie myśli się żenić? Wygląda jakoś dziwnie, jak gdyby był zakochany.“

„Nie, nie! Ten się pewno nigdy nie ożeni.“

„On już taki stary!“

„Czemu robisz go tak bardzo starym, Ewo?“ rzekł radca — „on ma dopiero jakie czterdzieści kilka lat, tylko prawda, że staro wygląda.“

„Zgadujcie lepiéj!“ odezwała się matka znowu.

„Wiem już, wiem!“ zawołała Petrea czerwieniąc się—„Laura, ciotki Eweliny Laura!“

„A, teraz już jestem na dobréj drodze“—zawołał Henryk — „a narzeczony jest major Arwed G. Nieprawdaż?“

„Zgadliście! Laura dobrze idzie za mąż. Major G. jest poczciwym, a przy tém majętnym człowiekiem. Namówił Ewelinę by pojechała z Laurą i z Karyną do jego pięknego majątku Axelholmu, i jego dom za swój uważała.— Ewciu! podaj Henrykowi szynki! Co chcesz Gabryelko, mój aniołku? Jeszcze biszkopta! — bardzo prędko zajadasz! Eleonoro! może ci podać jeszcze kawałek chleba z masłem, moje dziécię? — nie chcesz?“

„Spodziewam się“ — rzekł Henryk — „że będziemy zaproszeni na wesele; zawsze rozumna ciotka Ewelina będzie miéć ten rozum iż nas zaprosi. Najłaskawsza siostro Ludwiko, czy te biszkopty

(bardzo pożywne i szanowne biszkopty) przed, lub po potopie zostały upieczone?“

„Po“ — odpowiedziała Ludwika z uśmiechem, lecz trochę obrażona.

„O! korzę się w prochu i proszę waszéj wysokości o najłaskawsze przebaczenie, (głośno na stronie: „jednakże mają smak zupełnie jak gdyby były w arce lub tym podobném schowaniu.“) Ale jakież ty śniadanie pożywasz Petreo? Nie, kochana siostro! taki zbytek w jedzeniu i piciu nie uchodzi. Boję się byś nie zachorowała z wielkiego jedzenia!“

Petrea, która miewała zawsze jakieś szczególne fantazye, czyli jak Ludwika nazywała „raptusy“, od jakiegoś czasu na śniadanie wypijała tylko szklankę zimnéj wody i zjadała kawałeczek czarnego chleba. Henryk prześladował ją tém zbytniém umiarkowaniem, a ona odpowiadała mu wesoło. Ludwika przeciwnie brała tę rzecz traiczniéj i uważała ją (jak i inne „raptusy“ Petrei) za coś bliskiego szaleństwa, które rozsądna Ludwika uważała za najstraszniejsze nieszczęście.

„Teraz już nie rozgadujcie się dłużéj!“— zawołał radca— „bo ja wkrótce muszę wyjść, a pierwéj chciałbym z wami być w ogrodzie.

Wszyscy się podnieśli na te słowa, i wszyscy oprócz Eleonory, która nie była zdrowa, i małéj, dla któréj obawiano się wilgoci, poszli do ogrodu.

Ogród przedstawiał szczególniejszy widok, bo chociaż był zupełnie nie uprawny i śnieg wiosenny pokrywał jeszcze gdzie niegdzie ziemię i obciążał gałęzie niewielu niskich drzew owocowych, jedynego bogactwa ogrodu, przecież te drzewa, wbrew porze roku i prawom natury, były owocami okryte. Śliczne renety i inne jabłka wisiały w obfitości na gałęziach i świeciły się od słońca. Każdy wykrzyknął z zdziwienia, a chociaż Henryk i Jakobi zapewniali iż nie znają przyczyny tego sprzecznego naturze zjawiska i najmocniéj swéj niewinności dowodzili, nie mogli jednak oczyścić się z podejrzenia, że mieli udział w tych czarach. Zgodzono się jednak, że dobre a nie złe dusze musiały tu być czynne, zebrano więc bez obawy owoce w kosze, chwalono duchy wierszem i prozą, a wśród ogólnéj wesołości z trudnością radca uzyskał posłuchanie i mógł przedłożyć swe plany założenia altanki, gaiku z bzów, grządki truskawek i t. d. Szczupłość miejsca gniewała radcę: „gdyby to można precz wyrzucić!“ rzekł uderzając laską w czerwony wysoki parkan, który odgradzał ogród z jednéj strony. „Patrzaj Elizo? spojrzyj przez szczelinę; widzisz jaka tam wspaniała obszerna przestrzeń aż do rzeki się rozciąga? Coby to było za śliczne miejsce do przechadzki, gdyby je uprawić i zasadzić — prawdziwy skarb dla miasta, któremu braknie zupełnie takiéj miłéj a bliskiéj przechadzki;

teraz miejsce to leży puste i tylko krów kilka z niego pożytkuje, a czemu? bo właściciel nie umié go użyć, a nasi mieszczanie nie mają tyle „public spirit“, aby się złożyć i kupić je na dobro publiczne. Gdybym był dość bogaty i mógł je kupić, zaraz by tu inaczéj wyglądało; ludzie by tu przebywali, nie zwierzęta, ogrodzenie to byłoby zrzucone, a ogród z pustém dziś miejscem stanowiłby jednę wielką przechadzkę. Śliczne by tu rzeczy być mogły!“

„Nie byłoby dobrze postawić tu ule z pszczołami? Słońce operuje właśnie na ten parkan większą część dnia i dostatecznie go ogrzewa“, rzekła nasza „rozsądna Ludwisia“.

„Masz słuszność, Ludwisiu“ — zawołał ojciec uradowany—„to wyborna myśl; bardzo dobre miejsce na ule; jutro zaraz muszę się o nie postarać i dostać parę jak najprędzéj, aby pszczoły już tu były gdy zakwitną czereśnie i jabłonie i kwiat ssać mogły. Potém będziemy tu nieraz przychodzić, i patrząc na ich pracę i jak miód dla nas zbierają, uczyć się od nich mądrości. Będzie to wielką przyjemnością, wszak prawda Elizo?“

Eliza cieszyła się szczerze pszczołami i ogrodem, którego uprawą myślała się zająć gorliwie; róż miesięcznych obfitość miała tu wkrótce zakwitnąć, inspekta także miały być założone. Ewa zapragnęła uczyć się ogrodnictwa.

Tymczasem musiano opuścić przyszłą ojczyznę

róż, bo teraz była bardzo wilgotno. Gabryela otworzyła szeroko oczy na widok koszy z owocami zebranemi w ogrodzie, ale mała „Turandot“ zagadki téj wcale nie znajdowała tak trudną do odgadnienia, jak w nią to Henryk chciał wmówić. Przedpołudnie całe zeszło na porządkowaniu i urządzaniu domu. Sara tylko do tego nie należała; brała ona lekcye gry na harfie od przejeżdżającego muzyka, odznaczającego się znakomitym talentem, który jakiś czas zatrzymywał się w mieście. Téj lekcyi i swemu instrumentowi który namiętnie lubiła oddała cały poranek. Petrea tymczasem przyjęła rolę jéj pokojowéj i przyobiecała ułożyć jéj suknie i wszystkie rzeczy. Henryk był najszczęśliwszy w pokojach sióstr, gdzie im częścią pomagał w urządzeniu, częścią znajdował co chwila powody do serdecznego śmiechu. To mnóstwo drobiazgów, gałganków, starych kapeluszy, sukien, płaszczów i t. d., stanowiły zupełną sprzeczność z jego studenckim światem, w którym nietylko gałganek, ale szpilka już była rzadkością. Nie mógł się nacieszyć ważnością, jaką siostry do tego wszystkiego przywiązywały, i która poddawała mu niewyczerpane żarty i pomysły. Najwięcéj go bawiła Ludwika, jéj rzeczy i wielka troskliwość o nie. Upewniał ją tylko, iż wyrzecze się wszelkiego z nią pokrewieństwa jeśli kiedy na niéj obaczy szal blado zielony, „szpinakiem“ nazwany, lub

blado popielatą suknię, któréj dał przydomek „kminkowéj zupy“. Żadna z sióstr nie miała tyle rzeczy ile Ludwika, i żadna tak je nie szanowała, bo Ludwika posiadała w wysokim stopniu zmysł, którybyśmy nazwali „zmysłem mienia i własności“. Półki wielkiéj szafy uginały się prawie pod jéj rzeczami, które niedostając dobrze, przy składaniu upadły jéj kilkakrotnie na głowę. Oskarżała Henryka iż on tego przyczyną; to pewna że nie bez zadowolenia to widział i pomagał jéj każdą rzecz położyć znowu na jéj właściwe miejsce. Ludwika była znana w rodzinie jako miłośniczka starożytności; im więcéj schodzona była suknia, tém według jéj mniemania dystyngowańszy miała pozór; im więcéj szal wyblakł, tém był podobniejszy do kaszmiru. To zamiłowanie do dawnego rozciągało się czasem u Ludwiki aż do pieczywa, ciastek i t. d., co powodowało Henryka, iż często przy jakimś artykule niepewnéj daty, zapytywał, czy należy do czasów po lub przedpotopowych. By poznać lepiéj naszą Ludwikę, musimy dodać o niéj tutaj kilka rysów:

Czystą była w sercu i w woli, miłującą prawdę i surowo moralną, zanadto jednak lubiła drugich moralizować i za mało im pobłażała.

Posiadała wiele ojcowskiego rozumu i roztropności, ale nie jego nauki i doświadczenia; pomimo tego, w ośmnastu latach miała się za wy-

borną znawczynię serca ludzkiego. Powierzchowność jéj więcéj miła niż piękna wzbudzała ufność i wyrażała tę moralną godność, jaką w duszy nosiła. Nie brakło jéj jednak czasem i wesołego humoru, wtedy pełen godności wzrok, poważna mina ustępywały serdecznemu śmiechowi, który bardzo jéj twarz umilał i czynił podobniejszą do matki; miała bowiem jéj piękne usta i zęby. Pracowitą była jak mrówka i usłużną dla wszystkich którzy warci byli pomocy, ale tak niemiłosierną jak mrówka Lafontena dla koników polnych i tym podobnych próżniaków. Ludwika miała trzy słabości (lubo tego nigdy nie przyznała): lubiła do uprzykrzenia robić na kanwie, mówić drugim kazania i kłaść passyans. Od niejakiego czasu zaczęła się przyłączać i czwarta słabość: a to do medycyny i wynajdywania domowych leków; zrobiła już nawet swego wynalazku elixir przyrządzony z dziewięciu gorzkich ziół; Henryk utrzymywał iż ten elixir bardzo posłużyć może ku wysyłaniu ludzi na tamten świat. Na tym podobne uwagi Ludwika nigdy nie uważała, i nie dawała się odwrócić od tego, co miała za dobre i pożyteczne. Nad wszystko ceniła słuszność i cnotę, po nich jednak wiele wartości przywiązywała do znaczenia i majątku, i zdawało się, jakoby sądziła, iż te jéj się należą. Nigdy nic nie przedsiębrała czego nie mogła dokonać, lecz dość wierzyła w swe

zdolności; wiarę tę rodzina dzieliła, lubo starała się w niéj ją umniejszać. W rzeczach domowego gospodarstwa Ludwika posiadała rzeczywiście rodzaj geniuszu, i z wielu względów była dla domu radą i podporą. Rodzice nazywali ją z pociechą, (ojciec z ukrytą dumą) „naszą najstarszą córką.“ Rodzeństwo—trochę figlarnie— „naszą najstarszą siostrą“, albo też czasem „naszą najstarszą“. — I umiała też „nasza najstarsza“ utrzymywać wybornie swoje znaczenie i powagę, przytém miała wysokie wyobrażenie o godności niewieściéj. Ludwika posiadała pamiętnik, w którym jéj przyjaciele i znajomi zapisywali własne lub cudze myśli. Bardzo wiele wybornych zdań moralnych zawierała ta książka!

Obawiamy się umęczyć czytelnika ustawiczném powtarzaniem imion Sary, Ludwiki, Ewy, Eleonory, Petrei, Gabryeli, a jednak musiémy obok Ludwiki wszystkie córki domu Franków raz jeszcze wywieść i po kolei przedstawić. Dla odmiany jednak nie chcemy w tém zachować ściśłego porządku i najpierwéj wystąpi nasza

Petrea.

Wszyscy mamy coś pokrewnego z chaosem, Petrea jednak nad wszystkich. Chwilowa światłość

i długie czasy zamięszania panowały w niéj na przemian. Petrea i Ludwika były do siebie najzupełniéj niepodobne. Gdy Ludwika nigdy dosyć nie miała rozmaitych kryjówek na rzeczy, Petrea pół kuferka nie zapełniała całą swoją garderobą, która była zawsze w tak nędznym stanie, że zasmucona tém Ludwika nieraz przykładała do niéj pomocną rękę. Petrea darła, gubiła i rozdarowywała bez różnicy wszystko co miała, i znana była w rodzeństwie za złą gospodynię. Petrea wcale nie posiadała „zmysłu własności," w zamian zaś miała w wysokim stopniu, chociaż Ludwika tego nie przyznawała — pewien zmysł piękności. Zajęta była nieustannie jakiemiś własnemi utworami, to poetycznemi, to muzykalnemi, to architektonicznemi, w których wybijała się najczęściéj bezładna jeszcze i dziwaczna fantazya. W dwunastu latach napisała Petrea pierwszy swój romans. Belizaryusz i Anna kochali się tkliwie, nieszczęśliwe zdarzenia sprzeciwiały się ich miłości, na końcu jednak zostali połączeni, osiedli w powabnéj, różami otoczonéj chatce i dostali wrok ośmioro dzieci, co było dość pięknym początkiem. W rok późniéj postanowiła pisać Petrea trajedyę pod tytułem „*Gustaw-Adolf* i *Ebba Brahe*," która zaczynała się od następnych słów wyrzeczonych przez osobę nazwaną „Delagardie:"

„Z brzegów Germanyi przybyły,
By ujrzyć swój kraj miły,
Z niebezpieczeństw wojny wybawiony,
Drogiéj ojców ziemi powrócony.
Powiedz, jakiż smutek łzę wyciska, ze snu cię budzi?
Nie jestżem twój przyjaciel? Czy mnie tylko próżna na-
[dzieja łudzi?"

Sztuka ta wkrótce została przerwaną, czy to że papier nie mógł wystarczéć coraz rosnącéj długości wiersza, czy téż dla innych przeszkód. Nie daléj zaszedł inny utwór w rodzaju komicznym, przeznaczony do współzawodnictwa z śliczną muzą pani Lenngren, a który zaczynał się następnie:

„W hrabskim zamku Elfwakolastya,
Położonym gdzieś w Szwedzkiéj krainie,
Mieszkała niegdyś Melanya
Córka jedyna, po Sternedynie."

Obecnie była zajęta Petrea poematem niosącym tytuł wielkiemi literami napisany: „*Stworzenie świata;*" początek był taki:

„Niegdyś świat cały,
Ponure ciemności otaczały,
Sekundy ulatujące
Końca tych cieni napróżno czekały.
Gdzie dziś widzimy, świat zamieszkujące
Ludzkie plemiona, próżnie tylko stały.
Tych niebios błyszczących dziś gwiazdami,
Żaden promyk nie rozjaśniał.
On tylko, który był przed wiekami
Jest zawsze i będzie. —»

Przy téj nadziei tylko światła, pozostało stworzenie świata i prawdopodobnie było skazane za sprawą Petrei nie wyjść nigdy z chaosu. Zawsze ona coś wielkiego przedsiębrała, co jéj się nie udawało. Każde takie niepowodzenie bolało ją mocno, ale wkrótce nowa nadzieja i odwaga ożywiała jéj duszę i zachęcała do prób i przedsięwzięć dalszych. Młodą jéj główkę paliły najrozliczniejsze półmyśli, fantazye i marzenia, jéj dusza, jéj serce zawsze były w niepokoju. Czasem nad miarę wesoła, w innych chwilach czuła się znowu bez przyczyny, bez miary nieszczęśliwą. Biednéj Petrei brakowało we wszystkiém zręczności i taktu, nawet w powierzchowności. Nieładnie chodziła, nieładnie stała, źle się kłaniała, źle siedziała, źle się ubierała i martwiła tém matkę bardzo tkliwą na wszystko niepiękne, na czém wiele cierpiała, czuła i ubóstwiająca matkę Petrea. Sara wzbudzała w niéj także wielką miłość i uwielbienie, ale w sposób w jaki okazywała swe przywiązanie, był powiększéj części tak niedorzeczny że nie przyjemność lecz przykrość sprawiał ulubionemu przedmiotowi. Uczucie to zatruwało nieraz życie Petrei, lecz wiodło ją powoli do takiéj miłości, w któréj takt i pozór zewnętrzny za nic są liczone, i która nigdy nie wzbudza wzajemności. Czasem czuła Petrea ten swój chaos wewnętrzny, ale często także miała przeczucie, że kiedyś ułoży się to w ład, a z niéj

będzie wtedy coś niepospolitego. W takich chwilach wpół żartem, wpół seryo mówiła siostrom: „Obaczycie że ja jeszcze na coś wyjdę;“ ale na co, tego nikt nie wiedział, najmniéj zaś ona sama. Biedna Petrea tęskniła ku wielu słońcom, i raz do jednego, drugi raz do drugiego czuła kolejno pociąg. Przepowiednie jéj o sobie najmniéj znajdowały wiary u Ludwiki, najwięcéj za to u małéj Gabryeli, która cieszyła się serdecznie wszystkiemi utworami Petrei, zwykle składanemi jéj w ofierze. Były to: świątynie ze złoconego papieru, oryginalne malowidła z ołtarzami i pasterkami, wśród cichych wód stojące szczęśliwe wyspy, przy których były w zatokach małe floty z łupinek z orzecha obładowane jedwabiem i cukrem, a które robiąc i zasadzając szczególniejszemi kwiaty i drzewy owocowemi, pierwszy raz serce Petrei przeczuło szczęcie. Twarz była wiernem odbiciem jéj duszy, zmieniała się często, miewała także „raptusy,“ niekiedy zaś wśród chaosu zabłysło światło. Gdy nos był czerwony i nabrzmiały, płeć niegładka, Petrea bardzo źle wyglądała, ale w chłodniejszéj porze lub gdy rumieniec tylko na licu się ograniczał, wydawała się przeciwnie wcale ładną. Czasem, nawet w brzydszych chwilach — pod wpływem pięknego uczucia lub myśli, tak zajaśniało jéj oko, taki wyraz wybił się w twarzy, że Henryk zawołał raz mimowolnie: „doprawdy, Petrea jest piękną!“

Chaotycznemu duchowi właściwe jest upodobanie w rozprawianiu i sprzeczaniu się; nie było więc przedmiotu o którymby Petrea nie miała domysłów, któregoby nie chciała zgłębić. Rozprawiała nieustannie z kim mogła o polityce, literaturze, wolnéj woli człowieka, sztukach pięknych i Bóg wié o czém, sprzeczała się i przeczyła sobie, co wszystko było bardzo niemiłém spokojnemu duchowi matki, a połączone z brakiem taktu, z gorliwą a niezgrabną chęcią usłużenia drugim, ściągało na biedną Petreę śmieszność, która na ziemi surowo zostaje ukarana, lecz przed wyrokiem aniołów bardzo małą, lub wcale żadną nie musi być winą.

Eleonora.

Pomimo pieszczot matki i jéj słów: „ty drogie, kochane, brzydkie dziecko,“ Eleonora jednak boleśnie nieraz uczuła że była brzydką i pozbawioną wszelkich powabów i miłych darów natury. Nie mogła nie spostrzegać jak jéj brakło sposobów podobania się drugim, wzbudzenia przychylności; widziała iż przyjaciele i znajomi o wiele mniéj ją lubią, niż jéj, hojnie od natury obdarzone siostry. Takie przeciwności, chorobliwość, niezadowolenie z siebie i wszystkiego co ją otaczało, wzbudziło w niéj niechęć ku życiu i ludziom. Skłonna była do znajdowania wszystkiego przykrém i uciążliwém, sprzeciwiała się często siostrom, a wrodzona jéj porywczość prowadziła do sprzeczek, które się często bez cierpkości nie obeszły. Wszystko to razem czyniło Eleonorą nieszczęśliwą. Ale nikt, pewno nikt nie cierpi nadaremnie, jakkolwiek by się to na pozór zdawało. Boleść, to lemiesz krający rolę duszy; w głębokie jéj bruzdy sieje potém najmędrszy siewca niebieskie ziarno. Wykluwało się ono już u Eleonory, ale jeszcze pod ziemią. Sama się tego nie domyślała, a już doświadczenia jéj życia i duch panujący w rodzinie zbudziły piękność w jéj duszy głębokiéj i pełnéj tkliwości; uczucie zaś własnych niedostatków rodziło w niéj brak wszelkich roszczeń i czystą pokorę cnoty, których wartość w życiu domowém jest nieoceniona. Kiedy się zbliżasz do osoby tak usposobionéj, doznajesz wrażenia jak gdybyś ze spieki słonecznéj przechodził w ożywczy cień, chłód miły przejmuje twą duszę, uspokajasz się i wypoczywasz.

Obecnie Eleonora tylko co przebyła szkarlatynę, po któréj pozostała ciężka i uparta migrena, nie mogła prawie wychodzić ze swego pokoju, a lubo rodzice i rodzeństwo często ją tam odwiedzali, nie bardzo ją to jednak cieszyło, bo nie umiała dobrocią i uprzejmością drugim się miłą uczynić. Biedna Eleonoro! Gdy cię widzę wspierającą tak na ręku chorą głowę, pogrążoną w smutnych myślach, chętnie przycisnęłabym twą głowę do piersi

i szepnęła ci przepowiednię — lecz jeszcze powstrzymać się z nią należy! Opuszczamy cię teraz, by znowu późniéj nawiedzić twój cichy pokoik. A teraz wystąp wesołości i ozdobo domu, piękna

Ewo!

„Naszą różą, naszą pięknością“ zwano Ewę w rodzinie. Istot podobnych Ewie jest wiele na świecie, i to dobrze, bo nic złego nie ma w tych powabnych stworzeniach. Miło patrzéć na te kwitnące młode dziewczęta, z uśmiechem na ustach, dobrocią i szczęściem jaśniejącém w ich pięknych oczach. Wszyscy im dobrze życzą i one wszystkim. Wszelkie dobro samo ku nim płynie, a one z pomyślnym wiatrem przez życie. Tak było i z Ewą. Nawet jéj ułomności, jéj czasem zbyt wielka chęć podobania się, pewna niebezpieczna słabość charakteru, wszystko to w domowym i towarzyskim zakresie jéj życia odkrywało tylko miłą jéj stronę i więcéj jednało jéj serce. Ewy piękność nie była doskonałą, regularną, ale kwitnącą życiem i powabem. Oczy jéj nie były wielkie, ale piękne kształtem, jasno-szafirowe, a wzrok pod długiemi czarnemi rzęsy, jakiś niby trwożny, a pełen dobroci i wesołości. Włos ciemny, miękki jak najcieńszy jedwab' okrążał czoło niezbyt wysokie, greckiego kształtu. Płeć biała, jasna i delikatna, usta i zęby doskonale piękne. Przy tém miała Ewa kibić śli-

czną, ruchy matki, łatwe i wdzięczne. Wyborne zdrowie, najszczęśliwsze usposobienie, duch z natury harmonijny, wszystko to sprawiało, że już jéj powierzchowność wywierała na wszystkich wpływ dobry. „Co uczyni Ewa, to zawsze dobrze i pięknie, w co się ubierze w tém jéj do twarzy,“ powtarzała cała rodzina.

Ludwika i Ewa podobne sobie wielu darami rozumu i talentami, lubiące podobneż zatrudnienia, były dotąd „les inséparables“. Powoli jednak Ewa nie oddzielając się od Ludwiki, czuła jakiś tajemny pociąg do Eleonory. Ludwika wystarczała sobie, a Eleonora była tak samotna, tak smutna! Dobre serce Ewy skłaniało się ku niéj tkliwie.

Ale nie godzi się już dłużéj zapominać o Gabryeli, zwróćmy się więc do naszéj

małéj panienki,

która wcale lekceważyć się nie da. Gabryela była bardzo rozpieszczoném dzieckiem i często dom cały się do niéj stosował. Chroniono ją od burzy, zimna, dészczu i wszelkiéj przykrości. Dogadzano jéj niezmiernie, a sławiono i wychwalano, jakby czyn najpiękniejszy, gdy raczyła na obiad wypić filiżankę rosołu, lub zjeść udko kurczęcia; ona sama jest jeszcze kurczątkiem pod skrzydłami matki, ale niekiedy już z pod nich wychodzi i własnych

probuje skrzydełek. Jest miła i powabna, układa zagadki i szarady, zwłaszcza dla matki iPetrei. Martwi się bardzo gdy ją kto za małe dziecko uważa, a,nic ją bardziéj nie gniewa, jak kiedy starsze siostry jéj powiedzą: „wyjdź trochę Gabryelciu,“ by sobie potém ważnych swych zwierzeń udzielały, lub czytały razem tkliwy romans jaki. Lubi by ją pieszczono, a assessor w wielkiéj u niéj niełasce, bo ją często dręczy i nieładne wymysła dla niéj przydomki. Nauki ani nauczycieli nie lubi; far niente jest jéj najmilsze; nie bardzo zaś ją przymuszają do pracy, bo zdrowie jéj delikatne. Taniec jest dla niéj rozkoszą, a ona w tańcu zachwycającą. Różni się od Petrei, bo się bardzo boi wielkich przedsięwzięć, a od Ludwiki, bo wcale nie lubi kazań tak ustnych jak drukowanych. W słońcu, w cichym wietrzyku, w kwiatkach, a najbardziéj w kochanych i kochających ludziach czuje cześć i wdzięczność wzbudzającą dobroć stwórcy. Śmierci się boi i nie chce nic o niéj słyszéć, jako téż o wszelkiéj ciemności lub smutku. Na szczęście prawpziwa miłość rodzicielska ma wiele podobieństwa ze słońcem nigdy nie zachodzącém na północy, które w dzień i w nocy świeci. Gdy od jasnowłoséj Gabryelki zwrócimy się do Sary, to przejdziemy z dnia w noc: bo Sara (ta „Afryka“ jak ją assessor nazywał), stała wśród rodziny jak piękna ale ciemna zagadka, razem pociągająca i odstręczająca. My ją jednak zro-

zumiemy, bo mamy klucz do jéj duszy i możemy przeczytać następne uwagi:

Z Sary dziennika.

Czytaliśmy wczoraj wieczór Makbeta. Lady Makbet przejmowała wszystkich zgrozą. Milczałam, bo ona podobała mi się. W téj kobiecie jest siła.

Życie? Cóż to życie? Gdy burza szaleje, grzmi i huczy dla innych, dla mnie śpiewa ona pieśń która w méj duszy znajduje odgłos. Gdy piorun uderza, błyskawicą niebo otwiera, wtenczas czuję życie, wielkość, siłę. Ale to trwożliwe, powszednie życie — małe cnoty, małe błędy, małe cierpienia, małe radości, drobne usiłowania — to uciska, przygniata moją duszę. Ogniu, który mnie palisz wśród cichych nocy, czegoż chcesz? Chwilami tylko przyświecasz, a przez wieczność dręczysz mnie i trawisz.

Im dobrze w tym ciasnym kółku; ich obchodzi tysiąc drobnostek; oni mogą ciągle usiłować by jedni drugim małych przyjemności dostarczali. Dobrze dla nich! Ja do czego innego jestem stworzona.

Czemuż mam słuchać? Czemu mego ducha, mo ją wolę ugniatać, aby innych wolę pełnić? Czemu? Ach wolności! wolności!

Dostałam od S. Wolneja „*Ruiny*“. Kryję się z tą książką przed temi pobożnemi i bojącemi się cienia ludźmi; ale w nocy, gdy ich oczy śpią, moje czuwają i czytają. Rycina przy początku książki robi mi dziwną przyjemność. Rozbity okręt walczy przeciw burzliwym falom, księżyc zachodzi wśród ciemnych chmur, na brzegu, wśród zwalisk świątyni siedzi starzec, piękna, zamyślona postać i patrzy na tę scenę. Ja patrzę także i miły dreszcz przebiega mnie przy tém. Wielkie zwaliska i nieszczęścia są lepsze i piękniejsze, niż małe, nikczemne szczęście.

Książka ta podoba mi się. Wypowiada co dawno we mnie leżało. Światło wschodzi na moje ciemne przeczucie. Jakiż to dzień świta! Lśniące światło rozpędza wszelkie mgliste złudzenia, ale mój wzrok dość mocny, znieść je potrafi. Niech się rozerwie sieć przesądów i krępujące mnie więzy, niech upadną podpory. Mnie własna wystarczy siła.

Czemuż tylko kobietą jestem? Jako mężczyźnie łatwoby mi było żyć i działać. Kobietą będąc by

się wyswobodzić, muszę się ugiąć. Nędzna podległość! Nędzny los kobiety!

Nie kocham S., ale on wywiera pewne wrażenie na mnie. Podoba mi się ponura potęga jego wzroku, bezwzględna, silna wola, która tylko mojéj chce uledz. A gdy on arfę w ręku trzyma i zmusza ją potężną siłą, by wypowiedziała wszystko co serce marzyło i marzy, wtenczas chwyta za struny mego serca, wtedy poznaję w nim mego mistrza.

Nigdy jednak panować on nademną nie będzie. Duch jego nie dość na to potężny. On dla mnie środkiem tylko być może do mego celu. Nie myślę go nawet łudzić w tym względzie. Za dumną jestem by udawać. Wiem dobrze kogo mogłabym kochać, kogo chciéć pozyskać.

Natura nie przeznaczyła mnie do tego ciasnego koła, téj wązkiéj ścieżki życia. Wskazuje mi inną drogę, która nęci mego ducha, do któréj czuję że jestem stworzona.

Przypatrywałam się sobie w zwierciedle, i ono równie jak wzrok ludzki mówi mi, żem piękna. Wzrost mój i kibić silna i wyniosła, odpowiadają charakterowi mojéj twarzy. Nie mogę wątpić o tém co S. mówi. Moja powierzchowność, w połączeniu

z darami ducha i talentami mojemi zgotuje mi świetną przyszłość i szczęście.

Po cóż się łudzić — precz ze złudzeniami! Jam wyższą nad otaczających mnie, nad tych ludzi, którzy przecież roszczą sobie prawo strofować mnie o moje błędy, którzy może skrycie wynoszą się nademną, bo mnie wzięli z miłosierdzia. Z miłosierdzia wzięli! — Upokarzająca, bolesna myśli!

A jednak są oni dobrzy, anielsko dobrzy dla mnie, wolałabym aby mniéj byli niemi.

Drugi raz już w mojém życiu miałam dziś w nocy ten sam dziwny sen. Zdawało mi się, jak gdybym była w moim pokoju. W tém ujrzałam wielką massę chmur czarnych z nieba na moją głowę się spuszczających ku horyzontowi, i silny grzmot powstał w powietrzu. Ratuj się, Saro! wołały głosy moich sióstr — chodź, o chodź z nami!—Ale uczułam tę szczególną bezwładność w członkach, która nas często we śnie napada. Burza rozerwała okna pokoju, a mnie ciekawość pociągnęła by wyjrzéć; przedemną stało słońce blade, zamglone, bez promieni, ale powietrze w około zdawało się palić, blask ognia wszystko powlekał. Przedemną stało wysokie drzewo, którego liść drżał i szemrał, z po-

śród niego dobywały się iskry ognia, a na jednéj z gałęzi drzewa siedział wielki, czarny ptak, który patrzał na mnie palącym wzrokiem i śpiewał głucho i jednotonnie, podczas gdy burza i płomienie w koło niego huczały. Słyszałam jak mnie wołały bojaźliwie, coraz oddalając się głosy mojéj przybranéj matki i sióstr; ja zaś położyłam się na oknie, by słuchać co tak dziwnie ptak czarny śpiewa. Nie czułam już żadnéj bojaźni. W tém obudziłam się, ale ten sen był mi przyjemnym.

Czarny ptak śpiewa mi i na jawie. Moja przybrana matka dziś przezemnie płakała. Przykro mi to— ale najlepiéj abym ztąd się oddaliła. Oni mnie nie kochają, nie mogą kochać. Nie potrzebują mnie i ja ich już także nie. Najlepiéj abyśmy się rozdzielili.

Tak pisała Sara. Jeśli teraz po téj całéj galeryi dzieci zechcemy rzucić okiem na rodziców, to znajdziemy ich takiemi jak byli dawniéj, z tą tylko różnicą, że Elizy cała powierzchowność świadczyła o lepszém zdrowiu i większéj sile. Męzkiéj twarzy radcy przybyło zmarszczków, ale i słodyczy. Coraz widoczniejszą stawała się u niego słabość zasługująca na wybaczenie: — był swémi córkami zachwycony. Niech Bóg błogosławi dobrego ojca!

III.

PRZEDMIOT.

Musiemy daléj donieść co porabiała rodzina w nowym domu. Przybycie Henryka i Jakobiego ożywiło ją niezmiernie. Henryk usiłował, jak zamierzył, siostrom więcéj wesołego ruchu dostarczać, w czém Jakobi z całego serca mu dopomagał. Przedsiebrano długie przechadzki, ale na zmartwienie brata, Ludwika rzadko się kiedy dała do nich namówić, bo zawsze miała wiele do czynienia w domu. (A właśnie Henryk sądził że jéj najbardziéj ruchu i ożywienia potrzeba.) Sara żyła tylko dla swojéj harfy i śpiewu, Eleonora była niezdrowa, a dla małéj Gabryeli czas to za zimny, to za ciepły i t. d. Ewa tylko i Petrea zawsze były gotowe i ochocze do przechadzki; dla Henryka zaś było to największą przyjemnością gdy prowadził pod ręce siostry, zwłaszcza ładnie ubrane. O siódméj wieczór cała rodzina zgromadzała się w bibliotece przy zastawionym stole do herbaty, u którego Ludwika przewodniczyła. Wieczory mijały szybko i wesoło, zwłaszcza gdy rodzina samą była; między herbatą a wieczerzą rozmawiano, bawiono się muzyką lub czytaniem; po wieczerzy prawie codzień młodzież tańczyła a starsi z przy-

jemnością się temu przypatrywali. Czasem grano także w różne gry lub układano szarady. Henryk i Petrea wyścigali się w wesołych i dowcipnych pomysłach. Radca serdecznie się cieszył każdego wieczora, patrząc na zgromadzone w około siebie i szczęśliwe swe dzieci. Drzwi od jego pokoju do biblioteki stały wieczór zawsze otwarte i cokolwiek tam pisał lub czytał, wiedział zawsze co się działo w towarzystwie. Czasem przychodził i przyłączał się do rozmowy lub gry, lub też siadał na sofie obok Elizy, patrzał na taniec i cieszył się córkami, a gdy która go zawezwała to i tańczył.

Co do Jakobiego, zdawało się młodzieży że on teraz jakiś roztargniony i dziwny; wzdychał często i przenosił rozmowy z paniami nad szarady i wesołe gry. Henryk i Petrea ułożyli między sobą, że to roztargnienie i wzdychanie musi mieć jakiś powód i przedmiot; ale długo, t. j. przez trzy lub cztery dni nie mogli dojść, kto był właściwie tym przedmiotem.

„Mama przecież być nim nie może—mówiła Petrea—bo jest zamężna i starsza, chociaż ładniejsza niż my wszystkie razem, a pan Jakobi z nią tak chętnie mówi i tak się zachowuje jakby był jéj synem. Wiesz, Henryku, mnie się zdaje że Sara jest przedmiotem, bo on się w nią bardzo wpatruje! Albo może Ewa, bo z nią zwykle najweselszy i słyszałam jak mówił wczoraj do Muntera, że nie-

zmiernie jest miłą. To przecież nie przystoi aby pominął „naszą najstarszą“.

Henryka bawiły domysły Petrei, miał on jednak co do „przedmiotu“ swe inne domysły. Powoli i Petrea zaczęła spostrzegać, że prawdziwym przedmiotem jest Ludwika, którą odtąd gdy to przekonanie udzieliło się reszcie rodzeństwa często „przedmiotem“ nazywano. „Nasza najstarsza siostra“ nie zważała na wszelkie domysły i pomysły trzpiotów, i zajęła się była właśnie jakąś uciążliwą i nudną robotą ręczną, na zmartwienie Henryka nie odstępowała jéj i tak ustawicznie poważną i uroczystą przybierała minę, że aż mniéj była miłą w tym czasie niż zwykle. Pomimo tego Jakobi patrzał wprawdzie często na Sarę, żartował z Ewą, ale siedział koło Ludwiki, jakby mu tylko przy niéj było dobrze i błogo. Nadaremnie Petrea zarzucała go rozlicznemi pytaniami i wywoływać chciała rozprawy, Jakobi niczém się nie dał od „przedmiotu“ oderwać, i widocznie stracił dawniejszą chętkę do rozprawiania i sprzeczania się; śmiał się tylko gdy go marszałkowa znowu wyzywała na monady i nomady. Jakobi o niczém teraz tak chętnie nie rozmawiał jak o panu O. excelencyi, o jego miłéj powierzchowności, powadze, szlachetnym charakterze, dobroci, dowcipie, a nawet o jego lwiem czole, potężnym wzroku i pięknych arystokratycznych rękach. Jakobi był przez dwa lata se-

kretarzem przy excelencyi O. i miał nadzieję iż ten będzie go w dalszym zawodzie wspierać i nim się opiekować. Tymczasem excelencya był dla niego niezmiernie dobrym, dostarczał mu niejednéj sposobności rozszerzenia swéj wiedzy, ofiarował mu się, iż go weźmie z sobą w podróż za granicę, ćwiczył go sam w języku francuzkim, słowem excelencya O. był najwyborniejszym człowiekiem i excelencyą na świecie, a Jakobi serdecznie do niego przywiązanym i w posiadaniu skarbu całego anekdot o excelencyi O. lub przez niego opowiadanych.

Z całéj rodziny nikt tak nie umiał dobrze słuchać opowiadania drugich jak Ludwika, do niéj téż najczęściéj zwracał się Jakobi, czy to z anekdotami o excelencyi O. czy w każdym innym razie, bo ustawicznie miał jéj coś powiedzieć, lub jéj się poradzić. Skoro zaś tylko Ludwika nie była zbytnie robotą zajęta, to zawsze otrzymywał Jakobi najzupełniejszy udział i najlepszą radę, równie w kwestyach moralnych, jak téż w rzeczach ekonomii domowéj, sukien, planów na przyszłość i t. d. On także udzielał jéj dobrych rad (których rzadko słuchała) przy kładzeniu passyansu, rysował jéj wzory do haftu, i czytał głośno, ale chętniéj romanse niż kazania.

Nie długo jednak tak spokojnie siadywał obok „przedmiotu“, bo po drugiéj stronie począł zajmo-

wać miejsce człowiek, którego cała znakomitość polegała tylko w pięknym majątku jaki posiadał niedaleko od miasta; ztąd téż nie będziemy go inaczéj nazywać jak „właścicielem“.

Właściciel, który widocznie począł współzawodniczyć z Jakobim o wybrane miejsce, posiadał, oprócz majątku, dość wspaniałą postawę, tłuste zdrowe policzki, duże szare oczy, odznaczające się nic nie mówiącym wzrokiem, i małe kwitnące usta, które chętniéj jadłem niż rozmową się zajmowały, śmiały się nieznacząco, a teraz „kuzynce Ludwice“ (był on trochę spokrewnionym z radcą) poczęły zadawać pytania, które obejmiemy w rozdziale następnym.

IV.

SZCZEGÓLNIEJSZE PYTANIA.

„Czy Pani lubi ryby, np. karpia, kuzynko Ludwiko?“ zapytał „właściciel“ siadając jednego wieczora przy Ludwice, która pilnie na kanwie robiła i nie poglądając odrzekła z flegmą:

„O tak, karp jest dobrą rybą!“

„Zwłaszcza z sosem z czerwonego wina, przewyborny! W moim majątku, w Estanwiku mam

staw ogromny i bardzo rybny! Mnóstwo karpiów! Sam je łowię!“

„Co to za wieloryb?“ zapytał Jakobi Henryka wskazując gniewnie na „właściciela“—„i co to go obchodzi czy panna Ludwika lubi karpie?“

„Myśli może, że i jego nakoniec polubi, mon cher! Bardzo szacowny i porządny człowiek, nasz kuzyn Thure z Estanwiku. Radzę ci starać się o jego bliższą znajomość. Cóż tam Gabryelko; czego wasza wysokość żąda? O co idzie? Nad zagadką daremnie sobie głowę łamię. Mamo, proszę pomódz swemu niemądremu synowi!“

„Nie! nie! Mama zna już tę zagadkę! niech mama nie mówi!“ zawołała Gabryela przestraszona.

„Którego króla ma pan za największego z wszystkich jacy byli, panie Jakobi?“ zapytała już po raz drugi Petrea, którą dziś napadł raptus jakiś do zapytań.

„Karoła XIII!“ odrzekł Jakobi, słuchając co Ludwika odpowiada właścicielowi.

„Czy lubi pani ptaszki, kuzynko Ludwiko?“—zapytał właściciel.

„Lubię, zwłaszcza kwiczoły.“

„A to wybornie!“ rzekł właściciel. „W moim majątku Estanwiku mnóstwo jest kwiczołów; często wychodzę z strzelbą i zabijam ich sam parę na obiad. Piff, paff! po dwóch strzałach mam ich aż nadto dosyć dla siebie.“

Petrea, któréj nikt nie pytał: „czy kuzynka lubi ptaki?“ i która nieodstraszona widoczném roztargnieniem Jakobiego, chciała go koniecznie wprowadzić w rozmowę, zapytała na nowo: „Czy pan myślisz że ludzie przed potopem byli o wiele gorsi niż teraz?“

„Daleko lepsi!“ odpowiedział Jakobi.

„Kuzynka Ludwika lubi pieczeń zajęczą?“ zapytał właściciel.

„Pan Jakobi lubi pieczeń zajęczą?“ szepnęła figlarnie Petrea Jakobiemu.

„Brawo Petrea!“ rzekł cicho Henryk.

„Kuzynka Ludwika lubi zimne potrawy?“ pytał właściciel prowadząc Ludwikę do wieczerzy.

„Lubiłabyś być właścicielką?“ szepnął jéj Henryk gdy od stołu wracali.

Ludwika odpowiedziała tylko surowém i uroczystém spojrzeniem.

Petrea po wieczerzy już nikomu, kto jéj mógł cokolwiek odpowiedzieć, nie dała pokoju ze swemi pytaniami: „Czy rozum wystarcza człowiekowi? Co jest podstawą moralności? Czém jest właściwie objawienie? Czemu społeczność ludzka nigdy nie jest szczęśliwą? Dla czego są bogaci i ubodzy?“ i t. d.

„Kochana Petreo!“ mówiła Ludwika, „na co te wszystkie pytania się przydadzą?“

Był to jakiś wieczór na pytania przeznaczony, bo nie ustały i po rozejściu się towarzystwa.

„Czy nie uważasz Elizo“ — rzekł radca do żony gdy sami zostali — „że nasza Petrea zaczyna być nudną z temi ustawicznemi pytaniami i rozprawianiem? Sama jest jakaś niespokojna i drugim nie daje pokoju. Śmieszną się stanie, jeśli to tak dłużéj potrwa.“

„Zapewne, jeśli potrwa, ale mam nadzieję że się to zmieni. Uważam pilnie Petreę już od niejakiegoś czasu i wiesz, zdaje mi się, że jest rzeczywiście coś niezwykłego w téj dziewczynie.

„Zapewne, zwyczajną ona nie jest. Ta jéj żywość, te ustawiczne, szczególne pomysły“—

„Nie wskazują że one jakiegoś talentu artystycznego? A potém ta jéj nadzwyczajna żądza nauki! Petrea wstaje codzień z rana między trzecią i czwartą godziną, tylko aby czytać, pisać, lub pracować nad swemi utworami; nie jestże to czémś niezwykłém. A ta niespokojność, to ustawiczne pytanie i rozprawianie, czyż nie pochodzi z jakiegoś duchowego głodu? Ach podobny brak żywiołu moralnego cierpi wiele kobiet przez całe życie. Z takiéj próżni duszy rodzi się niepokój, niezadowolenie z niczego i niepoliczone błędy.“

„Zdaje mi się że masz słuszność Elizo!“ rzekł radca, „i jest to stan bardzo smutny, zwłaszcza w późniejszym wieku; ale u Petrei przecież temu

zaradzimy. Cóż myślisz żeby dla niéj dobrém było?“

„Gruntowna, ciągła nauka tylko może jéj ducha w ład przyprowadzić. Ona zanadto sobie zostawiona ze swemi niezwykłemi zdolnościami, usiłowaniami i zapałem. Ja za mało sama umiem abym nią kierować mogła; ty nie masz czasu, i nikogo tu nie ma, ktoby się tym młodym duchem zajął jak należy. Mnie ona nieraz męczy, lecz częściéj mi jéj żal; siostry nie rozumieją zupełnie jéj wewnętrznéj pracy. Naprożno radabym jéj pomódz. Petrei brak jest gruntu, podstawy myślom, ztąd niespokojność; podobna jest do rośliny bez korzenia, którą wiatr i fale miotają.“

„Zapuści jeszcze korzenie, znajdzie grunt sobie właściwy, jeśli go tylko znaleźć można na świecie“—rzekł radca z jaśniejącym wzrokiem a mocną wolą w duszy—„musimy to dobrze rozważyć Elizo“, mówił daléj—„Petrea jeszcze zbyt młoda, by o jéj zdolnościach z pewnością wyrzekać można. Jeśli się jednak okażą niewątpliwe, to jak długo żyję i mogę dla moich na chléb pracować, nie zabraknie jéj środków zaspokojenia potrzeby moralnéj czy materyalnéj. Znasz mojego przyjaciela, zacnego biskupa B. Możebyśmy mogli powierzyć mu Petreę na dokończenie wychowania, za rok lub dwa obaczylibyśmy—wszakże to jeszcze dziecko. Możeby tymczasem prosić Jakobiego aby z nią mówił

i lekcye jakie rozpoczął? A propos! czy tylko Jakobi nie zamyśla o Ludwice.“

„Podobno że tak jest. I nasz kuzyn Thur z Estanwiku także, nie uważałeś dzisiaj?“

„Uważałem, lecz cóż u licha mają znaczyć wszystkie te niemądre pytania, które jéj zadawał? „Czy kuzynka to lubi? czy kuzynka owo lubi?“ Zupełnie temu rad nie jestem. Ludwisia jeszcze dorosłą panną nie jest, najlepiéj więc aby jéj dali pokój! Może téż to i bez żadnéj myśli było. Szkoda przecież że Thure więcéj trochę nie jest podobnym do człowieka, bo ma piękny majątek, i tak blisko nas.“

„Zapewne że szkoda! bo takim jak jest, to z pewnością nigdyby się Ludwisi nie podobał.“

„Przecież nie myślisz żeby Jakobiego lubiła?“

„Prawdę powiedziawszy, zdaje mi się, że ma do niego skłonność.“

„No, toby dopiero była zgryzota. Jakobiego bardzo lubię, ale on nic nie ma i jest niczém.“

„Ale, mój drogi, może jeszcze czémś zostać i coś mieć. Wyznam ci szczerze kochany Erneście, że mnie on się wydaje stósowniejszym mężem dla Ludwisi, niż którykolwiek inny z naszych znajomych i żebym go chętnie synem nazwała.“

„Doprawdy Elizo? No, to i mnie trzeba się na to przygotować. Tyś więcéj miała trudów z dzie-

ćmi Elizo, ty więc mieć powinnaś najważniejszy głos, gdzie się o nich rozstrzyga.“

„Jakiż ty dobry mój Erneście!“

„Powiedz: sprawiedliwy, Elizo, tylko sprawiedliwy. Zresztą zdaje mi się że nasze myśli i skłonności nie mogą się wiele różnić. Mnie Ludwisia zdaje się być takim skarbem, żebym jéj nikomu chętnie nie oddał; lecz jeśli Jakobi pozyska jéj serce, to czuję żebym się ich związkowi nie potrafił sprzeciwiać, chociaż miłym by mi nie był, bo jego przyszłość niepewna. Z drugiéj strony cenię i kocham Jakobiego; winniśmy mu wiele wdzięczności za Henryka. Jego wyborne serce, poczciwość i inne dobre przymioty sprawią, że będzie równie dobrym obywatelem jak małżonkiem i ojcem, i mniemam że należy do ludzi miłych i łatwych w codziennem pożyciu. Ależ Panie Boże! ja mówię jakbym sobie życzył tego związku, a przecież tak nie jest, bo radbym zatrzymać jak najdłużéj moje córki w domu; ale niestety, skoro dziewczęta podrosną, już przepadł pokój w domu. Niech licho bierze wszystkich starających się i pytających. Tu wszystko już sobie wybornie urządziwszy moglibyśmy żyć jak w raju. Jednak co do urządzenia potrzebne są jeszcze niektóre małe poprawki. Tu naprzykład po téj stronie ściany możnaby drzwi wybić i zrobić przejście do garderoby. — Otóż masz! ty już spisz, moje życie?!“

V.

ZAPROSINY.

W tym czasie kilka razy przyśnił się pannom pożar, sny zaś tłómaczono, brano ztąd wskazówki, i już naprzód rozprawiano wiele o tém co w skutku snu nastąpić miało. Nikt nie śnił i snu nie tłómaczył żywiéj jak Petrea. Gabryelka zaś, która w swéj niewinności o niczém nie śniła, dziwiła się co znaczy to gadanie o pożarze, ale wiele się nie dowiedziała, bo ilekroć myślała, że zostanie w rzecz tę wtajemniczoną, usłyszała zawsze: „wyjdź troszkę Gabryelko!“

Jednego wieczora Sara, Ludwika, Ewa i Petrea usiadły razem przy małym stoliku i coś zapewne bardzo zajmującego sobie udzielały. Gabryela przystąpiła chcąc także znaleźć miejsce przy stole dla siebie i swojéj książki, ale to było niepodobném; zupełnie brakło miejsca dla małéj. Prawie w téj saméj chwili weszli Jakobi i Henryk, szukali zaraz miejsc w kole panien, i otóż pomieścili się wybornie przy stoliku. Gabryela wcisnęła główkę pomiędzy Ludwikę i Petreę i prosiła sióstr by odgadały następną zagadkę:

„Gdzie się mieści sześcioro ludzi, a dla pięciorga miejsca braknie?

Siostry roześmiały się, Ludwika pocałowała dowcipnego malca, a Petrea porzuciła stół, panów i rozpoczętą z Henrykiem polityczną rozprawę, aby usiąść na boku z Gabryelką i opowiadać jéj „Podróże Thiodolfa,“ co było jedną z największych przyjemności naszéj panienki. „A propos!“ zawołał Henryk, wszakże to pojutrze wesele, na które mieliśmy być zaproszeni? *NB.* podług własnego wyrachowania. Ciotka Ewelina ma wiele mniéj geniuszu niżeli myślałem, jeśli . . .“

„Ciotka Ewelina stoi tutaj gotowa bronić swego geniuszu,“ wyrzekł głos uprzejmy, a nasi młodzi obaczyli Ewelinę stojącą w pośrodku pokoju.

Po pierwszych przywitaniach i zapytaniach zaprosiła rzeczywiście Ewelina rodzinę Franków, z widoczną radością i serdecznością — nie na wesele — jak Henryk się spodziewał, lecz na przenosiny. Laury ślub z Majorem G. miał nastąpić w zupełnéj cichości, u jéj przybranéj matki, w przytomności tylko kilku najbliższych krewnych. Lecz matka pana młodego, jedna z tych wesołych i dobrych ludzi, którzy ułatwiają życie na świecie, (a którym świat za to wdzięcznym nie jest), którzy lubią przy każdéj sposobności ludzi gościć u siebie i bawić (i najczęściéj trochę potwarzy w nagrodę otrzymują), dobréj tuszy i serdeczna pani radczyni-wojenna, chciała koniecznie wesele jedynaka syna obchodzić wesoło i uroczyście, dzieląc

się swą radością z całą okolicą. Obchód przenosin miał trwać tydzień, i już stały otworem podwoje pałacu w Axelholmie przyjąć gotowe wszystkie znakomitości z miasta i z sąsiedztwa. Państwo młodzi mieli sprosić swoich przyjaciół i znajomych; z polecenia zaś oblubienicy i jéj przyszłéj teściny— Ewelina oddawszy pisemne od niéj zaproszenie — prosiła całą rodzinę Franków wraz z Jakobim, by swą obecnością zabawę zaszczycili. Wyraźnie proszono o wszystkie córki, bo na każdą z osobna liczono. Dla Petrei, która do tego wiele miała talentu, przeznaczono już rolę w mającym się odegrać teatrze; drugie były konieczne do tańca i żywych obrazów. Gabryelka aniołka miała przedstawiać, a naturalnie spodziewano się im właśnie zrobić tém wszystkiém przyjemność. Żądano i proszono, by cała rodzina w Axelholmie — gdzie wszystko już było przygotowane na jéj przyjęcie, cały ten czas przeznaczony na zabawę gościła, a gdyby można i dłużéj, spodziewając się o ile możności uczynić ten pobyt miłym każdemu z jéj członków.

Pitt, Fox, Thiers, Zaffitte, Platen, Ankarswerd, można nawet śmiało utrzymywać, wszyscy mówcy świata nigdy nie mieli wymowy, któraby większém uniesieniem przejęła słuchaczy jak teraz słowa ciotki Eweliny.

Henryk upadł na kolana, przed najlepszą, wymowną ciotką. Ewa zaklaskała w ręce i uściskała

ją. Petrea krzyknęła z zachwycenia i podskoczywszy wywróciła stolik do roboty na Ludwikę. Jakobi zrobił entrechat, oswobodził Ludwikę od stolika i zamówił ją do pierwszego angleza na pierwszym balu.

Radca serdecznie ucieszony radością dzieci, musiał ze swéj strony wyrzec się wesołéj zabawy. Interessa! — radca Frank rzadko kiedy miał czas na co innego jak na interesa. Jednak tak się chciał urządzić, aby przynajmniéj swoich odwieść do Axelholmu a nazajutrz powrócić. Eliza robiła cermonye i chciała tylko dwie, najwięcéj trzy córki wziąść z sobą, ale Ewelina i mąż namówili ją by zabrała wszystkie. — „Może“ — rzekł radca, nie trafi im się prędko taka sposobność do zabawy.“ Pewną zaś jest rzeczą iż rzadko się zdarza, by którą matkę proszono nadaremnie o przywiezienie sześciu córek. Niech żyją takie radczynie! — Ale trzeba téż przyznać, że córki domu Franków wszędzie były lubione i pożądane, bo uprzejme, miłéj powierzchowności, zalecające się wielu dobremi przymiotami, wszystkich serca pociągały i każde zdobiły towarzystwo. Eliza musiała przyrzec że je wszystkie weźmie. Sarę, Ludwikę, Ewę, Eleon... nie! to prawda, Eleonora musiała zostać w domu dla słabego swego zdrowia, i zaraz Ewa i Petrea na wyścigi prosiły, aby zostały przy niéj. Lecz Eleonora powiedziała zimno i pochmurnie, żeby

nikt dla niéj nie zostawał w domu, bo ona nikogo nie potrzebuje; woli być samą; niech siostry wszystkie jadą, ona przecież i tak wyżyje! Biedną Eleonorę zmieniła choroba i nudy z nią połączone; lepszą swoją istotę kryła w chmurze gniewliwości i złego humoru, co oziębiało i odtrącało uprzejmość i serdeczność otaczających ją.

Zaraz powstał wielki ruch między młodzieżą, bo wiele rzeczy potrzeba było kupić, uszyć i w ład przyprowadzić, aby panny pięknie wystąpiły na przenosinach. Jakie narady i zamysły co do kupna, co za przegląd sukien, kwiatów, wstążek, rękawiczek! i t. d., jakie wyrachowania, aby wydatki zastosować do ilości pieniędzy, któremi dobry ojciec życzenia każdéj z córek uprzedził. W tym razie Ludwika była nieoceniona, wszystkim umiała doradzić i pomódz. Była zawsze niestrudzoną w robieniu sprawunków, chodzeniu za niemi i targowaniu się, a gotowa cały sklep kazać sobie pokazać, aby łokieć czegoś kupić, i pójść w dwanaście miejsc, aby łokieć wstążki dostać taniéj lub w lepszym gatunku, o który niezmiernie dbała. W własném, jako téż w rodziny mniemaniu umiała bardzo szczęśliwie i tanio robić sprawunki. Przyczém nasza Ludwika miała wielką powagę w sklepach miasta, gdzie jéj usługiwano zawsze z pośpiechem i gotowością; przeciwnie Petrea, która się nigdy nie targowała i zawsze wzięła pierwsze

co jéj pod rękę poddano — *NB.* gdy była samą — doznawała lekceważenia i kupowała zawsze drogie i złe towary. Prawda że Petrea bardzo rzadko pokazywała się w sklepach, Ludwika zaś która nie tylko dla siebie i swoich, ale dla wszystkich przyjaciółek i znajomych ustawiczne sprawunki robiła, była tam już jak w domu.

Zgodzono się na to, aby na pierwszy bal, który miał być dany w dzień przybycia rodziny do Axelholmu, Sara, Ludwika i Ewa wystąpiły w jednakim stroju, w białych linowych sukniach, różowych wstążkach i różach na głowie. Petrea tą myślą była zachwycona i nie wątpiła, że jéj siostry będą nazwane „trzema gracyami;“ dla siebie byłaby chętnie przyjęła nazwę Wenery, ale o tém niestety trudno było myśléć. Przypatrywała się swéj twarzy w zwierciedle, znalazła — że ma pewne powaby, gdyby tylko nos mógł być trochę inny. W błękitnym stroju miała Petrea na balu wystąpić; Gabryela zaś zachwycona była różową gazową sukienką, którą matka dla niéj szyła. Wszyscy byli duszą i ciałem oddani przygotowaniom do zabawy.

VI.

NIEPOKÓJ.

Drobny deszcz padał i z tajemnym strachem obaczył Jakobi Ludwikę ubraną w ów familijny płaszcz,

który ją źle bardzo ubierał, pod familijnym parasolem wychodzącą z Ewą po sprawunki. Sara tymczasem miała ze Szwarcem lekcyę muzyki, obiecała zaś Petrei, że po obiedzie pójdzie z nią także za sprawunkami.

„Słuchaj Henryku!“ rzekł Jakobi do młodego przyjaciela, „może my także za sprawunkami pójdziemy, potrzebuję rękawiczek, i . . .“

„Możemy z siostrami w sklepach się spotkać,“ rzekł Henryk z uśmiechem.

„Masz słuszność,“ odrzekł Jakobi także z uśmiechem. Ale Henryku, czy nie mógłbyś powiedzieć twojéj siostrze Ludwice, aby tego szkaradnego, czarnego płaszcza już nie nosiła? Zaręczam ci, że wcale dobrze w nim nie wygląda.“

„Czy myślisz żem jéj już tego nie mówił? Kazania całe miałem przeciw temu płaszczowi, oświadczałem, że nigdy obok niego znajdować się nie będę, ale nadaremnie. Płaszcz ten takie łaski posiada „u naszéj najstarszéj,“ że podobno całe życie będziemy jego widoku używać. Lecz wiedz o tém, że on się podobał kuzynowi z Estanwiku?“

„No, po téj figurze już poznać można, że musi mieć gust haniebny, gust Hottentotów!“

„Czy w tém także, że mu się Ludwisia podoba.

„Hm!“

Przed obiadem wróciły panie z kupna, panowie z niemi, pomimo płaszcza familijnego. Ludwika

okryła się chwałą. Nigdy sprawunki nie udały jéj się szczęśliwiéj.

„Patrzcie siostry, to lino łokieć po talarze! Nie jest-że to śliczny gatunek? Dwanaście szylingów utargowałam. A te wstążki po 24 szylingi łokieć— żądano za nie 30—czyż nie piękne? Jaki to śliczny kolor? prawdziwie jakby znalezione? Czyście słyszały już co podobnego? Jeśli pójdziesz Saro do tych samych sklepów gdzie ja, to dostaniesz wszystko po téj saméj cenie. Umówiłam się o to w trzech miejscach, u Bergwala i Astrumsa, a o kwiaty u pani Flory.“

Sara podziękowała oświadczając, że zmieniła zamiar; nie ubierze się już tak jak Ludwika i Ewa, bo inny ubiór więcéj jéj się podoba.

Siostry zdziwiły się, Ludwika trochę się obraziła. Wszakże się już tak umówiły? Cóż będzie z trzema gracyami? Sara odrzekła, że niech kto chce będzie trzecią grącyą, bo ona tego zaszczytu mieć nie może. Siostry odeszły bardzo z niéj nierade.

Ewa pobiegła do Eleonory, aby jéj pokazać swe sprawunki.

„Patrz na tę różę, Eleonoro! Czy nie śliczna? zupełnie jakby świeża! a te wstążki! . . .“

„Prawda“ odrzekła posępnie Eleonora, patrząc ponurym wzrokiem na te ozdoby, nagle zaś odtrąciła je od siebie tak gwałtownie, że upadły na ziemię i rozpłakała się. Ewie przykro się zrobiło; książka upadła na jéj piękną różę i zgniotła ją. Łzy napełniły także oczy Ewy w pierwszéj chwili za różą, potém obfitsze nad siostrą.

„Czemuż mi to zrobiłaś Eleonoro? Ach, musisz być bardzo słabą, albo może gniewasz się na mnie?“

„Nie, nie Ewo! Przebacz mi i zostaw mnie samą.“

„Czemu? Ach nie płacz, nie bądź smutna! Ja nierozsądnie postąpiłam że przyszłam i.... ale teraz żegnam wszystkie zabawy; nie pojadę na bal, zostanę z tobą w domu; powiédz tylko że mnie kochasz i że tego pragniesz. Powiédz to tylko!“

„Nie, nie!“ odrzekła Eleonora gwałtownie, odwracając się od miłéj pocieszycielki, „tego nie chcę! Dręczycie mnie tylko tém gadaniem o zostawaniu dla mnie w domu. Wiem dobrze, iż taką nie jestem, aby kto chętnie to dla mnie uczynił. Nie jestem ani wesołą, ani dobrą. Zostaw mnie samą, tego tylko żądam.“

Płacząc z zgniecioną różą w ręku odeszła Ewa.

Gdy po obiedzie miała Sara z Petreą wyjść jak obiecała za sprawunkami, była w złym humorze. Mówiła że idzie tylko dla Petrei; inaczéj wolałaby zostać w domu. Nie myśli nic kupować, nie ma za co. Nie będzie na zabawie, bo nie byłaby jéj miłą.

Nic na świecie nie robi przyjemności, skoro własnéj woli mieć nie można.

Petrea zdziwiona i zmartwiona tą nagłą zmianą, chciała koniecznie dowiedzieć się jéj przyczyny. „Ale dla czego“, pytała ze łzami w oczach, „dla czego nie chcesz pojechać z nami?“

„Nie chcę“, odrzekła Sara gwałtownie, „jeśli nie mogę tam być tak jak mi się podoba i z chlubą. Nie chcę być wliczoną w rząd istot miernych i powszednich. Już to w mojéj naturze leży, abym się odznaczyła od drugich, i dążność ku temu mam wrodzoną. W krępujących mnie stosunkach żyć nie chcę. Lepiéj nie żyć!“

„Ach!“ zawołała Petrea, która teraz zrozumiała o co Sarze idzie, a oczy jéj zabłysły radością, „ach, gdy o nic innego nie idzie, droga Saro, weź wszystko co ja mam! Weź proszę cię! Przecież możesz wierzyć że to mi tysiąc razy większą przyjemność zrobi widzieć cię wesołą i piękną, niż żebym miała najprzepyszniejsze stroje? Weź moja droga, kochana Saro! Proszę cię na kolanach, weź! Złożywszy to z twojemi pieniędzmi, kupisz sobie co zechcesz i pojedziesz z nami;—inaczéj cała zabawa nie wiele byłaby warta!“

„Ach, Petreo! a ty?“

„O, ja odświeżę trochę moją gazową suknię i zostawię sobie trochę pieniędzy na wstążki. Jakoś to będzie; zresztą to mniejsza jak ja będę wyglądała,

tylko ty bądź zadowolniona Saro, i uczyń o co cię proszę.“

„Ależ czyż mogę to uczynić? Nie Petreo, toby mi przykro było! To trochę co masz!... i jeszczeby nie wystarczyło.“

„Wystarczy z pewnością, pójdziemy do tych sklepów Ludwisi gdzie wszystko tanie. Zasmuciłabyś mnie na zawsze odrzucając moją prośbę. Widzisz, teraz dopiero jesteś moją dobrą, kochaną Sarą! Dzięki ci, dzięki! Ach, lżéj mi na sercu. Teraz nie potrzebuję się już troszczyć moim ubiorem. To także korzyść.“

Ptak na gałęzi nie czuje się swobodniejszym jak Petrea gdy wyszła z Sarą, mniéj wprawdzie wesołą, ale czulszą dla Petrei niż kiedykolwiek. Zamierzonemu przez Petreę kupnu wstążek stanęły w drodze następne przeszkody: przechodząc koło kobiety sprzedającéj jabłka, obaczyła małego kominiarczyka rzucającego chciwe spojrzenia na parę czerwonych jabłek; Petrea nie mogła się oprzéć chęci podarowania mu ich, i czuła się aż nadto wynagrodzoną widząc jak je smacznie zajadał. Jéj saméj nawet przyszedł smak do jabłek, a kiedy zobaczyła jeszcze w budce soczyste bergamotty — ulubiony owoc matki—i prześliczne renety—które Eleonora lubi, cały jéj worek napełnił się jabłkami, a na wstążki już pieniądze nie wystarczyły. „Ludwisia ma tyle starych wstążek“, pocieszała się

Petrea, „to mi którą z nich pożyczy“. Petrea myślała jak wszystkie złe gospodynie.

Gdy Sara i Petrea wróciły do domu, Ludwika spostrzegła zaraz, że to co Sara kupiła nie tylko przechodzi jéj możność, ale nawet jest zbyt strojne na jéj wiek i stan. Słowa nie mówiąc patrzała na białą jedwabną materyę, niebieską krepę, piękne białe i żółte astry na głowę i inne stroje, które Sara nie bez próżności rozkładała.

„Cóż ty kupiłaś, Petreo?“ zapytała Ludwika.

Petrea odpowiedziała rumieniąc się, że nic jeszcze nie kupiła.

Po chwili przyszła Petrea do Ludwiki i prosiła ją nieśmiało o pożyczenie jakich wstążek.

„Moja droga Petreo“, rzekła Ludwika niechętnie, „ja moich wstążek dla siebie potrzebuję, a ty miałaś tak dobrze jak ja i każda pieniądze, abyś kupiła czego ci potrzeba.“

Petrea milczała, lecz łzy napełniły jéj oczy.

„Nie myślałam Ludwisiu“, rzekła porywczo Sara, „abyś mogła tak być skąpą i odmówić Petrei starych wstążek, których dla siebie pewno nawet nie będziesz potrzebować.“

„Ja zaś Saro“, odpowiedziała Ludwika w tenże sposób, „nie myślałam, abyś ty mogła tak nadużyć dobroci i słabości Petrei i wydrzéć jéj pieniądze, dla zaspokojenia twojéj próżności. Tém to nagan-

niejszém znajduję, że prowadzi do wydatków przechodzących możność naszych rodziców.“

„Sara nie żądała niczego odemnie!“ zawołała z uniesieniem Petrea, „ja tego chciałam, ja ją przymusiłam...“

„Zresztą Saro“, mówiła surowo Ludwika, „muszę ci powiedzieć, że ubiór jaki wybrałaś, nie zdaje mi się być stósownym ani przyzwoitym. Domyślam się że to Szwarc cię namówił, byś odstąpiła pierwszego naszego zamiaru, ale na twojém miejscu będąc kochana Saro, nie dozwoliłabym nigdy, aby ktoś taki, podobny wpływ nademną osiągnął; nie to jedno tylko niepodoba mi się w twojém postępowaniu ze Szwarcem, które nie jest wcale odpowiedniém godności kobiecéj, i takiém, jakiegobym sobie życzyła u mojéj siostry. Przykro mi bardzo że ci to mówię.“

„O, zbyt dobrą jesteś!“ rzekła Sara podnosząc dumnie głowę i z szyderczym uśmiechem; „ale całkiem się tém nie turbuj Ludwiko, bo zaręczam ci, że mnie to zupełnie obojętne, czy ci się coś podoba lub nie.“

„Tém gorzéj dla ciebie Saro, że tak mało dbasz o prawdziwych twoich przyjaciół. Zresztą, nie ja jedna tylko znajduję naganném twoje postępowanie z Szwarcem. Ewa...“

„Tak, Saro“, przerwała Ewa rumieniąc się tro-

chę, „i mnie się zdaje, że ty nie tak zachowujesz się względem niego, jak przystoi dla....“

„Siostry!“ przerwała Sara gwałtownie i dumnie, „nie wasza rzecz sądzić co dla mnie przystoi lub nie. Nie macie prawa nadzorować mego postępowania i nie ścierpię wcale....“

„Mnie się także zdaje“, zawołała Petrea, „że skoro mama nic nie mówi, to nikt inny nie ma prawa, by...“

„Milcz, kochana Petreo, tyś nierozsądna i ślepa na....“

W téj chwili sprzeczki i zamieszania, gdy siostry wszystkie razem mówić zaczęły i ostre czynić sobie wyrzuty, usłyszały nagle głębokie i żałosne westchnienie, na które zamilkły i wszystkie zwróciły oczy ku drzwiom gabinetu. Stała w nich matka, z rękami przyciśnionemi do piersi, blada i z wyrazem boleści w twarzy, który natychmiast jakby wyrzut sumienia przeniknął serca córek. Gdy wszystkie umilkły postąpiła zwolna ku nim, i rzekła wzruszonym głosem:

„Moje drogie dzieci! Czemuż to, czemu? Nie mówcie! Teraz żadnych objaśnień — jest pewnie błąd i wina po obydwóch, nie po jednéj stronie. Ale pocóż ta gorycz, to nierozważne rzucanie obrażliwemi słowy? Ach! wy nie wiecie co czynicie. Nie wiecie jakie piekło gotują sobie siostry w domu podobném postępowaniem; nie wiecie jak

łatwo przywyknąć do pewnéj goryczy i ostrości wzajemnéj, dręczyć się i życie sobie zatruwać. A przecież inaczéj być by mogło! Siostry powinnyby stać się sobie dobremi aniołami, a rodzicielski dom niebem na ziemi! Ach, pamiętajcie o tém, że od was zależy ozdobić sobie nawzajem życie lub zatruć je. Moje drogie dzieci! szczęście lub nieszczęście waszych rodziców, całéj rodziny, wasze własne w waszém jest ręku!“

Córki milczały przejęte do głębi słowami matki, jéj bladą twarzą i łzawym wzrokiem. Uczuły mocno prawdę tego co powiedziała. Łzami zalana wybiegła Petrea. Sara poszła za nią w milczeniu. Ewa przytuliła się pieszczotliwie do matki, tylko Ludwika wyrzekła:

„Ja Sarze jedynie prawdę powiedziałam. Nie moja wina, że jéj prawda nie miła.“

„Ach, Ludwisiu!“ odpowiedziała matka, „tak ludzie zawsze powtarzają, a przecież tyle jest między niemi niezgody i nienawiści. Ślepa wiara w własną nieomylność, ostre i zarozumiałe nagany, te to obrażają umysły i prawdę czynią niepożyteczną. Ona sama w sobie tak piękna i czysta; czegóż odziewać ją mamy w szpetną suknię? Wiem, że ty tego tylko chcesz co dobre i słuszne; — ależ drogie moje dziecko! kto chce celu, musi stósowne obrać środki.“

„Mamże udawać? Kryć moje myśli i na to mil-

czéć, co według mego przekonania jest złém? Możeby to było rozsądnie, ale nie po chrześciańsku.“

„Bądź prawdziwie chrześciańskiego ducha moje dziecię, a znajdziesz łatwo środki czynienia dobrze prawdziwie i skutecznie, nauczysz się mówić prawdę nie obrażając. Istotnie czysta i kochająca wola, nawet w drobnostkach nie staje się przykrą drugim. Nie trzeba milczéć kiedy mówić należy, ale...“

„C'est le ton qui fait la chanson! Czy nie tak? He! he, he!“ odezwał się wesoły głos marszałkowéj, która niespostrzeżenie weszła i położyła koniec téj rozmowie. Wkrótce potém przybył assessor i tą razą, wbrew zwyczajowi, przyjazna zawiązała się między niemi pogadanka. Pani Gunilla żaliła się przed nim, że biedny Pyrrus od jakiegoś czasu słaby i nic mu nie pomaga, pomimo wszystkich użytych środków coraz jest gorzéj; nie wié już więc co ma z nim począć. Assessor ofiarował się jéj chętnie, że będzie próbował léczyć ulubionego pieska. Mówił, że wiele był zwykle szczęśliwszym w léczeniu psów niż ludzi, i że psy lepszemi są pacyentami. Pani Gunilla przyjęła wdzięcznie jego ofiarę i nazajutrz miał być Pyrrus do niego odniesiony.

Zgromadzili się wszyscy na herbatę, a marszałkowa spostrzegła z łatwością, że coś przykrego musiało zajść w rodzinie. Rzekła więc do Elizy:

„Słuchaj moja droga, wiem że tam, w tém miejscu którego nazwiska nie pamiętam, będą bale, tańce i t. d., że młodzież cała występuje i trzeba aby pięknie wystąpiła! Jeśli więc co brakuje w strojach lub w kasie a ja mogę usłużyć, to proszę mi to szczerze powiedzieć. Mój Boże, to nie trudno odgadnąć — kłopoty młodych dziewcząt! — Tu wstążki potrzeba, a tam kwiatka, i innych drobiazgów. Moja najdroższa! To naturalne, o tém wiem doskonale. No, powiédz....“

Eliza podziękowała jéj serdecznie, ale nie chciała przyjąć ofiary, pragnąc, by się córki wczas nauczyły stósować się do swoich środków.

Pani Gunilla dodała: „Dobre to, dobre! Ale jabym ich chciała nauczyć, że nie ma reguły bez wyjątku; jeśli więc czego braknie, raczcie o mnie pamiętać!“

Wybornie dziś była marszałkowa usposobiona, wyglądała jakby coś bardzo dobrego dziś bliźniemu uczyniła i tém przeświadczeniem była szczęśliwą. Assessor w żaden sposób nie mógł przyjść do sprzeczki z nią. Cieszyła się wsią, gdzie miała pojechać wkrótce, zbliżającą się wiosną i zielonością. Assessor niczém się nie cieszył. Czém to się cieszyć — taką brzydką wiosną; niepodobna żyć nawet w takim klimacie. Wolą Pana Boga jest chyba, abyśmy już nie żyli, kiedy nam taką wiosnę zsyła? Czyż można kartofle w lód sadzić? A gdy

kartofli nie będzie, to trzeba umierać z głodu, co jeszcze może najlepsze z całéj téj historyi.“

Pani Gunilla ze swéj strony podziękowała za to, i oświadczyła że woli żyć; w Bogu zaś ufa że kartofle będą. Z serdecznem współczuciem patrzała na skłopotane twarzyczki młodych dziewcząt. „Gdy Ewcia będzie tak starą jak ja,“ rzekła głaszcząc ją po białéj twarzyczce, „to i nie pomyśli o takich rzeczach jakiemi się dziś martwi.“

„Ach! Gdyby to już mieć lat sześćdziesiąt,“ zawołała Ewa z uśmiechem, choć w oku była łza.

„Przyjdzie to, przyjdzie! he, he, he!“ pocieszała pani Gunilla. „Obaczysz dziecko, że to nastąpi, nie będziesz wiedzieć kiedy. Ale teraz bądź mi wesoła; baw się tam doskonale gdzie jedziesz, a potém wracaj i opowiedz mi pięknie jak wszystko poszło, to i mnie się coś z téj zabawy dostanie, chociaż na niéj być nie mogę. Otóż to skutek pożądanych lat sześćdziesięciu, Ewciu! He, he, he, he!“ Słońce zachodziło jasno i wspaniale; promienie jego błyszczały z pomiędzy drzew cmentarza. Pani Gunilla posłała ukłon słońcu, zapewniła że jutro będzie dzień piękny, uśmiechnęła się słodko i widocznie była szczęśliwą.

Porównywują często młodość i starość, pierwszéj wszystko miłe, drugiéj przykrość w życiu przypisując. Tymczasem tak nie jest. Każdy wiek jak każda dnia pora, ma sobie właściwy wdzięk i urok.

Starzec który czyste tylko wspomnienia zebrał na wieczór życia, szczęśliwszym jest od młodzieńca, co z niespokojném sercem dzień ten trudny i długi rozpoczyna. Na starość już namiętności nie zaprawiają goryczą filiżanki kawy, wewnętrzny niepokój nie psuje swobodnéj pogadanki o szaréj godzinie; wszystkie drobne „comforts“ życia w zupełności się czują i używają; i ufniéj niż kiedykolwiek zdaje człowiek wszelką troskę na ojca w niebiesiech, bo go już wypróbował.

VII.

POKÓJ.

„Musi być wiele gorzkich migdałów w orszadzie; nie smakuje mi,“ rzekła Eliza stawiając szklankę z orszadą i westchnęła — ale nie nad orszadą.

„Niech się już mama nie martwi!“ szepnęła jéj tkliwie Ewa, „my już wszystkie w zgodzie.“ Matka potwierdzenie tych słów wyczytała w jéj pięknych jaśniejących oczach i w spokojnym wzroku Ludwiki, gdy ta porzuciwszy własne zatrudnienie, pomagała Sarze w skrojeniu jéj sukni, i na matkę spojrzała. Eliza skłoniła głowę z radością ku niéj

i ku Ewie i wypiła do nich swą orszadę, która naraz musiała się stać słodką, tak zadowoloną zdawała się matka gdy szklankę postawiła.

„Mamo!“ rzekła Gabryela, „trzebaby się wziąść do stroju Petrei, bo inaczéj ona się nie będzie mogła pokazać.

Ale Ludwika cichaczem pracowała nad gazową suknią Petrei do północy i tak ją odświeżyła i przystroiła własnemi koronkami i wstążkami, że była ładniejszą niż kiedykolwiek.

Petrea ucałowała za to jéj zręczne rączki. Ewa... o Ewy przygotowaniach jeszcze teraz zamilczémy; odgadnij je czytelniku, jeśli potrafisz, jeśli znasz urok i potęgę tych oznak miłości, co to drobne, ciche, połączone z zapomnieniem o sobie, prawie niewidome, wywołują wiosnę i jéj wszystkie kwiaty i powaby i nowe życie w krainie duszy człowieka!

Gdy one zamieszkały wśród rodziny Franków, nic już nie pozostało coby mogło przeszkodzić do wesołéj zabawy. Jedynym kłopotem był —

Nos Petrei!

Ten był duży jak to już mówiliśmy i cokolwiek niekształtny; Petrea więc powzięła chęć zmienienia jego kształtu przed zbliżającą się uroczystością.

„Cóżeś ty z nosem zrobiła? Co się dzieje z twoim nosem?“ Takie pytania zewsząd odbierała Petrea, gdy w wilię wyjazdu wyszła do śniadania.

Pół z śmiechem, pół z płaczem wyznała, że w jakiś szczególniejszy sposób przywiązała była swój nos na noc, chcąc go zgrabniejszym uczynić, lecz ten jedynie skutek osiągnęła, że nos jéj spuchł i ozdobił się czerwonym pasem.

Matka robiła nań zimne okłady. „Nie płaczże moje dziecko,“ mówiła przytém, „bo twój nos poczerwienieje jeszcze więcéj.“

„Ach!“ zawołała Petrea, „to prawdziwe nieszczęście mieć taki nos. Co z nim robić na świecie? Chyba pójść do klasztoru.“

„Lepiéj tak zrobić,“ odpowiedziała matka, „jak jedna z moich przyjaciołek, która miała nos jeszcze wiele większy od twojego.“

„Ach, cóż ona czyniła?“

„Tak była miłą i ogólnie kochaną, że jéj nos nawet wszyscy lubili. Przyjaciele jéj utrzymywali, że nie znają milszego widoku, jak gdy obaczą jéj nos we drzwiach, i za nic w świecie nie chcieliby go być pozbawionemi.“ Petrea śmiała się i rozweseliła tém zupełnie. „Ach! gdyby to mój nos ludzie tak mogli lubić, zarazbym się z nim pogodziła.“

„Staraj się przeróść go!“ dodała mądrze dobra matka.

VIII.

DZIEŃ PODRÓŻY.

W dzień podróży wszystko było w najżywszym ruchu. Assessor przysłał Ewie wielki bukiet najpiękniejszych kwiatów, który zaraz między siostry rozdzieliła. Radca był w tak nadzwyczajnie dobrym humorze, że sam pakował rzeczy żony i córek i utrzymywał, iż niktby nie potrafił tego równie dobrze jak on uczynić, i tyle rzeczy w jeden kufer zmieścić. Drugie przyznano zupełnie, ale na pierwsze nie koniecznie się zgadzano. Panny zapewniały że będą pomięte ich suknie, lubo zalecał by się tém wcale nie turbowały, bo wszystko będzie dobrze; stał nad kufrem, pilnie swą pracą zajęty, niby gdérał za każdym kawałkiem który mu podano, ale zaraz potém wołał:

„Macie co więcéj jeszcze, dziewczęta? Jest miejsce! Dawajcie! Widzicie! To tu posunę, tamto położę tam i ot... cóż u licha! czy już nie będzie końca z waszemi rzeczami? Dajże tu, dziecię, ja już dobrze ułożę. Zgniecie się? No, to się wyprasuje! Czyż żelazek nie ma na świecie? Tak, tak, moje dziewczęta! Macie co jeszcze? Ja mogę włożyć.“

Zaraz po obiedzie miano wyjechać by przybyć wczas na bal zapowiedziany na ten wieczór w Axel-

holmie, oddalonym o dwie mile od miasta. Na obiad wszystkie kufry były gotowe i wszystkie umysły rozweselone, zwłaszcza radcy, który z swéj zręczności w upakowaniu tak był rad, że tym nawet udzielił zadowolenia, którzy z razu nie pochwalali jego pracy. Petrea bardzo mało jadła, aby być tém lżejszą w tańcu.

„Nadewszystko, dzieci,“ prosił radca, „bądźcie gotowe na pół do czwartéj, o téj godzinie zajadą powozy; nie dajcież mi czekać!“

O w pół do czwartéj przyszedł radca pod drzwi żony i córek: „Matko!—dziewczęta! Czas jechać. Zegar wybił pół do czwartéj! Powozy zajechały!“

„Zaraz! zaraz!“ odpowiedziano mu zewsząd. Radca wiedział z doświadczenia co to „zaraz“ znaczy. – Niecierpliwość zaczęła brać nad nim górę, ale ją powstrzymywał chodząc tam i nazad po pokoju: „Że téż one nigdy nie mogą być na czas gotowe! Ale nie będę się gniewał, aby nie psuć ich radości. Jednak ogromnéj trzeba cierpliwości, Joba cierpliwości.“

Gdy tak sam z sobą rozprawiał usłyszał głos żony w bibliotece: „Chodźcież już dzieci kochane! Na miłość boską nie dajcie ojcu czekać, wiecie jak go to męczy...!“

„Przecież ojciec nic nie mówił,“ odezwał się głos Petrei, „gdy onegdaj także na nas czekał. (Nie wiem gdzie podziałam moje rękawiczki!)“

„Właśnie dla tego dziś ani chwili nie powinien czekać, i nigdy więcéj; o to się najusilniéj starać będę. Jeżeli jeszcze nie jesteście gotowe, to uciekam a was zostawiam.“

Matka wybiegła, za nią córki. Radca widział z radością, że miłość jest skuteczniejszą niż bojaźń. Wkrótce siedzieli wszyscy w powozie. Niech jadą szczęśliwie, a my odwiedźmy

Pokój Eleonory.

Eleonora siedziała samotnie. Słabą głowę wspierała na ręku. Zadała gwałt swoim uczuciom, by spokojnie pożegnać matkę i siostry; widziała jak starały się kryć przed nią radość malującą się na twarzach; szczególnie wesoły, prawie figlarny wzrok matki i Ewy, mocno ją zabolał. Słyszała ich radosne głosy na schodach, turkot powozów. Teraz już wszyscy odjechali; cicho i pusto było w domu, a łzy obfite spływały po licu Eleonory. Zdawało jéj się, że jest zupełnie opuszczoną, samotną w świecie. W tém drzwi się cicho otworzyły, uśmiechająca się wyjrzała twarzyczka i lekka, powabna postać przybiegła ku niéj, uściskała ją z uśmiechem, i serdecznie, a figlarnie poglądała w jéj zdziwioną twarz.

„Ewa!“ zawołała Eleonora zaledwie własnym oczom wierząc. „To ty, Ewo? Cóżto się znaczy?. Czemu nie pojechałaś?“

„Nie pojechałam, jestem i zostać myślę,“ odpowiedziała Ewa, i widocznie szczęśliwa, znowu siostrę z uśmiechem uściskała.

„Ale dla czego? Co to ma znaczyć?“

„To ma znaczyć, że ja wolę być z tobą niż gdziekolwiek indziéj, pożegnałam więc Axelholm z jego całą świetnością.“

„Ach! Na cóż to uczyniłaś? Ja tego nie chciałam.“

„Wiedziałam że nie chcesz, dla tego ubrałam się jak do drogi wraz z drugiemi i pożegnałam się z tobą. Chciałam cię zwieść, widzisz. Ale przecież się za to nie gniewasz? Musisz się zgodzić na moją obecność, bo się już mnie nie pozbędziesz.

Popatrz że na mnie weseléj, Eleonoro!“

„Nie mogę Ewo, tyś się dla mnie pozbawiła wielkiéj przyjemności, a wiém że to ci musi być bardzo przykre. Wiem, że nie jestem dobrą ani miłą, przyjemności nikomu nie zrobię, kochać mnie nie możesz. To téż i twoja ofiara mnie nie cieszy. Tobie przystoi być z wesołymi i szczęśliwymi, ach! czemuż nie pojechałaś!

„Nie mów-że tak, Eleonoro, jeśli nie chcesz abym płakała! Ty nie wiesz ile dni się już cieszę tą myślą, że wszystkie te zabawy opuszczę, aby zostać z tobą. Bo cię kocham Eleonoro; czuję nawet że mogłabym cię kochać więcéj niż drugich — nie kręć głową, bo tak jest rzeczywiście.“

„Ach! dla czegoż byś mnie kochać miała? Ja nie mam nic w sobie, coby serca pociągać mogło. Zresztą nikt mnie nie lubi, chętnie bym umarła, bo nikomu nie jestem potrzebną. Ach, często zdaje mi się, że to tak pięknie musi być umierać!“

„Jakże możesz tak mówić, Eleonoro? To nie dobrze. Chciałażbyś taką ciężką sprawić boleść ojcu i matce, mnie i nam wszystkim.

„Ty i siostry pocieszyłybyście się wkrótce. Matka mniéj mnie kocha niż was, ojciec także. Otylia R. powiedziała tu kiedyś, iż ogólnie wszyscy mówią, że mnie ani ojciec ani matka nie kocha.“

„Niepoczciwa Otylia! Jakżeż ona to mogła powiedzieć? Jestem pewna, że rodzice kochają nas wszystkie jednakowo. Czy spostrzegłaś kiedy, aby jaką niesłuszną różnicę między nami czynili?“

„To nie! Bo są za nadto dobrzy i szlachetni. Ale czy myślisz, że nie spostrzegam z jak odmiennym wyrazem spoczywają oczy ojca na mnie, a na tobie lub Ludwisi? Myślisz że nie czuję, jak chłodny i często przymuszony daje mi matka pocałunek w porównaniu z wielu serdecznemi, któremi obsypuje Gabryelę lub ciebie. Ale nie skarżę się na niesprawiedliwość, bo widzę że inaczéj być nie może. Natura uczyniła mnie tak niemiłą, że nikt mnie kochać nie może. Ach! szczęśliwym jest ten, kto dostał przyjemną powierzchowność! Skoro się ukaże pozyskuje przychylność ludzką. Jemu tak

łatwo być miłym i kochanym. Ale trudno tego dostąpić, bardzo trudno, tak upośledzonym od natury, jak ja . . .“

„Ależ droga Eleonoro, zaręczam ci, że niesprawiedliwą jesteś dla siebie! Kibić twoja zręczna, a oczy — mają wiele wyrazu i słodyczy, włosy twoje miękkie i pięknego ciemnego koloru; bardzoby cię zdobiły, gdyby tylko staranniéj były utrzymane, — ale zaczekaj, gdy wyzdrowiejesz, to na to poradzę i obaczysz jakie będą ładne. . .“

„A moje usta aż do uszu dochodzące, mój płaski i długi nos, jakże temu poradzisz?“

„Twoje usta? są w istocie trochę duże, ale zęby masz równe i przy troskliwości mogą być zupełnie białe. A nos—pozwól niech popatrzę—gdyby maleńka wypukłość była na nim, nie byłby brzydki. Doprawdy, mnie się zdaje, że mała wypukłość zaczyna na nim powstawać! Pozwól popatrzéć! Tak jest rzeczywiście. Widzisz, gdy jeszcze wyzdrowiejesz i lepszą dostaniesz cerę, to zdaje mi się, że będziesz ładna.“

„Już co temu, to nie mogę wierzyć!“ rzekła Eleonora z westchnieniem, ale mimowolny uśmiech rozjaśnił jéj twarz.

„A choćbyś i nie była bardzo ładną, to możesz być bardzo miłą. Masz w twojéj powierzchowności coś niezwykłego — ojca słyszałam właśnie mówiącego o tém nie dawno.“

„Czy mówił o tém rzeczywiście?“ Eleonory twarz coraz więcéj się rozjaśniała.

„Niezawodnie! Zresztą Eleonoro, czémże jest piękność? Przemija szybko i w końcu w ziemię włożona prochem się staje; a nawet gdy jest w pełnym kwiecie, to jeszcze nie wystarcza by nam dać miłość i szczęście. Rzeczywistéj wartości nie ma nigdy.“ Nie wiem czy kiedy piękniejsze usta tak poniżały potęgę piękności. Eleonora spojrzała na Ewę i westchnęła. Ewa mówiła daléj:

„Nie, Eleonoro! Nie troszcz się o piękność, która czasem miłą być może, ale nie jest konieczną, aby być kochaną i szczęśliwą. Jestem pewna, że ani troszkę nie będąc ładniejszą niż teraz, mogłabyś przecież tak się podobać i tak być kochaną jak najpiękniejsze dziewczęta w świecie.“

„Ach! gdyby tylko pozyskać miłość swojéj rodziny, to mi się zdaje najwyższém szczęściem na ziemi!“

„Jedynie od ciebie zależy posiadać je! Bądź tylko zawsze tak dobrą jak czasem jesteś! A coraz więcéj nią jesteś i ja cię téż coraz więcéj kocham, kocham najserdeczniéj.“

„O droga Ewo!“ rzekła rozczulona Eleonora, ściskając siostrę, „jam na to u ciebie nie zasłużyła. Ale odtąd będę inną. Będę taką jaką mnie chcesz widzieć, dobrą i uprzejmą, o ile tylko potrafię!“

„A wtenczas będziesz piękną, szczęśliwą i kochaną, i wszyscy się będziemy cieszyć! Ale teraz chodź do Ludwisi i mego pokoju. Tam coś na ciebie czeka i lepiéj byś zmieniła powietrze. Chodź, chodź!“

„Ach jak tu ślicznie!“ wykrzyknęła Eleonora wszedłszy do pokoju Ewy, który rzeczywiście kochające serca najpowabniéj przystroiły, jakby świątynię pokoju. Miły zapach świeżych kwiatów napełniał powietrze; słońce rzucało wesoły i jasny blask na stół przed sofą, na którym stał kosz z pięknemi owocami, wśród mnóstwa ładnych i zręcznie rozłożonych drobiazgów.

„Tu kochana Eleonoro,“ wyrzekła Ewa, „będziesz przez ten czas mieszkać. Lepiéj że trochę opuścisz twój pokój. Patrz, tu my wszyscy złożyliśmy nasze dla ciebie ofiary. Ta gotycka z bronzu świątynia jest od Jakobiego, to lampa jak widzisz! —światło przegląda przez okna świątyni! Wieczór zapalemy tę śliczną lampę. Te owoce, patrz jakie wyborne winogrona! to od Henryka i Petrei. Ryciny od ojca, a Ludwisia haftowała te pantofle, mała Gabryela zaś — “

Eleonora złożyła ręce. „Czy być może“ wyrzekła, „żebyście wszyscy tak o mnie myśleli? Jacy wy dobrzy jesteście, ach jacy dobrzy!“

„Nie płacz Eleonoro, trzeba abyś się cieszyła, nie płakała. Widzisz że cię wszyscy kochamy! Ale najlepszéj rzeczy jeszcze nie widziałaś: ten nowy

romans przez Mis Edgeworth, zostawiła nam mama, abyśmy go razem przeczytały. Będę ci go głośno czytać, jeśli chcesz do północy. Wieczerzę wyborną kazała Ludwisia dla nas przyrządzić i tu ją nam przyniosą. I my będziemy także używać i rozkoszować! Weźże teraz jedno duże grono winne z tych gdzie są dwa na jednéj gałązce, ja wezmę drugie. Za zdrowie króla! O przedziwne!“

Zostawmy obie siostry przy ich niewinnéj uczcie a obaczmy co porabia wielkie towarzystwo zgromadzone w

Axelholmie.

Nie na każdym balu umie towarzystwo tak się oswobodzić z wszelkiego przymusu, jak na zabawie danéj raz przez mieszczan w małém, poczciwém miasteczku ***ping, na któréj piekarka i cukierniczka tańczyły, to obie razem, to każda z osobna walca w lewą stronę, a obecni mówili: „to nic nie szkodzi, skoro i tak można tańczyć!“ Ale niestety, taka niewinność rzadko się spotyka, najczęściéj zaś na wielkich balach przyzwoitość, wzgląd na ludzi i ich sądy, przyjęte zwyczaje wielkiego świata, moda i t. d., tysiącznemi więzy obciążają zgromadzonych. I bal w Axelholmie nie był bez pretensyi, a tém samém bez pewnych uciążliwości. Do tych należało, że wielu młodych panów miało się za zbyt starych lub za zbyt — do tańca, zkąd

wyniknęło, jak to późniéj obaczemy, że niektóre pragnące tańczyć panie, siedziały w miejscu, bo nie miały odwagi wśród groźnych lornetek mężczyzn puścić się same w taniec. Jednakże obecnie wśród sali przepysznie oświeconéj, wśród licznego towarzystwa, wszystko zdaje się tchnąć wesołością. Jest to chwila tuż przed tańcem. Panowie stoją gromadkami w pośrodku sali, zkąd w liniach prostych i krzywych zbliżają się do pań, które podobne do kwiatów na grządce zasiadły ławki w koło sali. Niektóre tylko odważniejsze, ufne w swą lekkość i zgrabność niby motylki przesuwają się po sali. Wszystkie wydają się wesołe i szczebiocą między sobą żywo i uprzejmie, pełne radośnego oczekiwania, szczęśliwe swoją i drugich urodą i powabem. W tém zagrała muzyka, uderzyły niespokojnie młode serca; potrącając służących, obnoszących, pogardzoną przez panny herbatę, spieszą panowie zapraszać do tańca. Tu widzimy niektóre młode dziewczęta, licznie otoczone, rachujące pilnie przyjęte już zamówienia i odmawiające usilne prośby o trzeci, czwarty, piąty, niektóre aż dwunasty taniec, przyrzekające zaś łaskawie trzynasty, który może wcale nie nastąpi, podczas kiedy inne siedzą cicho w pobliżu, od nikogo dotąd nie zamówione i czekają pierwszego zaproszenia, gotowe przyjąć je chętnie i wdzięcznie. Między pierwszemi, najwięcej otoczonemi, widzimy Ludwikę i Sar

i trzy panny Abendstern, Jzabellę, Stellę i Aurorę, pozostające ciągle koło krzesła hrabiny Sonnenstral znajdującego się prosto wielkiego stojącego w głębi sali zwierciadła. Pomiędzy drugiemi, czekającemi spokojnie, widzimy naszą Petreę, pomimo, że tego wieczora wygląda bardzo dobrze z perłami we włosach nad czołem i kwiatkiem niewinności i dobroci w młodéj twarzyczce. Serce jéj biło pragnieniem tańca. „Ach!“ westchnęła gdy dwaj młodzi panicze — bracia B. — przechodzili lornetując szereg pań. Wzrok ich spoczął przez chwilę na Petrei; jeden drugiemu szepnął coś do ucha, obadwa uśmiechnęli się i przeszli. Petrea czuła się upokorzoną, nie wiedząc dobrze dla czego. „Teraz!“ pomyślała, widząc porucznika S. szybko zbliżającego się. Ale porucznik S. zaprosił pannę I., Petrea została. Muzyka grała wesołego angleza. Petrea zaledwie usiedzieć mogła, tak jéj nogi skakały. „Ach!“ pomyślała, „gdybym była mężczyzną zarazbym zaprosiła Petreę!“

„Gdzie jest Ewa?“ zapytał Jeremiasz Munter gniewnie Ludwikę w przerwie między anglezem a walcem. „Została w domu przy Eleonorze. Chciała tego koniecznie.“

„Co za głupstwo! Pocóż ja tu przybyłem?“

„Tego nie wiem,“ odpowiedziała Ludwika z uśmiechem.

„Nie?“ odrzekł assessor; „powiem ci to więc siostro Ludwiko. Przyjechałem tu po to tylko i jedynie, by Ewę widzieć tańcującą, dla żadnego zresztą innego powodu. Cóż to za głupstwo, żeby ona w domu została? Wy wszystkie raczéj powinnyście były zostać, nie wyłączając kochanéj siostry. Ta Petrea, co tu ma robić? Zawsze mnie gniewa, teraz zaś cierpieć jéj nie mogę, kiedy nie miała tyle rozumu, aby na miejscu Ewy została w domu; a temu malcowi, coby tu pannę chciał udawać i z słusznemi tańcuje, czy nie można było dać kawałek cukru i w domu ją zostawić? Wszyscyście nudni, a takie zabawy nieznośne.“

Śmiejąc się z gdérania przyjaciela Ludwika wstała do walca z Jakobim, a gdy lekko i zrecznie przesuwali się wirując przed krzesłem hrabiny Sonnenstrahl — gwiazdą balu — wyrzekła ostatnia: —„ślicznie, ślicznie!“— Taniec téj pary odznaczał się wdziękiem i harmonijnym ruchem, przeciwnie Szwarc z Sarą ściągali na siebie wzrok wszystkich zbyt szybkiemi, prawie szalonemi obroty. Jéj rzeczywiście promieniejąca piękność, strój i dumna postawa, błyszczące oko wywołały ogólne wykrzyki zdziwienia i uwielbienia. Patrząc na nią zapomniała Petrea, że jeszcze siedziała; zdawało jéj się, że nigdy nic tak zachwycającego nie widziała, jak Sarę w wirze walca. Ale hrabina Sonnenstrahl nic

nie powiedziała o téj parze, kiedy jéj krzesło mijała; przeciwnie, po wyrazie jéj twarzy sądząc, nie pochwalała takiego sposobu tańczenia. Panny Abendstern poważnie krążyły w około.

Po walcu poszła Eliza do Sary. „Moje dziecko drogie," rzekła łagodnie ale stanowczo, „nie tańcz już tak więcéj, twoje piersi tego nie wytrzymają.— Jakże ci gorąco, palisz się prawie."

„To mój klimat!" odpowiedziała Sara z uśmiechem, „z tém mi doskonale!"

„Proszę cię nie tańcz już tego walca! Zaszkodzi ci takie zbyteczne rozgrzanie."

„Tego tańca? Niepodobna mi nie tańczyć, bo już jestem zamówiona przez półkownika H."

„Nie tańcz-że przynajmniéj następnego walca, i dla mnie to zrób, nie tańcz ze Szwarcem. On tak dziko walcował, że to zdrowiu twemu może zaszkodzić, i nie jest ani ładnie, ani przyzwoicie."

„Właśnie z nim najmiléj mi tańcować," odrzekła Sara sucho i dumnie oddalając się. Zmartwiona i obrażona matka wróciła na swoje miejsce.

Hrabina Sonnenstrahl winszowała Elizie dzieci: „Są w istocie ozdobą balu," mówiła, „a syn pani, jakiż to miły młodzieniec, bo i piękny i bardzo comme il faut. Charmant! Śliczny bal!" Izabella Sonnenstrahl błyszczącym wzrokiem spoglądała na Henryka.

„Jakież to szaleństwo, taniec!" rzekł assessor Munter, siadając kwaśny i zmęczony obok Eweliny. „Patrz-że pani jak oni skaczą, rozbiegają się i zbiegają jak gdyby i bez tego nie można schudnąć dosyć! Mój miły Boże! jakież to męczące i brzydkie. Czy téż to im przyjemność robi? Jednym taniec zdaje się być ciężką pracą, u drugich szaleństwem, u niektórych zaś znowu przymusem i udaniem. Nie, muszę z tąd odejść, bo inaczej w większą jeszcze złość wpadnę, patrząc na coś tak nad wyraz niedorzecznego."

„Gdyby Ewa Frank tu tańcowała, tobyś pan sądził inaczej!" rzekła Ewelina z uśmiechem.

„Ewa!" powtórzył assessor, a twarz jego się rozjaśniła i oko zabłysło. „Ewa, to być może. Bo też patrząc jak ona tańczy widzimy żywą harmonyę. Nie tylko taniec u niej, ale jej postawa, ruch każdy, chód, rozkosz mi sprawuje, bo wiem że ta harmonija, ta piękność w niéj, to nie tylko powierzchowna, nie blichtr, ale prawdziwy wyraz jéj duszy!— Dziwnie mi dobrze gdy jestem blisko niéj i radbym zawsze podziękować jéj za uczucie, jakie we mnie wzbudza. Ewa jest w istocie moją dobrodziejką! Ona mnie godzi z ludzkością i z sobą samym. Błogo i rozkosznie być przejęty takiém uczuciem dla drugiego człowieka, kiedy zresztą gniewać się ciągle muszę na te tak zwane arcydzieła Boże."

„Ależ, zacny przyjacielu, pocóż się gniewać, kiedy większa część ludzi ma przecież . . .“

„Ach! tylkoż nie czyńże się pani jakimś ange de clemence dla nich, po to, aby się w duszy nademnie wynosić, bo i na panią musiałbym się gniewać! A należysz przecie do osób wyjątkowych, które szacuję i lubię. Czemu się gniewam? Co za pytanie! Czemu ludzie są tacy głupi i nudni, a przy tém pyszni i zarozumiali? Czemu ja sam jestem taki nieznośny i kwaśny, gorszy jeszcze od drugich, a opatrzony przenikliwemi oczyma, dostrzegającemi całéj ułomności i przewrotności swiata? Co do mnie, to rzecz ta ma swoje przyczyny. Gdy kto na świat przychodzi wbrew prawu i obyczajom chrześciańskim, przy kolebce ojca ni matki nie widzi, nic nie słyszy, nie widzi, nic się nie uczy, coby było choć trochę piękném lub nauczającém, wszak prawda, że taki nie zbyt wesoło rozpoczyna drogę życia. I do tego nazywać się Munterem, co znaczy wesołym, to już jest dosyć na co się gniewać całe życie. Czyż nie mogli mi dać jakiekolwiek inne, najnieznośniejsze nazwisko byle nie Muntera? Potém urodzić się na świat z wieczystym katarem i nigdy nie módz spojrzéć w niebo, żeby nie kichnąć, jest-że to miło lub wesoło? A teraz daléj! Przebić się przez szkołę i pył książkowy i salę anatomii, i na końcu to wszystko serdecznie znienawidzieć, a rozkochać się we wszelkiéj piękności,

w sztuce i w naturze — chléb swój zarabiać pomimo tego, tylko oglądaniem ustawicznem, wszystkiego co brzydkie i rażące, walczyć ciągle i miéć do czynienia z żółtaczką, tyfusem, suchotami i t. d., możnaż to szczęściem nazwać? Mogęż ja być czém inném jak taką kwaśną i nieznośną figurą? Tak gdyby nie było lilii na ziemi, a na niebie gwiazd, a nad niemi kogoś — kto nieskończonym i doskonałym być musi — i gdyby nie było między ludźmi tego kwiatu ludzkości Ewy, pięknéj, dobréj Ewy, to . . .“ Assessor zatrzymał się, łza zabłysła w jego oku, ale nagle zmienił się wyraz jego twarzy, gdy obaczył kilka dziewcząt, które miały wybierać tancerzy, między niemi trzy panny Abendstern, z figlarnym wzrokiem ku niemu się zbliżające. Spojrzał na nie gniewnie, zerwał się szybko i uciekł.

Sara tańczyła drugiego walca ze Szwarcem, jeszcze szaleniéj niż pierwszego. Zmartwiona Eliza odwróciła oczy, ale Petrei serce biło tajemną chętką podobnego tańca i nie odwracała od niego błyszczącego wzroku. „O gdyby to!“ pomyślała, „tak przez życie lecieć w radosném upojeniu!“

Już to był szósty taniec. Petrea jeszcze ciągle siedziała. Czuła że jéj nos brzmieje i czerwienieje. „Otóż“ pomyślała, „trzeba się pożegnać z wszelką nadzieją tańca! Teraz jeszcze brzydszą będę i nikt się na mnie i nie popatrzy.“ W téjże chwili

spostrzegła wzrok matki na nią zwrócony, jakby z politowaniem. Przeniknęło to boleśnie jéj serce, ale zarazem obudziło odwagę ku otrząśnieniu się z przykrych uczuć, które nad nią górę wzięły. „Niemiło to," pomyślała, „ale to nie moja wina i cóż na to poradzić. Przeminie ten bal. A kiedy mi nikt nie chce przyjemności zrobić, to ja sama będę się starała zabawić."

Powziąwszy te postanowienie, Petrea uczuła się zaraz zupełnie ożywioną i swobodną, jéj duch niepodległy wziął górę. Nie mogąc siedzieć spokojnie na miejscu, wśród tylu poruszających się, zdolną była nawet pająk zdjąć z sufitu. Spostrzegłszy więc jednego pana już staruszka, stojącego naprzeciw ławki, na któréj siedziała, z filiżanką od herbaty w ręku rzuciła się ku niemu w napadzie usłużności i chciała wziąść od niego filiżankę. Pan ten cofnął się zmięszany i dziękując filiżanki jéj oddać nie chciał, Petrea zaś z najgrzeczniejszém i najusilniejszém: „niech pan pozwoli" brała za nią. Wśród wzajemnych ukłonów wydzierali sobie filiżankę, gdy jakaś tańcująca para uderzyła o nich, a Petrea za potrąceniem oblana herbatą z filiżanki przekonała się że ta wcale próżną nie była, jak mniemała; zmięszana więc i przestraszona puściła filiżankę, dozwalając staruszkowi ujść z resztką herbaty w bezpieczniejsze miejsce. Sama zaś — nie wiedząc prawie jak — dostała się na ławkę i ujrzała

się obok jakiéjś nie młodéj kobiety, która z dobrocią na nią poglądała i pomogła jej uprzejmie wysuszyć na sukni ową herbatę. Petrea powzięła zaraz wielkie zaufanie ku tej poczciwej osobie, zapytała ją co myśli o Swendenborgu, i poczęła wyjawiać jej własne swe mniemianie o duchach, upiorach i t. d. Pani ta spojrzała na Petreę jakby się obawiała czy pomięszania zmysłów nie cierpi i z pośpiechem miejsce zmieniła. Zastąpił ją obok Petrei jakiś ciężki, otyły wojskowy, który rad z opróżnionego miejsca usiadł na niem z mocnem odetchnieniem, zdającém się mowić: „Ach dzięki Bogu! tu posiedzę spokojnie!" Ale nie! Półczwartej minuty jeszcze nie siedział, a już Petrea wezwała go, by jej złożył swe polityczne wyznanie wiary i wraz z nią pragnął prędkiej wojny. Kapitan U. był trochę głuchy na skierowaną nań przez Petreę bateryę, niemniéj jednak zdawała mu się być uciążliwa, bo kilka razy odetchnąwszy: „uf, uf!" wstał i zostawił naszą Petreę samą z jéj wojennemi myślami. I Petrea wstała także z miejsca powodowana potrzebą szukania gdzieindziéj sympatyi i udziału.

„Na miłość boską, siedź cicho kochana Petreo!" szepnęła jéj Ludwika, którą spotkała w téj wycieczce za przygodami. Petrea zwróciła teraz oczy na jakąś młodą dziewczynę, równie jak ona nie tańcująca, ale która to nieszczęście o wiele gorzéj znosiła, umęczona była ciągłém siedzeniem i widocz-

nie bliska płaczu. Petrea zawsze usposobiona do podzielenia z drugiemi wszystkiém co posiadała, (często nie zważając że wcale tego nie pragną), i czując w sobie teraz wiele męztwa, pragnęła je udzielić swéj towarzyszce nieszczęścia i zaraz obok niéj usiadła.

„Nie znam tu nikogo i okropnie się nudzę!“ było wyznanie które tu spotkało Petreę i które współczującém przyjęła sercem. Petrea nazwała téj biednéj panience wszystkie osoby które znała w towarzystwie, a potém aby ją wyrwać z ucisku obecnego, zaczęła z nią mówić o przyszłości i tworzyć wielkie plany i zamiary. Usiłowała nakłonić swoją nową znajomę, by jéj dała „parole d'honeur,“ że kiedyś wspólném staraniem otworzą teatr towarzyski i przyczynią się tém znacznie do ożywienia życia towarzyskiego. Potém miały razem dać początek w Szwecyi zakładowi Siostr miłosierdzia i przedsięwziąść pielgrzymkę do Jerozolimy. Potém miały także romanse pisać, a zaraz jutro czyli raczéj w nocy o drugiéj wstać, wyjść na wysoką górę i przypatrywać się wschodowi słońca. Wszystkie te wnioski zakończyła Petrea uprzejmą prośbą, by sobie z nową znajomą przez „*ty*“ mówiły. Ale niestety! ani odważny duch Petrei, ani jéj wielkie zamiary, ni teatr towarzyski, ni pielgrzymka do Jerozolimy, ni przyjazne *ty* nie miały mocy ożywić skwaszoną i znudzoną dziewczynę. Petrea wi-

działa oczywiście, że zaproszenie do tańca działało by więcéj nad wszystkie jéj wnioski, i westchnąwszy głęboko nad tém, że nie jest mężczyzną i téj przyjemności uczynić jéj nie może, wstała i opuściła cel daremnych usiłowań. Jéj oczy szukały innego celu i zwróciły się na hrabinę Sonnenstrahl, która olśniła zupełnie naszą Petreę i wzbudziła w niéj najgwałtowniejszą chęć, by się jéj dać poznać, jéj uwagę na siebie zwrócić, słowem, na jakikolwiek sposób zbliżyć się do „gwiazdy balu.“ Petrei zdawało się, że ztądby blask jakiś padł na nią. Ale jakże do tego dojść? Gdyby hrabina upuściła swoją chustkę do nosa lub wachlarz, możnaby się rzucić, podnieść i oddać z grzecznemi, w wiersz ułożonemi słowy, które Petrea naprzód już zaimprowizowała, (coś tam było o słońcu.) Z pewnością zdziwiłoby to bardzo hrabinę Sonnenstrahl i dało powód do bliższéj znajomości, a może . . . ale niestety! hrabina nie upuściła ani chustki ani wachlarza i nie było sposobności, by Petrea z swemi wierszami wystąpiła. Jednakże jakby tajemną przyciągana siłą, (jak planeta ku słońcu) zbliżała się coraz więcéj ku królowéj salonu. Panny Abendstern stały właśnie jaśniejące urodą koło niéj schylając białe perłami ozdobione szyjki, by słuchać jéj dowcipnych i żartobliwych spostrzeżeń, a wśród tego odpowiadały z uśmiechem na grzeczności i zaproszenia młodych panów. Tak to pięknie i pysznie

wyglądało, że Petrea westchnęła, mocno przejęta pragnieniem dostania się między haute volée. W tejże chwili przybiegł do niéj zgrzany Jakobi i zaprosił do następnego kadryla. Ucieszyła się Petrea, ale nagle czerwona jak piwonya wyrzekła, idąc za głosem swego poczciwego serca i politowania:

„Czy mogłabym przyjąć to zaproszenie dla innéj osoby? Bądź pan taki dobry i zaproś tę panienkę siedzącą koło okna, na lewo.“

„Ale dla czego? Czemu pani sama nie chcesz?..“

„Proszę pana bardzo o to. To mi więcéj przyjemności zrobi gdy ją obaczę tańcującą, niżbym sama tańczyła.“

Jakobi próbował jeszcze uprzejmie skłonić Petreę do przyjęcia jego zaproszenia, ale wreszcie uczynił co żądała.

Petrea doznała miłego w sercu uczucia widząc zaraz na rozjaśnionéj twarzy nowéj znajoméj skutek swojéj ofiary. Ale los i Jakobi postanowili, by Petrea koniecznie tego kadryla tańczyła i przedstawili jéj młodego oficera w pięknym uniformie z ciemnemi oczyma, włosem i brodą, marsowym wzrokiem i twarzą. Nie miała już teraz przyczyny Petrea i nie byłaby się ważyła temu synowi Marsa „nie“ odpowiedzieć. Nie tylko przyjęła, ale mniemała że to bardzo zaszczytne dla niéj zaproszenie i w kilka minut potém znalazła się w kadrylu przed

krzesłem hrabiny Sonnenstral, mając naprzeciw Jakobiego a po bokach panny Abendstern. Petrea była ztąd dumna i zadowolona, ale jéj duch niespokojny nie ustawał w pragnieniu zbliżenia się w jakikolwiek sposób do téj pięknéj, wspaniałéj pani przy któréj tuż stała. Nastąpić jéj na nogę lub na suknię było rzeczą najłatwiejszą, ale ani piękną ani grzeczną, lubo mogło dać powód do najśliczniejszego, pełnego czci przeproszenia. Rzucić się w jakiś sposób jéj do nóg, być od niéj podniesioną i podziękować jéj wierszami, w którychby słońce się wymówiło, było niezaprzeczenie lepiéj; ale — teraz przyszła koléj tańcu na Petreę. Czy to że nasza Petrea była rzeczywiście tak — opętana (przepraszamy najmocniéj za ten wyraz), czy że nie umiała władać swemi członkami (do czego się może przyczyniał zbyt skromny obiad), czy nareszcie w skutku zwykłego roztargnienia, dość, że mając tańcować naprzeciw Jakobiego, puściła się w przeciwną stronę niż potrzeba i wpadła na niego; on się szybko usunął w przeciwną stronę, ale tam już zastał Petreę, znowu usuwając się na lewo napotkał Petreę, potrąciła się o niego, nosem zaczepiła o jego suknie, nogi się ich poplątały i oboje upadli. Gdy Petrea wstała ze łzami w oczach, obaczyła że dwaj lornetujący panowie, bracia B., prawie się dusili od śmiechu. Szybkie spojrzenie przekonało Petreę że matka nie widziała jéj smu-

tnego wypadku, drugie, że ją teraz zauważała hrabina Sonnenstral i uśmiecha się pod wachlarzem. Pierwsze spostrzeżenie pocieszyło ją i nagrodziło ostatnie; zaspokoiła więc szczerze o nią skłopotanego Jakobiego, zapewniła go, że nic jéj się nie stało i że ten wypadek własną tylko był jéj winą i rzuciwszy spokojne spojrzenie na ciągle śmiejących się panów, śmiało dalsze robiąc kroki, wróciła do swego tancerza, którego obecne, odmienne niż przed wypadkiem z nią postępowanie, wielkie wrażenie zrobiło na Petrei. Surowym wzrokiem skarcił on i powstrzymał zbytnią i nieprzystojną wesołość braci B. i pierwéj bardzo skąpy w słowa, odpowiadający tylko tak lub nie na wszystkie pytania Petrei, teraz stał się bardzo rozmownym i bardzo grzecznym dla swojéj młodziutkiéj tancerki, którą starał się na wszelki sposób rozerwać, oswobodzić z niemiłego wrażenia zdarzonego wypadku, a nawet zaprosił ją do angleza po wieczerzy. Petrea zrozumiała jego dobroć, łzy jéj napełniły oczy, a serce uderzyło radośnie na tę myśl że po kadrylu pobiegnie do matki i powié jéj: „Mamo, ja jestem zamówiona do angleza po wieczerzy!“ Ale u biednego, małego „chaosu“ żadne uczucie, żadna myśl nie mogły trwać spokojnie, zaraz inne następowały i tamte kłóciły lub zacierały. Tak pierwszą myślą którą w niéj wzbudziła uprzejmość młodego porucznika X. było: „jaki on

dobry!“ Drugą zaś: „może ja się mu podobam!“ I zaraz bujna fantazya zakręciła jéj głowę tłumem rojeń o wielbicielu i konkurencyi o jéj rękę. Iść za mąż wcale nie chciała, „broń Boże!“ Ale przecież byłoby to miło mieć wielbiciela i być „przedmiotem“ jak Sara i Ludwika. Może młody porucznik jest bliskim krewnym hrabiny Sonnenstral, i, „siostrzeniec hrabiny Sonnenstral stara się o Petreę Frank!“ — mój Boże, jakżeby to pięknie brzmiało! Co za chluba! Od mniejszéj rzeczy można dostać zawrotu głowy. Petrei umysł żywo zajęły te rojenia i nagle przeistoczyła się w prawdziwą kokietkę i usiłowała najmocniéj podobać się swemu tancerzowi, przyczém mała, w téj chwili bardzo biała ręka (i ręce mają swoje lepsze chwile) ciągle w ruchu koło głowy grała czynną rolę. Petrei gadatliwość i żywość zbyteczna kilka razy zwróciły lornetkę matki w tę stronę (matka miała wzrok krótki) i wywołały u Ludwisi spojrzenia, które powinny były działać jak chłodzące proszki, gdyby Petrea była dość przytomna i spostrzedz je mogła. Zwróconą na nią uwagę i uśmiechy sąsiadów brała Petrea za oznaki pochwalne; lecz zwodziła się, bo bawiono się tylko młodziutką, nie niebezpieczną a chciwą podobania się panną. Porucznika X. zdawała się jednak rzeczywiście zajmować żywość Petrei; po skończonym tańcu prowadził daléj z nią rozmowę, i poszedł nawet za Petreą do jednego

z bocznych gabinetów, przez co utwierdził ją w mniemaniu, że go zajęła. Tu śpiewała Izabella Abendstern z towarzyszeniem arfy francuzką piosnkę, któréj każda strofa kończyła się słowy:

„Hommage à la plus belle,
Honneur au plus vaillant."

Świat przyodział się blaskiem w oczach Petrei; śpiew przeniósł ją w piękne rycerskie czasy; porucznik X. wydał jéj się ideałem rycerza, a zwierciadło naprzeciw niéj stojące ukazało jéj, gdy rzuciła w nie wzrok jaśniejący radością, jéj twarz i nos w tak korzystném świetle, że się prawie piękną znalazła. Ładne róże kwitły w oknie; Petrea zerwała jedną różę i dała ją porucznikowi ze słowy

„Honneur au plus vaillant!"

Mniemała iż postąpiła sobie w tém bardzo trafnie i oczekiwała tajemnie, że rycerz złoży w zamian u jéj nóg gałązkę mirtu, którą trzymał w ręku i powié:

„Hommage à la plus belle!"

„Dziękuję najmocniéj!" rzekł porucznik X. przyjmując różę z źle wróżącą obojętnością; ale los uwolnił Petreę od daremnego oczekiwania spodziewanéj z jego strony grzeczności, bo nagle powstał niespokojny ruch w sali i usłyszała przestraszone

głosy i słowa: „Mdleje!... Mój Boże!... Sara!..." gałązka mirtowa, rycerz, zdobycz jego serca, wszystko znikło z przed oczu Petrei i z wykrzykiem obawy, porzucając porucznika X. wpadła do salonu w tejże chwili, gdy wynoszono omdlałą Sarę. Zbyt szybki i gwałtowny taniec sprowadził Sarze mocny zawrót głowy. Ale gdy ją zaniesiono do cichego i chłodnego pokoju, skropiono wodą kolońską, przyszła wkrótce do siebie i uskarżała się tylko na mocny ból głowy. Było to u Sary cierpienie zwykłe i szybko przechodzące za użyciem przygotowanego już zawsze na ten cel lekarstwa.

„Moje krople!" prosiła słabym głosem.

„Gdzie, gdzie?" pytała Petrea z gotowością pospieszenia za niemi choćby do Chin.

„W małéj szkatułce. W naszym pokoju."

Szybka jak myśl pobiegła Petrea przez dziedziniec do zachodniego skrzydła domu. Przeszukała pokój w którym ich rzeczy były złożone, ale szkatułka nie znalazła się nigdzie. Musiała zostać w powozie, powóz zaś był w wozowni zamknięty. Gdzież klucz od niéj? Niezmierne trudy podjęła Petrea nim się do wozowni dostała, nim z latarnią w ręku przeszukała sama powóz, i szkatułkę nakoniec znalazła. Jakaż była jéj radość, gdy bez tchu, ale tryumfująca, z ważną flaszeczką kropel w ręku do Sary przybiegła. W nagrodę otrzymała, dla niéj miłe polecenie, by sześćdziesiąt kropli dla

Sary odmierzyła. Zaledwie to Sara połknęła, wykrzyknęła porywczo: „Zabijasz mnie Petreo! Dałaś mi truciznę! To pewno elixir Ludwiki!“

Tak w istocie było. Petrea wzięła inną flaszeczkę i niezmiernie się teraz przeraziła.

„Takaś zawsze niezręczna Petreo!“ wyrzekła Sara w gniewie; „ty byłabyś w stanie, jak osioł w bajce, przyjacielowi głowę rozgnieść, by muchę spędzić z jego czoła!“

Były to ostre słowa dla biednéj Petrei, która już chciała biedz znowu swą pomyłkę naprawić. Zanadto już było dla niéj wzruszeń tego wieczora, rozpłakała się i krew poczęła jéj mocno iść z nosa.

Ludwika, którą rozgniewała bardzo niepoczciwość Sary dla Petrei, a także trochę nazwa trucizny dana elixirowi, rzuciła na Sarę wzrok pełen wymówki i z najczulszą troskliwością zajęła się Petreą.

Czy to gniew rozproszył ból głowy u Sary, czy elixir Ludwiki, (ta ostatnia mocno o tém była przekonaną), dość, że się jéj wkrótce polepszyło, wstała i powróciła do towarzystwa, nie powiedziawszy ani jednego milszego słowa do biednéj Petrei, która nie była zupełnie w stanie pójść do wieczerzy. Dobra Ludwika została chętnie przy niéj i tam im przyniesiono wieczerzę. Ciotka Ewelina, Laura, Karyna i sama gospodyni zaopatrywały je przysmaczkami, a Petrea uspokoiła się i orzeźwiła.

Miała przecież po wieczerzy tańczyć angleza z owym „le plus vaillant“, jak nazwała porucznika X. a który jéj zbyt miękkie serce, raczéj zaś łatwą do rozbujania wyobraźnię, zajął zupełnie.

Anglez był już zaczęty gdy siostry weszły do sali. Ludwikę zamówił był Jakobi na ten taniec, przybiegł więc natychmiast i stanął z nią zaraz w rzędzie. Petrea spodziewała się, że podobnie postąpi względem niéj „le plus vaillant“; ale wszedłszy do sali spostrzegła go już—nie spieszącego ku niej—lecz tańczącego z Sarą, piękniejszą jeszcze teraz niż kiedykolwiek i więcéj jaśniejącą. Róża którą Petrea podarowała niewiernemu rycerzowi i gałązka mirtu na którą liczyła, były teraz przypięte do sukni na piersiach Sary. Oczy „le plus vaillant“ były nieustannie zwrócone na „la plus belle“, bo za taką Sarę jednogłośnie uznano Blask panien Abendstern zbladł w nocy, gdy się zbyt rozgrzały, ale Sara jaśniała coraz bardziéj. Przedstawiono ją hrabinie Sonnenstral, która jéj wiele grzeczności powiedziała i nazwała ją królową balu, na co się skrzywiły panny Abendstern.

„Tam do licha! jakaż ona piękna!“ zawołał ów staruszek od którego Petrea filiżankę odebrać chciała, a który teraz przez nieuwagę nastąpił ją na nogę, cisnąc się by się przypatrzéć królowéj balu.

Zapomniana, upokorzona, cicha i podeptana wyszła Petrea do drugiego pokoju. Wszystkie wy-

padki tego wieczora stanęły jéj przed oczyma i w odmienném teraz ukazały się świetle. Zwierciadło które jéj niedawno podchlebiło, że może być nazwana „la plus belle“, pokazało jéj teraz twarz niezmiernie czerwoną i nabrzmiałą. Petrea przypomniała sobie dzisiejsze swe postępowanie z porucznikiem X. i zdało jéj się, że jest najśmieszniejszą i najnieszczęśliwszą z ludzi. Uczuła rodzaj niechęci do siebie saméj. Gdyby nie myśl o małéj, miłéj niespodziance, którą Petrea już od dawna gotowała dla Sary, a która w tych dniach miała wyjść na jaw, to.... ale teraz myśl ta jakby promień słoneczny w ciemnych chmurach rozjaśniła pomrokę w duszy Petrei. Słodkie uczucie iż tę ucieszy, która jéj dzisiaj tyle przykrości sprawiła, pocieszyło ją i pokrzepiło.

Po wieczerzy otworzono drzwi na balkon w drugim salonie obok sali balowéj, aby trochę ochłodzić powietrze rozgrzane mnóstwem ludzi i świateł. Dwie osoby — mężczyzna i kobieta — wyszły na balkon. Ona miała lekki biały szal zarzucony na ramiona; astry wieńczyły ciemny włos, gwiazdy błyszczały w oczach, które spoglądały ogniście na szeroką przestrzeń.

Nad okolicą spoczywał półcień nocy majowéj jakby powabna, czarowna zasłona, na wpół kryjąc na wpół zdradzając piękność, a tém bardziéj podnosząc jéj przeczucie i tajemniczość. Jakiemś wielkiém, uroczém życiem i wspaniałością błyszczały gwiazdy, tchnęła ziemia, szemrał łagodny wietrzyk.

„Ach życia, życia!“ zawołała ona, i wyciągnęła ręce ku przestrzeni jakby ją uścisnąć chciała.

„Czarująca istoto!“ rzekł on, biorąc jéj ręce, „moje życie jest twojém!“

Nie wyciągnęła ręki, ale spojrzała dumnie na niego i rzekła: „Daj mi to swobodne, pełne życie, a moja ręka jest twoją! Ale pamiętaj że chcę być wolną, wolną jak ten wietrzyk co w téj chwili czoło twoje pieści, a tam wierzchołkiem drzewa porusza! Kocham wolność, wielkość, zaszczyty! Ku nim mnie wywiedź i pomóż, a moja wdzięczność zapewni ci miłość, zwiąże mnie do ciebie silniejszemi więzy, niż ta czcza forma na przesądzie oparta, którą zachować chcę jedynie dla tych, coby inaczéj płakali nademną, bo pocóż mam ich zasmucać więcéj niż potrzeba. Nas to nie zwiąże bardziéj niż sami tego zechcemy. Wolność będzie hasłem naszego połączenia!“

„Piękna niewiasto“, odpowiedział on, „tyś wyższa nad wszelkie udanie do jakiego się słabość ucieka, wyższą nad ciemne przesądy. Podziwiam cię i posłusznym ci jestem. Tylko takiéj kobiecie mogła się ugiąć moja wola. Moja piękna uczennica jest moją mistrzynią! Niech i tak będzie! Niech nas ręka kapłana połączy! Moja ręka wprowadzi

cię na najświetniejszy tron należny twéj piękności i talentom. Wzniosę cię nań, by wtedy jak dziś upaść u twych nóg jako najzupełniéj oddany ci sługa.“

Upadł przed nią na kolana. Schyliła się i lekko dotknęła ustami jego czoła; on ją objął rękami i chwilę trzymał tak pochyloną ku sobie. Nie spostrzeżony od niéj, pyszny, szyderczy uśmiech igrał mu na ustach.

„Puść mnie, Hermanie! Ktoś idzie!“ wyrzekła.

Nie zaraz posłuchał, a gdy nie bez dumy własną podniosła się siłą, gniew zabłysł w jéj oczach. Wychodzą. Inna para na balkon wstępuje.

On. — „Zaczekaj, pozwól niech cię moim płaszczem okryję. Wiatr jest chłodny.“

Ona. — „Ach, jak to miło że on nas oboje osłania. Widzisz, jak my stoimy pomiędzy niebem i ziemią, oddzieleni od reszty świata?“

On. — „Nie na to patrzę, tylko na piękny świat w moich rękach; tyś moją Lauro, Lauro, powiédz, jesteś ty szczęśliwą?“

Ona.—„Ach nie!“

On. — „Jakto?“

Ona.—„Nie, jam więcéj niż szczęśliwą, jam już w niebie. Zdaje mi się żem nie mogła zasłużyć niczém na tyle szczęścia i nie mogę pojąć jak mi się dostało w udziale! Ach Arwidzie, żyć tak z tobą,

z moją matką i siostrą, z wszystkiém co kocham najmocniéj, i na zawsze być twoją...“

On. — „Powiédz na wieki moja Lauro! Nasz związek równie niebu jak ziemi należy; tu jak tam na całą wieczność tyś moją, ja twoim!“

Ona.—„Słyszysz, Arwidzie, matka mnie woła Chodźmy do niéj.“

Powracają do pokoju; nowa para wychodzi na balkon.

On. — „Kuzynka Ludwika lubi wieczorne powietrze? Kuzynka Ludwika jest trochę romantyczną jak mi się zdaje. Kuzynka lubi zapewne gwiazdy? Ja także jestem wielkim przyjacielem gwiazd. Myślę o tém co poeta mówi:

„... w milczeniu, jak Egyptu kapłanie
przechadzają się.....“

Widzi kuzynka, w téj stronie, na zachód leży Estanwik. Gdyby kuzynka pozwoliła tobyśmy zrobili tam małą wycieczkę, a jabym uprosił, abym mógł tam kuzynkę powieźć moim nowym koczem. Jestem pewny żeby się kuzynce Ludwice Estanwik podobał. Brzoskwinie i winogrona właśnie teraz kwitną. Miło patrzéć na nie.“

Głębokie westchnienie dało się słyszéć.

Ona.—„Kto tak wzdycha?“

Głos. — „Ktoś ubogi, co po raz pierwszy bogatemu zazdrości.“

On. — „O, bogatym ja jeszcze nie jestem, ale dzięki Bogu mam się z czego utrzymać i familię mógłbym wyżywić; wysiewam 200 beczek zboża, i co myśli kuzynka Ludwika.... ale gdzież jest kuzynka Ludwika?“

Głos.—„Wydało jéj się że zimny wiatr powiewa ze strony Estanwiku.“

W tejże chwili gdy panowie wrócili do pokoju wyszła panienka na balkon. Jest samą. Niemiłe zdarzenia tego wieczora uciskają jéj serce i tém więcéj ją upokarzają, im niższéj są natury. Kilka łez gorących spływa cicho po jéj policzkach. Wiatr wieczorny łagodnie je osusza. Dziewcze spogląda ku niebu; nigdy nie wydało jéj się ono tak wysokie i wspaniałe. Jéj dusza przenika wyżéj nad wzrok, aż do najpotężniejszego przyjaciela ludzkiego serca, a On daje jéj przeczuć, że kiedyś wśród jego miłości zapomni wszystkich przeciwności ziemskich i z niemi się pogodzi.

Dnie przemijały wesoło w Axelholmie wśród rozmaitych zabaw. Petrea pisała wierszem i prozą długie listy do siostr pozostałych w domu i skreślała im wszystko co się tu zdarzało. Swoje przeciwności — których się przez ten czas więcéj namnożyło — opisywała w sposób tak komiczny, że to co zrazu było jéj udręczeniem, stało się dla niéj i jéj

rodziny źródłem serdecznéj wesołości. Od ojca otrzymała raz liścik zawierający następne słowa:

Moje drogie dziécię!

Listy twoje, kochane dziecko, cieszą serdecznie i mnie i twoje siostry; nie opisami rzeczy wesołych, ale twoim sposobem przyjmowania wrażeń niewesołych. Pozostań przy niém, moje dziécię, a moje serce wróży ci z radością — że będziesz postępować drogą do mądrości i szczęścia. Poznasz z pociechą tę błogosławioną prawdę, potwierdzoną każdą wielką czy drobną historyą, że nie ma nic złego, coby nie mogło wyjść na dobre. Tak, nawet własne nasze błędy mogą nas prowadzić na drogę poprawy. Uściskaj serdecznie twoje siostry od ich i twego

czule kochającego cię ojca.

Petrea ucałowała to pismo z wdzięcznemi radości łzami. Kilka dni nosiła je na sercu, a przez całe życie zachowała jako drogą wskazówkę ku szczęśliwemu przejściu chromatycznéj skali życia. Ludwikę prześladowano ciągle kuzynkiem Thure; jego zaś kuzynką Ludwiką. Bardzo mu się to podobało i chętnie słuchał prześladowania, rad był, gdy mówiono, że Estanwik potrzebuje gospodyni a on dobrej żony, i że Ludwisia do bardzo zacnej należy rodziny i jest bez wątpienia jedną z najmil-

szych i najroztropniejszych dziewcząt w okolicy. Właściciel przyjmował już na pół powinszowania i życzenia bliskich zaślubin. Co wybrana oblubienica w tym względzie myślała, trudno było zbadać. Ludwika była zawsze grzeczną dla kuzynka Thure, ale bardzo zimną i obojętnie grzeczną, ze zdziwieniem zaś wielu odrzucała stale, jego wielekroć usilnemi prośby poparty wniosek, wycieczki do Estanwiku w nowym koczu ciągnionym „mojemi czterma dzielnemi gniadoszami.“ Niektórzy utrzymywali że piękny i serdeczny Jakobi o wiele bliżéj stał serca Ludwiki niż bogaty właściciel. Ale i względem Jakobiego Ludwiki postępowanie było tak zawsze jednakowe, tak proste i niewymuszone, że nikt nie mógł nic odgadnąć. Nie wszyscy wiedzieli jak my, że Ludwika miała to za właściwe godności niewieściéj, by się okazywać zupełnie obojętną na grzeczności i doux propos mężczyzn, dopóki ci się otwarcie nie oświadczą. Ludwika tak pogardzała wszelką chęcią podobania się, że obawiała się wszystkiego, coby z nią graniczyć mogło. Młode jéj przyjaciółki i znajome żartowały nieraz z téj surowości zasad i przepowiadały jéj, że nie pójdzie za mąż.

„Niech i tak będzie!“ odpowiadała Ludwika spokojnie. Mówiono jéj raz, że jeden pan wyrzekł: „Nie wstanę przed żadną dziewczyną, któraby się podobać nie chciała.“

„To niech siedzi!“ odpowiedziała z godnością Ludwika! Zdanie Ludwiki o „godności niewieściéj“ jéj surowe i ścisłe zasady i sposób w jaki je wypowiadała, bawiły jéj młode towarzyszki, wzbudzając w nich zarazem prawdziwy szacunek dla Ludwiki, i dawały pole do wielu rozpraw, w których Ludwika broniła stale sprawy słuszności, lubo niekiedy ze zbytnią surowością. Rozprawy te wesoło zaczęte, inaczéj się skończyły.

Młoda jedna, lubiąca się podobać mężatka obraziła się raz ostremi wyrazy, w jakich Ludwika potępiła chęć podobania się u niewiast, a zwłaszcza zamężnych, i w nierozważnéj mściwości wyrzekła słowo, które w najwyższym stopniu obudziło zdziwienie i gniew Ludwiki. Zażądała wyjaśnienia, w skutku którego poróżniły się zupełnie i na zawsze, ale w Ludwiki usposobieniu zaszła zmiana, którą na próżno ukryć usiłowała.

Pierwszych dni w Axelholmie była bardzo wesołą i ożywioną; teraz mimowolnie milczącą, zamyśloną i często roztargnioną od Jakobiego stroniła i więcéj niż dla niego była uprzejmą dla właściciela, ale do wycieczki do Estanwiku namówić się przecież nie dała.

Nazajutrz, po owym wypadku i rozmowie, które tak zasępiły Ludwikę, Eliza stała wieczór na balkonie i żywo rozmawiała z Jakobim. „A jeśli“ rzekł Jakobi, pozyskam jéj serce,—— czy jéj rodzice, jéj

matka bez niechęci na to patrzéć będą? Ach! racz pani mówić ze mną otwarcie! Szczęście mojego życia na tém polega!“

„Moje przyzwolenie i dobre życzenia masz już, panie Jakobi!“ odrzekła Eliza. „Powtarzam tylko co już mówiłam memu mężowi, żebym cię chętnie synem nazwała!

Wzruszony głęboko Jakobi ukląkł i przycisnął do ust rękę Elizy, mówiąc ze łzami:

„Oby całe życie moje mogło świadczyć o mojéj miłości i wdzięczności. . . .!“

W téj chwili zbliżyła się do balkonu Ludwika szukając matki; obaczyła Jakobiego klęczącego, usłyszała jego słowa. Jakby za ukłuciem gadziny szybko się cofnęła.

Odtąd widoczniejsza jeszcze zaszła w niéj zmiana. Milcząca, w sobie zamknięta i bardzo blada poruszała się jakby senna w wesołych kołach Axelholmu i chętnie przystała, gdy niespokojna o nią matka postanowiła wcześniéj niż zamierzała powrócić do domu. Jakobi zdziwiony i zmartwiony nagłą niechęcią Ludwiki ku sobie, myślał że to miejsce jakieś zaczarowane i jak najprędzéj chciał się z niego wydostać.

IX.

POWRÓT DO DOMU.

O czém to Jakobi i Henryk tak wiele mieli z sobą do mówienia, zwłaszcza przed odjazdem? Petrea była tego bardzo ciekawą, ale na ślad przyjść nie mogła. Domyślała się tylko jakiéjś zmowy tyczącéj się całéj rodziny.

Henryk i jego przyjaciel chcieli oddawna wyprawić małą niby ucztę dla rodziny, a teraz zdawało im się, że znaleźli najlepszą sposobność do miłéj niespodzianki. Porządny i w ładném miejscu położony dom zajezdny, między Axelholmem a miastem, został na ten cel obrany. Tu miano zatrzymać się w powrocie, pod pozorem jakiéjś potrzebnéj przy powozie poprawki, i skłonić panie, by weszły do domu, gdzie już wszystko było przygotowane. Obadwaj przyjaciele cieszyli się swym zamiarem; Jakobi zaś wiele sobie zadał pracy i wyczerpał niezbyt już pełną kassę, starając się wszystko przygotować co Ludwika lubi, a zwłaszcza lody. Jadąc do Axelholmu Ludwika i Petrea odbywały drogę w niewielkim powoziku radcy, przy którym Jakobi zastępował woźnicę, Henryk zaś siedział obok niego na koźle; matka z tamtemi córkami jechała w najętym koczu, a radca sam powoził. W powro-

cie miano zachować takiż porządek, z tą różnicą, że Jakobi miał wieźć matkę, a Henryk siostry.

Nie chcieli młodzi panowie—jak to sami ze skromnością wyrzekli — powierzyć lice mniéj pewnym rękom, bo droga była nierówna i deszczem popsuta. Jednakże Jakobi tak te rzeczy zakierował, że wbrew poprzedniéj umowie, Henryk powiózł matkę, a on Ludwikę i Petreę. Nie wiele ztąd odniósł korzyści, bo „przedmiot“ był całkiem innym niż przy pierwszéj podróży. Wtedy Ludwika była bardzo wesołą i cieszyła się serdecznie powietrzem wiosennem, śpiewem skowronka, widokiem wsi, krów i chat wieśniaków, i o wszystkiém tém rozmawiała z Jakobim, który ciągle siedział z głową zwróconą ku powozowi. — Henryk ostrzegał go, by się nie skrzywił tak na zawsze — a ich niebieskie oczy szukały się z wyrazem poczynającego się tkliwego, czystego uczucia. Teraz było inaczéj. „Przedmiot“ na nic w koło siebie nie zważał, siedząc w nieprzerwaném milczeniu w głębi powozu, z zasłoną na twarzy. Henryk porównywał czasem Ludwikę, gdy poważną i uroczystą przybierała postać do katedralnego kościoła, ale i ten przez dzwony rozmawia, a Ludwikę w żaden sposób nie można było do tego skłonić; ustawiczne szczebiotanie Petrei nie ożywiało ją wcale. Oczy Jakobiego nadaremnie szukały jéj wzroku i także pokryły się smutkiem. Po wielokrotnych wstrząśnieniach i stu-

knięciach powozu, dostała się rodzina szczęśliwie przed dom zajezdny; ale wcale nieszczęśliwie; coś się popsuło u koła, nie niebezpiecznie wprawdzie, ale trzeba było wysiąść i naprawić. Henryk prosił matkę, by tymczasem weszła z siostrami do domu zajezdnego, którego gospodarz i gospodyni byli już u bramy i z niezgrabnemi ukłonami zapraszali podróżnych. Gospodarz zbliżył się sam i otworzył drzwiczki powozu. Eliza wykrzyknęła zdumiona; — bo gospodarz był żywcem podobny do jéj męża. A gospodyni, — najmilsza gospodyni w świecie — była żywcem jéj córka Ewa. Wszystkie przybyłe córki nie mniejsze okazały zdziwienie i chciały koniecznie w gospodarstwu widzieć ojca i siostrę. Ale gospodarz i gospodyni nie dali się tém wcale zmięszać, ani w błąd wprowadzić; wiedzieli kto byli i znali swoje obowiązki. Z wielu ukłonami i grzecznościami wprowadzili gości do pięknych pokojów, i tu dopiero gospodarz począł ogromnie gospodarować i wołać na posługacza i dziewki. Nadbiegł po chwili posługać z niebieskim fartuszkiem. Cud nowy! zupełnie był podobny do Jakobiego. Nadeszła dziewka; znowu zdziwienie...! Piękniejszéj a do Henryka podobniejszéj osoby, trudno sobie wyobrazić. Ale niezręczna była bardzo, potykała się i zaczepiała co chwila, tak, że o mało nie upadła. Gospodarz wyłajał ją mocno za niezgrabność, z posługaczem kłócił się, tak że obo-

je płakali — przynajmniéj tak się zdawało — poczém wypędził oboje z rozkazem, by zaraz wrócili z różnemi przysmakami. Powróciwszy zaś natychmiast do najweselszego i najgrzeczniejszego humoru, gospodarz odetkał parę butelek szampana i częstował nim gości i pił z niémi. Gdy się posilali wśród wesołych żartów rozlicznemi przysmakami, powiedziano im, że ktoś, co się „wnukiem Noego“ nazywa, prosi o pozwolenie pokazania towarzystwu różnych rzadkich zwierząt i innych osobliwości, które się w arce znajdowały. Większością głosów przywołano wnuka Noego, a we drzwiach ukazała się postać, która z wyjątkiem wielkiéj, siwéj brody, szczególniejsze miała podobieństwo do Jeremiasza Muntera. W pobocznym pokoju była rozstawiona jego menażerya i gabinet sztuk. Towarzystwo udało się tam i widziało wiele osobliwszych zwierząt i było świadkiem małych scen, które objaśniał wnuk Noego, przemawiając tak humorystycznie i dowcipnie, jak Jafet w szczególniejszéj ale cennéj książce noszącéj tytuł: „*Arka Noego.*“ Dwaj inni wnukowie Noego — do nikogo ze znajomych rodzinie niepodobni — byli pomocni przy przedstawieniu, które tém się zakończyło, że mądry wnuk Noego każdemu z przytomnych ofiarował jakąś małą pamiątkę z arki i to tak zręcznie, że każdy dostał rzecz mogącą mu zrobić najwięcéj przyjemności. Ludwika oprócz tego otrzymała ka-

zanie, miane przez ojca Noego w pierwszą niedzielę pobytu w arce. Ale przy okładce leżała poezya widocznie późniejszéj daty. Ludwika nie przeczytała jéj, tylko schowała, rumieniąc się. Cała ta niespodzianka byłaby się udała wybornie i wśród ogólnéj wesołości, gdyby nie „przedmiot“— właśnie jeden z głównych przedmiotów uroczystości— który nie mógł jéj użyć. Ludwika gwałt sobie zadawała, siląc się być wesołą i drugim nie psuć zabawy, ale każda chwila cięższą jéj się zdawała, a gdy nadeszły lody i posługacz, z oczyma tchnącemi serdecznością, skłonił ją że wzięła trochę waniliowych lodów, zaledwie je skosztowała, zaraz postawiła na stole, wyszła spiesznie i rozpłakała się spazmowym płaczem. Było to coś niesłychanego u Ludwiki i wszystkich niezmiernie przeraziło. Gospodarz, gospodyni, posługacz, dziewka, wnuk Noego wszyscy zapomnieli o swoich rolach, znikło złudzenie i rzeczywistość uroczystości i zabawy. Wprawdzie uspokoiła się Ludwika wkrótce, przepraszała i tłumaczyła się jakimś kurczem w piersiach, wprawdzie Eliza i Ewa, a zwłaszcza Petrea przez wzgląd na Jakobiego i Henryka, usiłowały na nowo wywołać wesołość, ale to się już nie udało Wszyscy, zwłaszcza Jakobi, byli pomartwieni i pomyślano o powrocie do domu. Wtém usłyszano przed domem turkot zajeżdżającego powozu i obaczono piękny bardzo kocz ciągniony czterma ślicznemi gniadoszami.

Był to właściciel, który nie wiedząc o przyspieszonym odjeździe rodziny z Axelholmu powracał do niego po krótkiéj nieobecności i zatrzymał się przed zajezdnym domem, by dać wytchnąć koniom i wypić szklankę sławionego w tém miejscu piwa. Niespodzianie spotkane towarzystwo zmieniło jego zamiar; postanowił odprowadzić rodzinę do miasta i prosił usilnie ciotkę i kuzynki, by się pozwoliły powieźć jego koczem, którego lekkość i wygodę wychwalał, zapewniając, że spać w nim można na najgorszéj drodze. Eliza zmęczona trzęsieniem najętego powozu, zważając, że deszcz począł padać i radca wygodniéj mógł powrócić w najętym koczu, jak dorożką którą z Ewą przyjechał, przyjęła wniosek i uradzono, że z dwoma córkami pojedzie w koczu właściciela, a reszta rodziny rozdzieli się w dwa inne powozy. Gdy przyszło wsiadać, Jakobi powozikiem radcy stanął tuż obok wspaniałego kocza właściciela, który pół gniewnie na to patrzał, lękając się jakiego niebezpiecznego, lub uchybiającego koczowi zetknięcia. Jakobiego serce żywo uderzyło gdy Ludwika wyszła na schody, właściciel stał po jednéj stronie podając jéj rękę, Jakobi po drugiéj, pragnąc ją na dawne miejsce w powoziku poprowadzić i posadzić. Ludwika była blada i szła powoli. Chwilę zdawała się wachać, potém podała rękę z spuszczonemi oczyma właścicielowi, który ją tryumfująco obok matki

w koczu posadził i sam wsiadł na kozioł. Wkrótce piękne gniadosze szybko ich z oczu uniosły. Jakobi położył rękę na piersiach, przykre nczucie oddech mu oddjęło; a łzy zapełniły oczy, patrząc za oddalającym się powozem. Bolesne jego zadumanie przerwała Petrea, oznajmiając mu żartobliwie, że dostało mu się w udziale szczęście wiezienia powozikiem ją i assessora. W milczeniu usiadł Jakobi na dawném miejscu; sercem jego niespokojność miotała i umyślnie pozostał daleko za drugiémi w tyle, by wcale pierwszego kocza nie widzieć.

Wkrótce potém, wśród coraz głębszych dziur na gościńcu, przy mocném uderzeniu spadło jedno z przednich kół powozu, a Jakobi, Petrea i assessor znaleźli się wszyscy troje w błocie. Szybko, nieuszkodzeni powstali na nogi, Petrea ze śmiechem, assessor łając. Jakobi przekonawszy się, że wszystko co żyje nic nie ucierpiało, myślał już tylko nad sposobem zaradzenia niewielkiemu nieszczęściu. Po krótkiéj wśród deszczu naradzie, postanowiono, że Jakobi zostanie przy powozie, dopóki ludzie nie przyjdą mu w pomoc; tymczasem zaś Petrea i assessor pieszo pójdą ku miastu, a skoro będą mogli przyszlą Jakobiemu pomoc. Wyrobnik którego wkrótce spotkali, podjął się ludzi sprowadzić, a Petrea i assessor Munter, wcale nie wesoły, szli daléj po deszczu i błocie. Petrea

czuła się przy tém coraz weselszą i szczęśliwszą. Pierwszy raz zdarzyła jéj się przygoda, powtóre, nigdy jeszcze nie była na powietrzu w takim czasie, po trzecie czuła się tak lekką i swobodną jak rzadko kiedy; suknie swoje miała za stracone wolą losu, — potęga, któréj trudno się sprzeciwiać — z najlepszą więc szła ochotą, przez kałuże skakała, czuła z zadowoleniem jak deszcz przenika jéj suknie, zmywa barwę z szalu i kapelusza; wysoko nos w górę podnosiła, by lepiéj tego przepysznego deszczu używać. Petrea w tém upodobaniu podobną była do brata, a pochlebiała sobie że i do Dyogenesa; mając zaś skłonność do oryginalności, chciała być Dyogenesem, gdy — jak sama dobrze wiedziała — Alexandrem być nie mogła. Czuła z pociechą, jak mało jéj potrzeba zewnętrznych wygód do szczęścia w życiu. Czuła się wolną i bogatą w obecném położeniu, w harmonii z dészczem, wiatrem, krzakami i trawą, nie miała się tu czego obawiać przeciwności i upokorzeń, tak często ją spotykających w życiu towarzyskiém — jeśliby ją sroki wyśmiały, to ona ich nawzajem. „Niech żyje wolność!“ Przy takich wrażeniach, Petrea w najdoskonalszy wpadła humor, tak, że nim zaraziła swego towarzysza nieszczęścia — czyli szczęścia podług jéj słownika. — W tém zerwał się wiatr ogromny, grad począł padać dość gruby, i w taki sposób zaznajamiał się z nosem Petrei, że nieprzyjemności zaczęła doznawać. Assessor oglądał się za jakiémś schronieniem i poprowadził Petreę wązką ścieżką do lasu, zkąd wiatr dym ku nim unosił, jakby ich chciał uwiadomić, że tam w gościnnéj chacie znajdą schronienie przed niepogodą. Idąc tam, fantazya Petrei, bujniejsza wśród burzy przedstawiała jéj najdziwaczniejsze wyobrażenia o zamkach zbójeckich, mądrych pustelnikach, ukrytych skarbach i innych osobliwościach, do których dym miał ją zaprowadzić. Ale niestety, były one wszystkie na dymie zbudowane, bo wychodził z małéj węglarskiéj chatki, mającéj kształt podobny do głowy cukru. Assessor popchnął drzwi nawpół-zamknięte. Nie ukazał się żaden pustelnik, ani nawet zbójca, ale chata była sucha i czysta i z zadowoleniem assessor rozgościł się w niéj, zajmując obok Petrei miejsce na ławie. Petrea westchnęła nad tak smutném przeobrażeniom jéj zamków na łodzie. Widok przedstawiający im się przez otwarte drzwi chaty nie zwrócił uwagi Petrei, ale zdawał się zajmować bardzo assessora. Znajdowali się głęboko w lesie, wśród dzikiéj, samotnéj, ale szlachetnéj natury. Przed chatą było miejsce otwarte, w około którego stały wspaniałe gromady sosen i jodeł i nie poruszały się chociaż burza szumiała w ich koronach. Kilka było drzew zwalonych na ziemię, ale widocznie ze starości. Obrośnięte były

trawą i kwiatami wyrwanemi zapewne z ziemi przy upadku tych patryarchów lasu. Oddzielnie od innych stały dwie wysokie sosny; jedna wypruchniała i bliska upadku, druga zaś młoda, zielona i silna; tak pierwszą opletła swemi gałęziami, że ją wyraźnie trzymała i podpierała, zwiędłe konary łączyły się z zielonemi, jedno drzewo stało w objęciach drugiego i burza nie mogła zwalić staréj sosny, choć nią wstrząsała, bo młoda swoją siłą wspierała ją i chroniła. Wyrazisty wzrok assessora spoczywał długo na dwóch drzewach, jego oczy łzy zapełniły, właściwy mu piękny, ale smutny uśmiech igrał wokoło ust, a miłe uczucia zdawały się jego pierś zapełniać. Zaczął opowiadać Petrei o ludzie starożytnym mieszkającym w pustyni, mówił o czystéj społeczności Essejczyków, (niby przedświcie chrześciaństwa), a jego słowa tak brzmiały: „żądza świętości wywiodła mężczyzn i kobiety z wrzawy świata, z wielkich miast i poszli na pustynię, aby tam bez przeszkody wieść życie czystsze i doskonalsze. Tam pobudowali sobie chaty i utworzyli społeczność, któréj ustawy opierały się na czci Boga i pracy. Żadnego ziemskiego dobra nie pożądano tam dla samego użycia, każde było środkiem tylko do wyższego życia. Szukali oni czystości duszy i ciała; postać ich tchnęła pokojem i powagą. Schodzili się przy wschodzie słońca i wznosili modły i pieśni na cześć najwyż-

széj istności. Siedemnaście godzin dnia oddawali częścią pracy, częścią nauce i rozmyślaniu.

Potrzeby ich były małe, więc ciężaru życia nie czuli. Rozmowy ich były wzniosłe i zmierzające zawsze do objaśnienia i utwierdzenia głębokich nauk ich sekty. Wierzyli oni w jednego odwiecznego Boga, którego istotą czystość i światło; starali się więc do niego zbliżyć czystością serca i postępków, wyrzeczeniem się rozkoszy światowych, pokorném badaniem i pojmowaniem dzieł najmędrszego stworzyciela. Wierzyli, że po za tą pierwszą są ciche mieszkania, gdzie igrają czyste wody i łagodne wietrzyki, gdzie wiosna i pokój mają swoją ojczyznę, — tam się spodziewali dostać po skończonéj drodze życia.“

Nie braknie w życiu jasnych światła promieni. W różnych kierunkach przerywają one mglistą ziemi atmosferę. Ale nie w każdym czasie ludzie jednako są skłonni do ich przyjęcia.

W téj chwili słowa assessora sprawiły Petrei wrażenie nieopisane. Rozpłakała się z niewypowiedzianych słodkich uczuć przy obrazie stanu i dążności tak czystych i doskonałych istot. Zdało jéj się, że ujrzała swoje powołanie, drogę dla siebie zakreśloną w życiu, na któréj rozproszy zamęt własnéj duszy, drobnostki i próżności światowe, dojdzie do światła i pokoju. Wśród tych myśli, czyli raczéj przepełniających jéj serce, patrzała przez łzy

na Jeremiasza, na jego wyraziste oblicze i piękny wzrok, poglądający w zamyśleniu na otaczającą ich przyrodę. Nagle Petrea ujrzała w nim nie już Jeremiasza Muntera, ale mądrego pustelnika z duchem pełnym wysokiéj i świętéj nauki. Zapragnęła upaść mu do nóg i prosić o błogosławieństwo i by pozostał z nią w téj samotności, w téj chacie; tu ją uczyłby mądrości, onaby mu służyła jak córka i razem wstawaliby, modlili się przy wschodzie słońca i wszystko tak czynili jak Essejczykowie. Tak umarliby dla ziemi, a żyli dla nieba. Pod władzą tych najżywszych uczuć i nieokreślonéj tęsknoty, dała się Petrea unieść zachwyceniu obecnéj chwili, i dławiona prawie łzami, upadła na pierś Jeremiasza, wybąkując niewyraźnie swe życzenia.

Gdyby kamień młyński był upadł na szyję poczciwego assessora, jużby go był więcéj nie przestraszył; zatopiony w własnych myślach, zapomniał prawie w téj chwili o obecności Petrei, gdy mu się przypomniała w sposób tak niespodziany. Był on jednak człowiekiem zdolnym pojąć wzruszenia i myśl młodego dziewczęcia, i szczerze i rozumnie usiłował oswobodzić Petreę ze zbytniego napływu uczuć. Pięknemi mówił jéj słowy, jak i wśród ludzi można życie uświęcić i pokój osiągnąć, słowy, których Petrea nigdy nie zapomniała i nieraz jak promienie słońca rozświeciły jéj one duchowy zamęt, tyle ją uderzający,

Tymczasem burza ustała i assessor pomyślał o powrocie, bo Petrea wcale o tém nie myślała i chętnie byłaby noc w ciemnym lesie przepędziła. Jednakże uśmiechała się jéj myśl, jak będzie opowiadać swoje przygody w domu; pomnożyła się ich liczba nim z lasu wyszli, bo los zdarzył jéj to szczęście, że mogła z pomocą assessora podnieść jakąś staruszkę, która była upadła z wiązką drzewa i tę wiązkę odnieść jéj do chaty i za nią ogień rozpalić; potém oswobodzić dwa wróble, które jakiś chłopiec był złapał, a wreszcie uwolnić assessora samego od krzaka tarniny, który go zatrzymał przeważną siłą i mocno tém rozgniewał. Pokrwawiła sobie ręce Petrea przy tym ostatnim czynie, ale to powiększyło tylko jéj zadowolenie.

Gdy wyszli z lasu dészcz już nie padał. Wiatr ustał, a zachodnie słońce piękne, różowe światło rzucało na okolicę; wtedy rozjaśniły się znowu lica Jeremiasza Muntera, słuchał ostatnich śpiewów ptasząt i rzekł: „To piękne!“ i spojrzał na krople, które wisząc na młodéj trawce odbijały niebo i rzekł: „To czyste!“ Małym dzieciom, które napotkała, Petrea rozdała wszystkie przysmaki oszczędzone z uczt axelholmskich i chętnie byłaby im także coś z sukien swoich darowała, gdyby się nie bała Ludwiki i matki. Petrea byłaby sobie życzyła jeszcze więcéj przygód i dłuższéj drogi. Zdawało jéj się, że za prędko przyszła do domu, ale inaczéj

myślał assessor, inaczéj wcześniéj przybyli, którzy się już niepokoili mocno ich długą nieobecnością. Assessor i Petrea bardzo się z sobą zaprzyjaźnili na téj przechadzce. Odwagę Petrei pochwalono, a Henryk zadeklamował patetycznie na jéj cześć:

„Nie każdy tak wielkim jak Xenofon może się nazywać,
By jako mędrzec i bohater laury zdobywać."

I wszyscy się śmieli.

X.

SCENY W DOMU.

„Wszędzie może być dobrze, ale w domu najlepiéj!" rzekła Eliza z głębi serca, gdy się już ujrzała w domu i przy mężu. Młodzież nic także przeciwko temu nie miała że powróciła do zwykłego sposobu życia, ożywionego teraz licznemi wspomnieniami zabaw i opowiadaniem o nich. Spodziewano się że Ludwice wraz z cichemi zatrudnieniami dla domu i rodziny wróci dawna swoboda i uprzejmość, ale ona biedna widocznie inną się stała. Robak zgryzoty zdawał się ją toczyć, mizerniała i chudła w oczach; jéj zaś oczy często były czerwone, a dobry humor przepadł. Napróżno rodzice i rodzeństwo z tkliwą niespokojnością badali przyczyną tego stanu; nikomu nie chciała się

wynurzyć. Nie mogła zaprzeczyć, że korzenie tego złego w sercu spoczywają, ale chciała je tam ukryć przed wzrokiem wszystkich. I Jakobi począł blednąć i chudnąć, cierpiąc wiele nad taką zmianą w Ludwice, najwidoczniejszą w jéj z nim postępowaniu, przychodził na myśl, że może mimowoli ją czémś obraził lub stał się przyczyną jéj smutku i nigdy mocniéj nie czuł, jak mu Ludwika jest drogą. Te zawikłania i usiłowania Jakobiego, by się mógł zbliżyć do Ludwiki, do przyjaznego stosunku powrócić, spowodowały rozmaite drobne sceny, które tu przytoczymy.

SCENA PIERWSZA.

Ludwika siedzi u okna i haftuje. Jakobi stoi naprzeciw.

Jakobi (wzdychając) Ach, panno Ludwiko!

Ludwika patrzy na swą robotę, milczy i haftuje daléj.

Jakobi. Od niejakiego czasu wszystko na świecie wydaje mi się ciężkiém i przykrém.

Ludwika milczy i haftuje.

Jakobi. Pani tak łatwo mogłabyś mi znowu świat i życie rozjaśnić. Ach! panno Ludwiko! tylko jedno dobre słówko, jedno milsze spojrzenie!.... Czyż nie masz go pani dla tego, któryby wszystko chętnie oddał, aby cię widzieć szczęśliwą? (do siebie:) Rumieni się, zdaje się być wzruszoną, otwiera usta;—ach cóż mi powié?

Ludwika. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedm, ośm, dziewięć — dziesięć ściegów, aż do nosa. Wzór jest trochę niewyraźny.

Jakobi. Nie chcesz mnie słuchać ani rozumieć, igrasz pani z moją męką! Ach panno Ludwiko!

Ludwika. Potrzeba mi więcéj nici, muszę je przynieść z mego pokoju. (Odchodzi.)

Scena druga.

Rodzina jest zgromadzona w bibliotece zaraz po herbacie. Ludwika na usilne prośby Petrei i Gabryeli kładzie kabałę z kart, by siostrom ich losy wywróżyć. Jakobi siada przy niéj, postanawiając koniecznie ją rozerwać. Ale „przedmiot“ podobniejszy niż kiedykolwiek do „katedry“. Właściciel wchodzi, kłania się, nos uciera i całuje w rękę „kochaną ciocię“.

Właściciel. Bardzo zimny dziś wieczór! Zdaje się że będziemy mieli mróz.

Eliza. Smutna tego roku wiosna! Czytaliśmy właśnie przerażający opis głodu panującego w północnych prowincyach. Prawdziwe to nieszczęście te lata nieurodzajne!

Właściciel. Tak! Tam jest głód. Ale mówmy o czém inném, bo to zbyt smutne. Moje truskawki kazałem słomą nakryć. Kuzynka Ludwika lubi kłaść pasyans? Ja bardzo lubię. To miłe zajęcie czasu. W moim majątku Estanwiku mam bardzo małe karty do pasyansu, — jestem pewny żeby się kuzynce podobały.

Właściciel siada po drugiéj stronie „przedmiotu“. Jakobi dziwnie się skrzywił.

Ludwika. To nie jest pasyans tylko kabała, ku odkryciu przyszłych losów. Czy mam co powiedzieć kuzynowi?

Właściciel. O tak! Proszę mi co przepowiedzieć. Tylko nic złego, bo jak co niemiłego wieczór słyszę, to potém śpię niespokojnie. — Proszę mi wywróżyć żonę; — żonę piękną i miłą jak kuzynka Ludwika.

Jakobi (ze wzrokiem jak gdyby chciał głowę właściciela do Estanwiku posłać). Nie wiem czy panna Ludwika lubi pochlebstwa!

Właściciel (jakby nie widział ani słyszał swego współzawodnika). Kuzynka Ludwika lubi barwę niebieską?

Ludwika. Niebieska? To piękna barwa. Ale ja wolę zieloną.

Właściciel. A to doskonale! Wybornie! W Estanwiku mój bawialny pokój jest niebieski — z pięknem, jasno niebieskiém obiciem. Ale sypialny pokój jest zielony. Jestem pewny, kuzynko Ludwiko, że...

Jakobi kaszle jak gdyby się dusił i wybiega. Ludwika pogląda za nim, wzdycha i wyszukuje w kartach tyle nieszczęśliwych zdarzeń dla kuzyna Thure, że on się najmocniéj przestraszа. „Truskawki zmarzną—pożar w pokoju do ubioru przeznaczonym—a nakoniec—kosz.“ Właściciel oświadcza jednak z uśmiechem, że go wcale wziąść nie myśli. Rodzeństwo śmieje się i spostrzeżeń sobie udziela.

Scena trzecia.

Rodzina zgromadzona po wieczerzy.

Assessor. Jakaż boleść jest najdotkliwszą?

Jakobi. Kochać bez wzajemności.

Petrea. Nie pojmować saméj siebie.

Ewa. Wyrządzić komuś kochanemu złe nie do wynagrodzenia.

Matka. Ja podzielam zdanie Ewy. Myślę, że nic nad to nie może być boleśniejszego.

Ludwika. Ach, jest boleść dotkliwsza, straszniejsza, a to kiedy się traci wiarę w ukochanych.... wątpi o.... (Usta Ludwiki drżą; pobladła, powstaje spiesznie i wychodzi. Przerażenie ogólne.)

Ojciec. Co jest Ludwisi! Moja Elizo zbadaj to koniecznie. Ona powinna i musi wyznać prawdę. Nie wytrzymam dłużéj widzieć ją taką i natychmiast idę z nią mówić, jeśli ty nie chcesz sama tego uczynić. Ale już jéj nie odstąp dopóki ci się nie wynurzy. Nie znam nic nieznośniejszego jak tajemnice i spazmy.

Matka. Idę do niéj. Mam w téj chwili jakby przeczucie. Mój drogi Erneście! Jeśli dłużéj przy niéj zabawię, to niech się wszyscy udadzą do spoczynku, a ja potém do ciebie samego powrócę.

(Odchodzi.)

Scena czwarta.

Córka klęczy z twarzą rękami zakrytą. Matka zbliża się cicho i obejmuje ją rękami.

Matka. Ludwisiu! Moje drogie dziecię! Co ci jest? Taką jeszcze nigdy cię nie widziałam! Musisz mi powiedzieć co ci cięży na sercu; musisz koniecznie!

Ludwika. Nie mogę, nie powinnam.

Matka. Możesz, powinnaś. Czyż chcesz mnie, nas wszystkich nieszczęśliwemi uczynić jeśli to tak daléj potrwa? Ach Ludwisiu! Niech cię nie zwodzi ani wstyd fałszywy, ani fałszywa delikatność. Powiédz, czy wyjawiając co cię uciska złamiesz jaki ślub lub święty obowiązek?

Ludwika. Nie ślub, nie obowiązek, a przecież... przecież....

Matka. Więc w imie Boże, mów moje dziecię! Niezawodnie niesłuszne jakieś posądzenie sprowadziło twój stan obecny. Co znaczą słowa z któremi nas dziś opuściłaś? Płaczesz Ludwisiu, proszę, błagam cię, jeśli mnie kochasz, nie kryj nic przedemną. Komuż z tych co ich kochasz przestałaś wierzyć, nie możesz go już szanować? Odpowiédz mi! Może—twoją matkę?

Ludwika. Moja matko, moja matko! ach gdy tak na mnie patrzysz, to czuję boleść, a przecież uspokojenie. O, mój Boże! Wszystko może być błędem,

nędzną potwarzą, a ja.... niech więc i tak będzie, niech wyjdzie na jaw ta tajemnica która pożera moje serce, a którą ukrywać miałam za obowiązek. Ale przebacz mi matko, jeśli ci boleść zadam! Przebacz mi jeśli moje słowa zamieszają twój spokój; przebacz jeśli w mojéj słabości i wątpliwości krzywdę ci czynię i uwolń mnie od téj męki, która mi życie zatruwa! Ach, matko, to było mojém, mojego rodzeństwa szczęściem, wiedzieć żeś ty tak bez skazy, tak anielsko czysta! Z dumą myślałam żeś mi matką.... a teraz....

Matka. A teraz Ludwisiu?

Ludwika. Teraz powiedziano mi.... o ja tych słów nie wymówię!

Matka. Powiédz je. Żądam tego, wymagam od ciebie. Stojemy obie przed sądem bożym.

Ludwika. Chciano we mnie wmówić, że moja matka także nie jest bez zarzutu, że ona i....

Matka. Mów daléj, Ludwisiu!

Ludwika. Że moja matka i Jakobi kochali się; że złe języki miały słuszność, i że jeszcze teraz.... Pogardzałam tą mową, pogardzałam tą, która śmiała coś podobnego wyrzec. Chciałam myśl, pamięć tych słów wygnać z méj duszy jako zbrodniczą. Wtém zdarzyło się raz żem cię szukała moja matko, i obaczyłam Jakobiego klęczącego przed tobą i mówiącego o swéj miłości.... Teraz matko, wiesz wszystko.

Matka. I cóż ty mniemasz o tém wszystkiém?

Ludwika. Ach ja nie wiem co mam mniemać. Ale od téj chwili nie ma pokoju w mojéj duszy, i wątpiłam czy kiedy do niéj powróci, czy moja męka się zakończy, czy będę mogła odkryć komu tę rozdzierającą niepewność...

Matka. Niech pokój wróci do twego serca, moje dziecię! Dobry Boże! jakżeż nieszczęśliwą czułabym się w téj chwili, gdyby moje sumienie nie było czystém! Ale, dzięki Bogu, moje dziecię, twoja matka nie ma sobie do wyrzucenia żadnego błędu, a Jakobi zasługuje najzupełniéj na twój szacunek i twoją życzliwość. Powiem ci szczerze co jest prawdą w téj całéj rzeczy, która twój pokój zatruła. Była chwila — skoro Jakobi dostał się do naszego domu — w któréj w jego młodém i nierozważném sercu obudziła się dla mnie żywsza przychylność, i po części — była odwzajemnioną. Lecz nie ty mnie potępisz za mimowolne uczucie, na które twój ojciec przebaczającym patrzał wzrokiem. W błogosławionéj chwili otworzyliśmy sobie nawzajem nasze serca, a jego miłość, jego siła i słodycz dodały mi mocy do pokonania méj słabości. Jakobi, przyprowadzony również do uznania swego obłędu, walczył z nim i przezwyciężył go. Rozdzieliliśmy się wtenczas z wspólném życzeniem niewidzenia się lat kilka. Tymczasem Henryk został powierzony jego opiece, a Jakobi był mu wzo-

rowym przyjacielem i mistrzem. Gdy w lat trzy później obaczyłam Jakobiego, podałam mu rękę jak siostra, a on — moje drogie dziecię, zdaje mi się, że już wtenczas począł mnie kochać jak matkę. Co się wtenczas zaczęło, dopełniło się później. Jako syn klęczał przedemną, gdyś ty go u moich nóg obaczyła, dziękując mi, że przyzwalam na jego miłość ku mojéj córce, ku mojéj Ludwisi — która wtenczas tak niepotrzebnie wywołała widmo, by niém siebie i nas wszystkich przestraszyć.—

Te ostatnie słowa matki nie tylko tchnące pokojem, ale prawie żartobliwe, może więcéj jeszcze niż prostota i szczerość całego wyjaśnienia, napełniły serce córki uszczęśliwiającą pewnością. Przycisnęła ręce do piersi i spojrzała wdzięcznie ku niebu.

„A jeśli jeszcze najmniejszą masz wątpliwość“, mówiła matka daléj, „to mów z twoim ojcem, mów z Jakobim, a oni potwierdzą moje słowa. Ale widzę że już tego nie potrzebujesz. Twemu sercu pokój wrócony, moje dziecię!“

„Ach dzięki Bogu! Dzięki Bogu!“ zawołała Ludwika upadając do nóg matki i całując jéj ręce i suknie, „o mogęż spojrzéć na cię moja matko! Potrafiszże przebaczyć mi moją słabość, nędzną łatwowierność? Nigdy, nigdy sobie tego nie przebaczę!“

Ludwika odchodziła od siebie, drżała mocno.

Nigdy jeszcze nie widziano jéj tak wzruszonéj. Ale matka znała lekarstwo dla duszy jak dla ciała, tkliwe słowa i uspokajające krople, użyła obojga, by złagodzić zbyt żywe rozczulenie i uniesienie córki.

Skłoniła matka Ludwikę iż się udała do spoczynku, usiadła przy jéj łożu i trzymając jéj rękę w swoich, poczęła, by odwrócić myśl córki od dopiero co zaszłéj sceny, wybadywać ją zwolna o jéj usposobienie względem dwóch starających się, właściciela i Jakobiego. Ale Ludwisia miała w téj chwili jedno tylko uczucie, jednę myśl, szczęśliwe rozwiązanie jéj powątpiewań. Gdy matka obaczyła ją spokojniejszą, rzekła ściskając córkę:

„Spij dobrze, moje drogie dziecię! Muszę odejść, bo twój ojciec niecierpliwie mnie oczekuje. Bardzo był skłopotany tobą, pospieszę go więc uspokoić szczerém powtórzeniem tego, co tu mówiłyśmy. Zresztą tyś nic nie powiedziała coby nas niepokoić mogło. Że byli tacy którzy mnie spotwarzali i są jeszcze dotąd, jest to nam obojgu wiadome. On mi pomógł znieść to spokojnie, on taki szlachetny, nieporównany! Ach Ludwisiu, wielkie to błogosławieństwo, gdy mąż i żona, rodzice i dzieci ufają sobie zupełnie! To tak miło i słodko w miłości módz wszystko zwierzyć drogiéj istocie!“

Scena piąta.

Ogród.—Poranek. Skowronki śpiewają, narcyzy pachną, wietrzyk szeleszcze w drzewach, pszczoły zbierają szemrząc miód z kwiatu czereśni. Słońce świeci wszystkim swoim dzieciom. Ludwika idzie środkową ulicą z kazaniem ojca Noego w ręku, lecz jéj oczy spoczywają na poezyi przy niém się znajdującéj, ale nie mającéj nic wspólnego z arką ani z Noem. Jakobi nadchodzi z przeciwnéj strony, bardzo ponury, z ciemnym jakimś kwiatem w ręku; oboje spotykają się i kłaniają się sobie w milczeniu.

Jakobi. Mogę panią prosić o chwilę rozmowy? Długo nie zatrzymam.

Ludwika zarumieniona skinęła głową w milczeniu.

Jakobi. Odjeżdżam za godzinę, ale nim panią pożegnam, prosić pragnę, byś mi jedno pytanie odpowiedziała.

Ludwika. Pan jedziesz? Dokąd? Dla czego?

Jakobi. Dokąd—to mi obojętne, byłem się tylko ztąd oddalił! Dla czego? Bo nad moje to jest siły znosić dłużéj widok niechęci osoby mi drogiéj i która dawniéj mniemałem że mi sprzyjała. Od dwóch tygodni postępowanie pani względem mnie zatruło mi życie. I dla czego? Przez co stałem się tak nieszczęśliwym, żem panią obraził i zniechęcił ku sobie. Dla czego odmawiasz wyjaśnienia? Jestże to słusznie potępiać kogoś nie wysłuchawszy go? I do tego przyjaciela, przyjaciela od dzieciństwa. Jestże to słusznie — przebacz mi panno Ludwiko — jestże to po chrześciańsku, być tak srogą, nieubłaganą. W kazaniach które pani tak lubisz czytywać, niczе nie ma o dobroci, przebaczeniu?

Jakobi wyrzekł to z zapałem i z surowością niewłaściwą jego łagodnéj i wesołéj duszy. Ludwika odpowiedziała mu głęboko wzruszona:

„Byłam dla pana niesprawiedliwą, bardzo niesprawiedliwą, ale zwiedziono mnie, kiedyś powiem panu może jakim sposobem. Dopiero od wczoraj wieczora wiem żem się myliła—że w téj rzeczy ja tylko jedna zasługuję na naganę. Wiele, wiele mam sobie do wyrzucenia, zwłaszcza żem tak skrytą była względem moich, względem pana. Przebacz mi, panie Jakobi!“ dodała podając mu rękę prawie pokornie, „przebacz mi! Zrobiłam ci przykrość, ale“ — tu już Ludwika łez powstrzymać nie mogła — „wierz mi, żem wiele na tém cierpiała!“

„Dzięki, dzięki ci pani!“ zawołał Jakobi przyciskając jéj rękę do ust i do piersi. „Jakże mnie twoja dobroć uszczęśliwia! Teraz mogę odetchnąć, mogę cię pożegnać z mniéj rozdzierającym żalem.“

„Czemuż pan jeszcze chcesz jechać?“ zapytała Ludwika w pół gniewnie.

„Bo nie radbym“, odpowiedział Jakobi, „być świadkiem zaręczyn, które się tu zapewne wkrótce odbędą; bo po postępowaniu pani w ostatnich czasach przekonałem się, że nie mogłabyś powziąść dla mnie serdeczniejszego uczucia!“

„Gdyby tak było“, odpowiedziała Ludwika w tenże sposób jak wyżéj, „to nie tyle byłabym cierpiała!“

„Jakto?“ zawołał uradowany Jakobi, „ach panno Ludwiko, co za słowa, jakże śmiałe obudzają one we mnie nadzieje! Mogęż je wyrazić, mogęż pani powiedzieć, co nieraz myślałem i myślę w téj chwili?“

Ludwika milczała a Jakobi mówił daléj:

„Myślałem że przyszłość pani związana z biednym, nic nie znaczącym Jakobim, milszą by ci była niż z bogatym sąsiadem z Estanwiku; miałem nadzieję że moja miłość, całe me życie tobie oddane, mogłoby ci się stać szczęściem; że wystarczyłaby ci mała cząstka ziemskiego dobra, skoro ofiarowana ci przez człowieka umiejącego panią ocenić i który niczego mocniéj nie pragnie, jak módz się uszlachetnić przy twoim boku, stać się ciebie godniejszym! O jakże jasném, jak błogiém byłoby mi to życie, gdyby mnie przez nie wiodła ta droga ręka! Nie lękałbym się przeciwności ni pokus! Jakżebym usiłował okazać się wdzięcznym Opatrzności za tyle dobroci! Panno Ludwiko! tak myślałem, śniłem, marzyłem! O powiédz, byłyż to sny tylko? Nie mogąż się one urzeczywistnić?“

Ludwika nie cofnęła ręki i pełnym słodyczy wzrokiem patrzała na mówiącego.

„Jedno słówko!“ prosił Jakobi, „tylko jedno! Mogęż cię nazwać moją Ludwiką?“

„Mów pan z mojemi rodzicami!“ rzekła Ludwika mocno zarumieniona, odwracając głowę.

„Tyś moją!“ Wykrzyknął Jakobi, upojony szczęściem i z czułością przyciskając ją do piersi; ale Ludwika powstrzymała go łagodnie, mówiąc: „Mów pan z mojemi rodzicami! Bez ich przyzwolenia nic nie stanowię ani przyrzekam. Ich odpowiedź rozstrzygnie!“

„Chodźmy razem do nich, moja Ludwisiu, prosić o ich błogosławieństwo.“

„Idź sam, panie Jakobi!“ rzekła Ludwika, „ja nie czuję się dość spokojną ani silną; — tu oczekiwać cię będę.“

Z tą piątą sceną — mniemamy — nasz mały dramat doszedł pomyślnego końca, damy więc pokój dalszym scenom.

Gdy uszczęśliwiony Jakobi biegł do rodziców Ludwiki uderzył się we drzwiach o kogoś wychodzącego. Obydwa cofnęli się o parę kroków i spojrzeli na siebie z zdziwieniem. Spotkał bowiem Jakobi swego współzawodnika—właściciela.

Chciał go pominąć ze słowem: „Przepraszam!“ ale właściciel zatrzymał go zapytując z widocznem z siebie zadowoleniem:

„Nie wiesz pan przypadkiem czy kuzynka Ludwika jest w ogrodzie? Idę właśnie od jéj rodziców i chciałbym z nią pomówić. Możesz mi pan powiedzieć gdzie ona jest?“

„Ja.... ja nie wiem!“ wybąknął Jakobi wyrywając mu się i z tajemną bojaźnią spiesząc do jéj rodziców.

Tymczasem właściciel dojrzał z daleka między drzewami kuzynkę Ludwikę i do niéj pospieszył.

Nie bardzo zdziwiła się Ludwisia, gdy po wszystkich wstępnych pytaniach: „Czy kuzynka lubi ryby? Czy kuzynka lubi ptaki?“ przyszło nakoniec główne pytanie: „Czy kuzynka mnie kocha?“— Trochę zmieszana odrzekła Ludwika najwyraźniejsze „nie“ choć osłodzone poważaniem i uprzejmością.

Jakobi zaś z całą serdecznością i zapałem wynurzył rodzicom Ludwiki swą miłość, życzenia i nadzieje. Wprawdzie Jakobi nie miał jeszcze urzędu ani majątku, ale wiele widoków na przyszłość, w których słońcem i podporą był excelencya O. Radca nie był wcale przyjacielem takich podpór, Eliza nie lubiła długiego czekania po zaręczynach; ale oboje lubili Jakobiego, oboje pragnęli przedewszystkiém prawdziwego dobra i szczęścia swego dziecka; po wielu więc naradach, wybadaniu Ludwiki, przekonaniu się że jéj życzenia zupełnie są zgodne z życzeniami Jakobiego

i w związku z nim widzi swe szczęście, i gdy Jakobi potrafił z wielką gorliwością i dobrym skutkiem zwyciężyć wszystkie wnioski ku odłożeniu zaręczyn, otrzymał uroczyste przyzwolenie rodziców; i tego dnia po południu, którego poranne słońce przyświecało jego pojednaniu się z Ludwiką, zostali—zaręczeni. Jakobi był uszczęśliwiony nad wszelki wyraz, Ludwika pełna pokoju i słodyczy. Henrykowi zdawało się, że: „jéj wysokość zbyt łaskawie wygląda.“ Może ztąd po części pochodziło jéj zadumanie, że już w myśli zajmowała się pomnożeniem i uporządkowaniem garderoby Jakobiego i szyła piękną bieliznę. Ludwika bowiem najwięcéj dla tego przyzwoliła tak chętnie na zaręczyny z Jakobim zaraz, by, jak to sama Ewie powiedziała, „mieć prawo do większéj o nim troskliwości.“ Przebacz, dobry czytelniku, naszéj najstarszéj, że troszkę z wysokiéj łaski dała swe przyzwolenie, bo zapewnić cię możemy, że Jakobi nic na tém nie stracił. Czuł on to, a jego serdeczność i radość ożywiały i rozczulały Ludwikę. Zaręczynami cieszyło się całe rodzeństwo Ludwiki, a los sprzyjający Jakobiemu, zgładził zmarszczki na czole radcy, i serce Elizy przejęte było najsłodszą roskoszą. Henryk zwłaszcza, wielką okazywał ztąd radość, że ukochany jego mistrz i przyjaciel miał mu się stać bratem.

„Ale słuchajno, szwagrze“, rzekł patrząc wiel-

kiemi oczyma na Ludwikę, „przestrzegam cię, abyś był panem w domu i nie dał pantoflowi w nim rządzić! Kiedy pojmujesz za żonę jéj wysokość, to jeszcze wyższym być musisz. Jeśli ona będzie wyglądać jak katedra, to ty wyglądaj jak sąd ostateczny i grzmij i piorunuj! Śmiejesz się! Powinieneś do serca wziąść moje braterskie przestrogi, a nie lekce je ważyć, i.... ale, kochany przyjacielu, czy nie powinniśmy mieć ponczu dziś wieczór? Nieprawdaż, mateczko? Ja będę miał zaszczyt sam go przyrządzić, bo trzeba wypić zdrowie ich wysokości! Poncz przyrządzę, który.... cukru i pomarańcz! Ponczu!“

Z tym wykrzykiem i rozłożonemi rękami biegł Henryk do drzwi; te otworzyły się w tejże chwili, a Henryk przyjął w objęcie—marszałkowę.

„A, dobry Boże! mój najdroższy!“ wykrzyknęła, „he, he, he, he! Cóż to się stało? Zapewne nie spodziewałeś się przyjacielu, starą uściskać! He, he, he, he!“

Z uszanowaniem i najszczerzéj przeprosił i uniewinnił się Henryk, opowiadając przyczynę uniesienia i przedstawiając narzeczonych pani Gunilli, która się w pierwszéj chwili zdziwiła, potém rozczuliła. Ze łzami w oczach uściskała naprzód Elizę, potém Ludwikę i Jakobiego. „Bóg niech was błogosławi!“ wyrzekła serdecznie. Potém usiadła na sofie, troszkę pobladła i umilkła, bo smutne

wspomnienia przywodziły jéj na myśl, jaki trudny, ciężki nieraz dzień następuje, po jasnym poranku zaręczyn. Czy z téj przyczyny, czy téż, że jéj było nie dobrze, pani Gunilla coraz mocniéj bladła. Gabryela pobiegła przynieść jéj szklankę wody i uderzyła się niespodzianie przy nagłém otwarciu drzwi o assessora, który właśnie wchodził i odskoczyła z wykrzykiem. Assessor spojrzał na nią krzywiąc się i byłby jéj może do wielu przydomków, któremi ją już obdarzył nowe jakie wyszukał, gdy nagle resztą młodzieży obaczył się otoczony.

„Patrzcie że się“, zawołał, „cóż to znowu? Dla czego opadacie mnie? Czy nie można już przejść spokojnie. Ja nie chcę tańczyć, panie Henryku!

Nie krzycz mi tak w uszy, panno Petreo! Co? Zaręczeni?

Kto?

Nasza najstarsza?

Dajcież mi usiąść i zażyć tabaki! Nasza najstarsza zaręczona;—to straszne!... o, o!... to przerażające!...

Rodzina cała znająca dobrze assessora, śmiała się z jego wykrzykników, Ludwika zarumieniła się i prawie rozgniewała za nie. Wstał wreszcie, przybliżył się do narzeczonych i rzekł: „No, trzeba być z tego zadowolnionym, co się już nie odmieni. Co napisane zostało, to już napisane. A ponieważ napisano jest że ten nieporównany i niepoprawiony

ród ludzki ma się wciąż rozmnażać, więc—w imie Boże, bądźcie szczęśliwi! Szczęść wam i błogosław Boże, kochane dzieci!“

I uścisnął serdecznie ręce Jakobiego i Ludwiki, którzy oddali mu uściśnienie, chociaż formą powinszowania nie bardzo zadowoleni.

„Nigdy w mojém życiu,“ rzekł Henryk, „nie słyszałem tak niewesołego powinszowania. Marszałkowa i wujaszek Munter muszą być dzisiaj w melancholiczném usposobieniu. Ale teraz gdy on usiadł obok niéj, to jest nadzieja, że się wkrótce pokrzepią jaką orzeźwiającą kłótnią.“

Ale nie! żadna kłótnia nie powstała tego wieczora między assessorem i panią Gunillą. Assessor miał dla niéj wiadomość, którą trudno mu było jéj udzielić i nie bez łez ją usłyszała: „Pyrrus już nie żyje!“ — „Wczoraj wieczór był zupełnie zdrów,“ opowiadał assessor, „i lizał moją rękę na dobranoc. Dziś wypił z apetytem swoje śniadanie i położył się potém na poduszce.— Gdy na objad wróciłem do domu, rad nawet że go podzielę z moim małym towarzyszem — obaczyłem go nieżywego na poduszce!“ Wiele jeszcze mówił z panią Gunillą o wspólnym ulubieńcu i w najlepszéj dziś byli z sobą przyjaźni.

Jednakże jeszcze kwaśniejszym był Jeremiasz tego wieczora niż zwykle. Posępny wzrok jego, często spoczywał na narzeczonych.

„Tak,“ wyrzekł sam do siebie wpół głośno — gdyby tylko sobie samemu ufać, siebie znać dobrze, toby można nie bez podstawy spodziewać się szczęścia dla siebie i dla drugiéj istoty w spólném życiu!“

„Tyle przecież można siebie znać i być siebie pewnym, nim ktoś łączy dobrowolnie swój los z losem drugiego!“ rzekła Ludwika ufna w sobie.

„Tyle, tyle!“ powtórzył żywo assessor. „No proszę! Któż wie tyle? Nie ty, kochana siostro, to cię zapewniam.—„Ach!“ dodał z gorzką boleścią, „my sami siebie w życiu zawodzimy. Jest-że kto, któryby— jeśli samego siebie zna dobrze, nie miał sobie do wyrzucenia jakiéj niewiary względem przyjaciela, względem swojéj miłości, lub swego lepszego *ja*? Miłość własna, nędzny egoizm przenikają każdy zakącik istoty człowieka. To liche *ja* wszędzie się przeciska, wszelki czyn, niby dobry, jakże plami ukrytą, łączącą się z nim osobistą myślą lub widokiem! . . .

„Nie znasz-że pan żadnéj cnoty, żadnéj czystéj wielkości i doskonałości, którąbyś mógł podziwiać? Nie ukazujeż nam historya?..“

„Historya!“ krzyknął assessor, „nie mówcież mi o niéj, nie występujcie z nią! Nie, jeśli mam wierzyć w cnotę, to nie w taką, jaką historya ukazać jest w stanie; cnota prawdziwa znaleźć się może tylko u takich, którzy na widownię świata ni-

gdy nie występowali, nigdy nie odbierali jego pochwał i oklasków; bo u odgrywających rolę w historyi nie sposób, by się znalazło coś doskonale czystego, doskonale pięknego i świętego. U cichych i ukrytych wierzę, że to jest możliwém, lubo w sobie nic podobnego nie widzę. Przejrzałem całą moją duszę i nigdzie nic czystego w niéj nie obaczyłem. Lecz chcę wierzyć, że w innych znaleźć się może! Serce moje rozkoszuje na tę myśl, że może być w świecie cnota zupełnie czysta i nie samolubna. Mój Boże, jakże cudownie piękną być musi! I gdziekolwieby się znalazła taka istota, w pałacu czy w chacie, w złocie czy w łachmanach, mężczyzna lub kobieta, któraby, unikając pochwał świata, lękając się nawet pochwały własnego serca, z rzetelną gorliwością wypełniała swe obowiązki, jakkolwiek trudne, jakkolwiek niedostrzeżone przez drugich i w milczeniu i ukryciu pracowała i modliła się — tę istotę wielbiłbym i kochał — stawił wyżéj nad wszystkich Cezarów i Cyceronów świata.“

Radca powstał z miejsca wśród téj mowy i zbliżył się do mówiącego. Położył pieszczotliwie rękę na ramieniu żony; spojrzał dokoła na swe dzieci; jego wzrok zajaśniał.

„Nasz czas“ — mówił daléj Jeremiasz Munter, „nie pojmuje takiéj wielkości. Głośno siebie chwali i dla tego téż nie ma wartości. Wszyscy ludzie

chcą być i okazywać się sławni i uczeni. Każdy występuje i woła głośno: *ja, ja!* Nawet kobieta nie pojmuje już szlachetności swego ukrycia; nawet ona chce w świecie swoje *ja* rozgłosić. Zaledwie kto teraz z serca *ty* powie. A przecież tylko w tém *ty*, dla którego człowiek swego samolubnego *ja* zapomina polega jego najczystsze dobro, największe szczęście. Zapewne może się to wydawać wielkiém, może zachwycać, świat— choćby tylko na chwilę— swojém napełnić imieniem, ale gdy w dawno upłynionych czasach ludzie milionami po milionach łączyli się z sobą i pracowali, by najwyższemu wznieść świątynię i przechodzili, znikali w milczeniu nieznani, by tylko jego uczcić imię — to niezawodnie było większém, było godniejszém człowieka!“

„Mówisz jak sam król Salomon, wujaszku Munterze! zawołała Petrea zachwycona. „Ach, trzeba żebyś został autorem, napisał książkę o . . .

„Pisać? po co? aby nędzną próżność w sobie powiększać? pisać — ba!“

„Każdy czas na swój sposób wznosi świątynię!“ zauważał Henryk z pięknem spojrzeniem.

„Nie!“ mówił daléj assessor, „pisać bym nie chciał, ale chciałbym żyć! — Czasem marzyłem, że żyćbym mógł! . .“

Umilkł. Żywe wzruszenie odbiło się w jego twarzy, wstał i wziął książkę, w którą patrzył, nie czy-

czytając. Wkrótce wysunął się cicho z towarzystwa.

Żywo rozmawiała rodzina tego wieczora i wśród żartów i na seryo, wszyscy jednak zgodzili się na to szczerze i postanowili, iż będą wspólnie pracować nad budową świątyni, w duchu przez assessora sławionym, każdy swoim narzędziem i podług swojéj siły.

Radca chodził tam i nazad po pokoju i rzadko się odzywał, ale słuchał i uśmiechał się pochwalając. Zdawało się, jakby słowa Jeremiasza Munter wzbudziły w nim jakieś smutne usposobienie. Kilka serdecznych słów wyrzekł na pochwałę swego przyjaciela.

„Czystszéj ludzkiéj duszy nie ma!“ wyrzekł o nim, „i on wpłynął na mnie bardzo dobroczynnie. Wiele ludzi ma dobre chęci i dobrze czyni; ale mało kto wyrównać mu przy tém może w czystości myśli, w doskonałéj szlachetności celu! . .“

„Ach! gdyby to można choć trochę szczęśliwszym go zrobić, więcéj z życia zadowolonym!“ rzekła Ewa.

„Chcesz może podjąć się tego starania?“ szepnęła jéj figlarnie Petrea.

Pocałunek troszkę za głośny, zwrócił teraz nagle oczy wszystkich na Jakobiego i Ludwikę, która za tę zuchwałość rzuciła narzeczonemu spojrzenie bardzo gniewne i niełaskawe. Henryk zapewniał, że ten wzrok jakby „piorunem go zraził.“

Gdy się tego wieczora już wszyscy rozeszli — Jakobi wybłagał sobie mały pocałunek — łaskawie udzielony — jako przebaczenie i pojednanie po wielkim. — Eliza i Ludwika ze wspólnego pociągu zeszły się w gabinecie matki, gdzie następna odbyła się rozmowa:

„Moje drogie dziecko!“ rzekła matka, „jakimże to sposobem przyszło tak nagle do oświadczenia się Jakobiego? Nigdy nie myślałam, żeby to tak prędko nastąpiło, i nie mogę się z ta myślą oswoić, żeś ty już zaręczona.“

„I ja także,“ odpowiedziała Ludwika, sama zaledwie pojąć mogę, jak do tego przyszło. Spotkaliśmy się dziś zrana w ogrodzie. Jakobi był bardzo zasmucony i chciał odjeżdżać myśląc, że przyjmę rękę kuzyna Thure. Wtedy przeprosiłam go za okazywaną mu w ostatnich czasach niechęć i dałam mu się domyśléć rzeczywistego mego dla niego usposobienia. On uradowany przemówił do mnie o swoich życzeniach i uczuciach tak pięknie, tak serdecznie, że wreszcie — sama nie wiem jak do tego przyszło, — ale on nazwał mnie — swoją Ludwiką! a ja — prosiłam go — by mówił z mojémi rodzicami!“

„Rodzice zaś tymczasem posłali córce drugiego wielbiciela z oświadczeniem, by od niéj *tak* lub *nie*

usłyszał. Biedny kuzyn Thure zdawał się mieć tak pewne nadzieje! Ale spodziewam się że się wkrótce pocieszy. Wiész jednak, Ludwisiu, iż w ostatnich czasach istotnie mniemałam, że Estanwik i jego wspaniałość i przepych wabiły cię trochę? A teraz — nie czujesz że wcale straty tak znacznego udziału ziemskiego dobra?“

„Straty? nie, teraz nie. Jednakże byłabym nieszczerą, gdybym zaprzeczała, że mógł być dla mnie pokusą. Dla tego właśnie nie chciałam widzieć Estanwiku, by nie dać mu działać na siebie, kiedy takiego człowieka jak kuzyn Thure w żaden sposób nie mogłabym lubić, a Jakobiego kocham, i to już oddawna. Raz jednak pokusa bliską mnie była, a to właśnie w powrocie z Axelholmu, kiedy jechałam w wygodnym i ślicznym powozie kuzyna Thure —wtedy zdawało mi się, że to miło być musi mieć taki powóz i tak miękko i przepysznie kołysać się w nim przez życie. Ale wtenczas byłam nieszczęśliwą, życie straciło dla mnie wartość, ja wiarę w moich najdroższych! O wszystkiém dobrém w świecie powstawały we mnie tak straszne powątpiewania; dla tego też pomyślałam na chwilę, że może najlepiéj przespać życie wśród wygódek. Ale teraz — zniknął ten sen ciężki; życie mi znowu jasne i widzę moją drogę. Teraz kocz kuzyna Thure tyle mnie obchodzi ile np. sanki z karty wycięte. Teraz gdyby całe moje życie miało być ciężkim dniem pracy, nie przestanę zań Bogu dziękować. Dla tych pracować, których się całą duszą szacuje i kocha, jest rozkoszą, i nic nadto nie pragnę, tylko dla moich rodziców, rodzeństwa i tego, którego dziś przed Bogiem obrałam moim narzeczonym módz żyć i pracować!“

„Bóg cię pobłogosławi, moje dobre dziécię!“ rzekła matka ściskając ją i obie słodkiemi łzami zakończyły ten wieczór.

XI.

ZNOWU OŚWIADCZENIE.

Następnego poranku otrzymała Ewa równiankę pięknych róż, pomiędzy któremi znajdował się list do niéj. Ewa odpieczętowała go i przeczytała co następuje:

„Marzyłem że żyć mogę i to życiem piękniejszém, pełniejszém, niż je kiedykolwiek romans wyroił. — Panno Ewo, ty którą nieraz na rękach nosiłem, dobra, młoda dziewico, którąbym chętnie całe życie nosił na łonie, słuchaj co śniłem i jeszcze śnię czasem.

Śniło mi się, żem był skałą, dziką, szpetną, odpychającą, nieurodzajną. Ale serce biło w skale,

serce uwięzione. Przebijało się krwawo przez mury więzienia, bo tęskniło za słońcem, ale nie zdołało zerwać swoich pętów. Nie mogłem się własną siłą oswobodzić od samego siebie. Serce płakało w skale, że jest tak twardą i więzieniem własnemu życiu. W tém wyszła z lasu dziewica, jasny, słodki anioł, i położyła na skale ciepłą, liliowobiałą rękę i dotknęła się jéj czystemi ustami, szepcząc czarodziejskie uwolnienia słowo ... Wtedy otworzyła się ściana skały, a biedne, uwięzione serce obaczyło słońce! Młoda dziewica wstąpiła w izdebkę serca i nazwała ją swoim domem. Wówczas nagle z uszczęśliwionego serca wyrosły i rozkwitły się piękne róże, które oswobodzicielce woń swą niosły w dani, a izdebka serca zasklepiła się wysoko, niby świątynia dla niéj, nagie ściany świeża pokryła zieloność, wśród któréj drogie kamienie igrały z promieniami słońca. Zbudziłem się z uczucia szczęśliwości zbyt wielkiéj na tę ziemię; zbudziłem się i niestety! znikła piękna dziewczyna, a w piersi była znowu martwa, brzydka, smutna skała. Ale, słuchaj, młoda dziewico! nie może mi wyjść z myśli, że te róże które we śnie widziałem, są we mnie ukryte, że jeszcze zakwitnąć, ucieszyć i uszczęśliwić mogą; zdaje mi się, że ta ciasna, zgryzotą przytłoczona pierś, mogłaby się rozszerzyć przy kochającém dotknięciu, że znalazłyby się w niéj szlachetne kamienie, które ku światłu

wywiedzione, jasnoby zabłysły... Młoda, dobra dziewico! Nie zechcesz-że spróbować położyć ciepłą twą rękę na skałę? Nie chcesz-że ją słodkiém ożywić tchnieniem? O pod twoją ręką onaby zmiękła, róże dla ciebie wydała, otoczyłaby cię świątynią pełną pochwalnego śpiewu, pełną miłości!.“

Wiem że starym jestem, starym przed czasem; że jestem brzydkim, nieznośnym, może śmiesznym; ale nie zdaje mi się, aby mnie takim natura miéć chciała. Jam tak nieskończenie samotny świat przeszedł. Ni ojciec, ni matka, ni rodzeństwo nie towarzyszyli mi na mojéj drodze; żaden promień słońca nie padł na moje dzieciństwo ni młodość; walcząc z przeciwnościami szedłem samotny przez życie. Raz przywiązałem się do przyjaciela — on odepchnął mnie; — wtedy skałą obrosło mi serce, jam się odział cały skorupą twardą, brzydką i ostrą. Czyż tak na zawsze zostanie? Nigdyż mi życie na ziemi nie zakwitnie? Czyż żadne niebieskie tchnienie róż moich nie zbudzi?«

„Obawiasz się może mego ponurego usposobienia? O ty nie widzisz, jak jedno twe spojrzenie, jedno słowo rozprasza wszystkie chmury z mego czoła. A to nie dla tego żeś ty piękną, lecz żeś czystą i dobrą! Nie chcesz-że mnie nauczyć, bym także był dobrym. Od ciebie nauczę się z łatwością kochać ludzi i widzieć w świecie więcéj do-

brego, niż to czyniłem dotąd. Dla ciebie chcę żyć, jeśli nie dla świata, który może o mnie i nie wiedzieć wcale, dopóki krzyż na moim grobie nie powie: „tu spoczywa. . .“

O pięknie to żyć w ukryciu przed zjadliwym wzrokiem tych, których nagana czy pochwała zawsze trucizną zaprawiona! pięknie nie zwracać na siebie ich plamiącéj uwagi! Ale piękniéj jeszcze od jednéj istoty być całkiem poznanym, jednego mieć drogiego i rzetelnego przyjaciela, a do tego małżonkę! Pięknie, w czystéj duszy przeglądać się jak w zwierciedle, tam dostrzegać każdéj plamki własnéj duszy i tak oczyścić się na dzień wielkiéj próby!“

„Ale ja mówię tylko o sobie, o własném szczęściu! Ach egoista, przeklęty egoista! Czyż ty mogłabyś być szczęśliwą ze mną, Ewo? Nie jest-że to zuchwałością i zarozumieniem z mojéj strony żądać . . . Ach Ewo! Ja cię kocham niewypowiedzianie! Składam egoistę w twoje ręce; — zrób z nim co chcesz. On zawsze zostanie

Twoim!

List ten wiele przykrości i niepokoju sprawił Ewie. Tak chętnie byłaby mu zadawalającą dała odpowiedź i tak dobrego człowieka szczęśliwym uczyniła, ale wiele głosów w niéj sprzeciwiało się temu, wołało *nie!*

Mówiła z rodzicami i rodzeństwem.

„On taki dobry, taki poczciwy!“ powtarzała, „ach, gdybym go tylko kochać mogła! Ale nie mogę. A potém, on taki stary, i nie mam wcale chęci iść za mąż; mnie tak dobrze w domu!“

„To go nie opuszczaj!“ była jednogłośna odpowiedź rodziców i rodzeństwa. Ojca martwiło i gniewało to oświadczenie; matka także nie mogła pojąć coby to była za para: jéj kwitnąca Ewa i Jeremiasz Munter. Żaden głos nie mówił za assessorem, wyjąwszy małą Petreę i ciche westchnienie w własném sercu Ewy. Po wielu naradach i dostateczném rozważeniu téj rzeczy, Ewa ze łzami w oczach napisała swemu wielbicielowi następną odpowiedź:

„Mój najlepszy, drogi przyjacielu!

Ach, nie gniewaj się na mnie, ale ja ci być tém, czém chcesz, nie mogę. Zdaje mi się, że nigdy za mąż nie pójdę. Zbyt jestem szczęśliwą w mojém domowém kółku. Ach, to pewno egoizm przezemnie mówi, ale ja inaczéj nie mogę! Przebacz mi! Jam ci serdecznie przychylną i życzliwą i nigdybym się nie pocieszyła, gdybyś miał odtąd mniéj lubić

Twoją Ewcię.“

Wieczór już był, gdy Ewa otrzymała piękną i kosztowną poduszeczkę do szycia przysłaną z te-

mi słowy: „Tak, tak! chropowata skała odstrasza. Panna Ewcia nie chciała ciepłego tchnienia użyczyć moim biednym różom. Niech więc zostaną w grobie. Ja odjeżdżam i nie będę cię widział aż za rok. Ale w zamian za kosz który mi dajesz, przyjmij szkatułeczkę! Kupiłem ją dla mojéj — narzeczonéj Ewy! Teraz niech ją przecież Ewa przyjmie na pamiątkę odemnie. Może mi ją odesłać, gdy być przestanę

Jéj wiernym przyjacielem.

„Czyż ona tego żałuje?“ zapytał niespokojny radca żony, widząc Ewę płaczącą gorącemi łzami nad swą szkatułeczką. „Ale jakżeby to być mogło? Gdzież jéj iść za mąż? I jeszcze za Muntera! Ona dzieckiem prawie. Ale tak to się zawsze dzieje w świecie! gdy rodzice wychowają już dobrze córki i dopiero niémi prawdziwie cieszyć się zaczną, zaraz mają je od siebie oddawać, do Chin wyprawić, jeśli wielbiciel jest Chińczykiem. To nieznośne! Najgorszemu nieprzyjacielowi nie życzyłbym udręczeń, jakie pociągają za sobą dorosłe córki. Wszakże i Szwarc już zaczyna zakreślać swe kręgi wkoło Sary! Mój Boże! Czyż znowu otrzymamy oświadczenie?“

XII.

JESZCZE JEDNO.

Słusznie wyrzekł radca, sam o tém nie wiedząc. Szwarc coraz ciemniejszemi i ciasniejszemi kręgi otaczał Sarę, która chcąc się okazywać wolną od téj przemocy, stawała się coraz niespokojniejszą i drażliwszą. Matka spostrzegłszy ich skłonność ku sobie, nie chciała Sarę zostawić z nim samą w godzinach lekcyi muzyki, a to strzeżenie jéj obraziło pychę Sary, równie jak łagodne napomnienia, na które zasługiwała swém postępowaniem, a które przyjmowała z niecierpliwością i lekceważeniem. Tylko przed okiem radcy powstrzymywała Sara swą porywczość i dumę; jego wzrok, jego obecność wielki wpływ na nią wywierały; wiedziała także, że oprócz Petrei, on w całéj rodzinie najwięcéj ją kochał.

Jednego wieczora siedziała Sara przy oknie w bibliotece, wspierając w milczeniu piękną głowę na ręku. Petrea siedziała na małym stołeczku u jéj nóg, milczała także, ale poglądała często na Sarę niespokojnym i tkliwym wzrokiem. Zamyślona i ponura prawie Sara spojrzała na nią nawzajem.

„Petreo,“ wyrzekła nagle, „cóżbyś na to powiedziała, gdybym ja cię teraz opuściła, poszła w świat szeroki i nie wróciła nigdy?“

„Cobym powiedziała?“ odrzekła wśród łez Petrea, „ach, jabym z żalu za tobą umarła!“

„Czy doprawdy tak mnie kochasz, Petreo?“

„Czy ja ciebie kocham? Ach, Saro! jeżeli ty pójdziesz w świat, to weź mnie z sobą, jako sługę. Ja wszystko dla ciebie zrobię, we wszystkiém ci usłużę.“

„Dobra Petreo! kochaj Sarę, ale za nią nie idź!“ szepnęła Sara, obejmując szyję Petrei i całując jéj zapłakane oczy.

„Dzisiejszy wieczór jakiś nieznośny, wyrzekł Henryk. Nie sposób zgromadzić całe nasze kółko, doprowadzić do trochę muzyki lub rozmowy! Coś jest w powietrzu, jakby się trzęsienie ziemi zbliżało. Zdaje mi się, że Afryka jakąś nam burzę przysyła. Petrea płacze jak Trollhetta. A ta para ludzi znowu tylko razem chodzi, siada w kąciku i całuje się, to wszystko w oczach moich bogobojnych rodziców, a nawet mojéj małéj, nierozsądnéj siostry. Król i królowa siadają bez różnicy, gdzie natrafią na martwe i żyjące rzeczy; o mało na mnie nie usiedli na sofie, ale szybko się zerwałem. Zaręczeni ludzie są okropnie nudni! Nie prawdaż Gabryelo? Nic nie widzą, nic nie słyszą, a zdaje się iż rozmawiać nie mogą, tylko z sobą.“

Późno w noc paliła się świeca w Sary pokoju. Pisała swój dziennik długo, szybko, ale niepewną ręką.

„Jutro więc! jutro się wszystko rozstrzygnie, a ja — będę związana.“

„Wiém, że to nie wiele znaczy, a przecież się lękam. O siło form i przesądów!“

Wiém kogobym kochać mogła!... W jego wzroku jest jakaś czysta siła i potęga, która mnie przenika. Ale jakżeby on na mnie spojrzał, gdyby widział. . . .“ Ujść ztąd muszę! Nie mam wyboru! S. ma mnie w swoich sieciach, — pieniądze, które od niego pożyczyłam, wiążą mnie — od dawna! Bo nie chcę aby oni się o tém dowiedzieli i mną pogardzili. Wiem żeby mnie oswobodzili, choćby im zubożyć przyszło, ale podłą być nie chcę!“

Lecz cóż mówię o oswobodzeniu? Przecież idę— do życia wolności i sławy! Na chwilę tylko ugnę się pod jarzmem, by tém dumniéj się podnieść. Teraz już nie ma czasu drżéć i wahać się; precz z tą łzą! A ty Wolneju, dumny i silny mędrcu, wspieraj mnie! Naucz mnie, jak o własnéj mam stać sile, gdy wszystko się chwieje!“

Sara zmieniła pióro na książkę i biła już północ, gdy odłożywszy ją udała się do spoczynku zimna i spokojna.

Trzęsienie ziemi, o którém Henryk mówił, nastąpiło w istocie nazajutrz; znakiem wybuchu był

list Szwarca do radcy, proszący o rękę Sary. Jego jedynym majątkiem, mówił, jest jego sztuka, ale jest przekonany, że z pomocą tejże nigdy na niczém jego żonie nie braknie. Zamierza teraz wybrać się w podróż po Europie, w któréj pragnie by mu Sara towarzyszyła; jéj zaś przyzwolenia jest pewny, równie jak i miłości. Radca lubił u mężczyzny samodzielność i pewną ufność w własną siłę, ale list Szwarca tchnął tak zarozumiałą pewnością i taką pychą artysty, że aż radcę oburzył. Sposób pełny uroszczeń, w jaki pozwalał sobie mówić o Sarze, którą radca jak swą córkę kochał i uważał, obraził go i dotknął do żywego, za nic zaś w świecie nie chciał ją połączyć z człowiekiem Szwarca charakteru. Był prawie przekonany że go Sara kochać nie może, i płonął z niecierpliwości, by skarcić jego pychę i oddalić go z swego domu.

Eliza podzielała zupełnie uczucia i zdanie męża, ale nie była tak jak on spokojna co do usposobienia Sary. Wezwano ją do rodziców i radca oddał jéj list Szwarca, oczekując niecierpliwie co nań powié.

Sara zbladła w pierwszéj chwili przed bystrym i przenikliwym wzrokiem na nią zwróconym, ale oświadczyła się gotową przyjąć rękę Szwarca. Zdziwienie i gniew wybiły się w twarzy radcy. Po krótkiém milczeniu rzekła matka:

„O Saro! Czy dobrze to rozważyłaś, czy myślisz że może być szczęśliwą żona takiego człowieka jak Szwarc?“

„Ja“, odpowiedziała Sara, „będę z nim szczęśliwą, szczęśliwą podług mego wyobrażenia.“

„Nigdy, nigdy nie zaznasz z nim domowego szczęścia!“

„On mnie kocha i może mi dać szczęście którego tu nie znajduję. Rodziców straciłam wcześnie, a w domu gdzie mnie z miłosierdzia wzięto, coraz bardziéj dla mnie wszyscy obojętnieją.“

„Tak nie jest, Saro! A gdyby i było, nie z twojéjże wtedy pochodziłoby winy? Czyż ty się starasz aby cię kochano, czy przezwyciężasz w sobie to co ci serca oddala?“

„Jeśli nie mogę być kochaną z mojemi błędami, to wyrzec się potrafię miłości drugich. Natura dała mi silne uczucia i skłonności, których nie mogę przezwyciężyć.“

„Nie chcesz, Saro!“

„Nie mogę, i—niech i tak będzie—nie chcę się poddać podległości i jarzmu, które zowią przeznaczeniem kobiety. Czuję w sobie siłę, własną pójść drogą; chcę świeżego, niepodległego życia, życia artysty, swobodnego od wszelkich więzów i tych drobnych, godnych Liliputów, względów i stosunków domowych. Chcę być wolną od tego pilnowania, strzeżenia, śledzenia, tych napomnień

i nagan, które każdemu teraz mojemu krokowi towarzyszą. Takie postępowanie ze mną, matko, przyspieszyło moje dzisiejsze postanowienie.“

Boleśnie przejęta słowami Sary, odpowiedziała matka często przerywanym głosem:

„Jeśli zbłądziłam w postępowaniu względem ciebie, Saro, a mogłam zbłądzić, to pewno nie z braku czułości ani dobréj chęci... Mówiłam i przestrzegałam cię zgodnie z mojém przekonaniem; pragnęłam najserdeczniéj twego dobra i starałam się o nie. Kiedyś sama to uznasz *) — przekonasz się może, że pożyteczniejszą by ci była większa powolność na me macierzyńskie przestrogi i rady;— może żałować będziesz, że wyrzutami i goryczą płacisz mi moją miłość dla ciebie.“

„To dozwól mi odejść!“ rzekła Sara łagodniejszym głosem, — „nam nie dobrze z sobą. Ja ci matko truję życie, a ty nie czynisz — nie możesz mojego uczynić szczęśliwém. Pozwól mi iść z tym który mnie kocha z wszystkiemi mojemi błędami, który moim siłom i zdolnościom otworzyć może obszerniejsze pole, niż je miałam dotychczas.“

„Ach, Saro! czyż pozyskasz na tém polu większe szczęście, niż je dostarczyć może domowe

*) Wszystkie matki tak mówią, tylko nie wszystkie równe mają do tego prawo jak Eliza.

kółko, przywiązanie wiernych przyjaciół, szczęśliwe życie rodzinne....?“

„Powiédz, matko, czyś sama tak bardzo szczęśliwą?“ przerwała Sara z ironicznym uśmiechem, patrząc bystro matce w oczy, „w tém kółku i życiu domowém, które tak wychwalasz, powtarzając co o niém powiedziano od początku świata? Te trudy ustawiczne w których ci życie upływa, te drobiazgowe troski i myśli o codziennych potrzebach, tak przeciwne twojéj naturze— czyż to one są tak miłe, tak uszczęśliwiające? Czy nie musiałaś wyrzec się wielu piękniejszych twoich skłonności, całéj powabniejszéj strony życia, twego upodobania do literatury i muzyki, aby w ukryciu i zapomnieniu snuć aż do śmierci, jak jedwabnik nić pracowitą, z któréj drudzy korzystać tylko mogą? Wolę twoją uginasz ciągle przed inną wolą, każdą najniewinniejszą przyjemność poświęcasz drugim.— Czy przy tém całém zrzeczeniu się siebie jesteś tak szczęśliwą, moja matko?“

Radca zerwał się żywo z miejsca, przeszedł kilka razy po pokoju i stanął wreszcie naprzeciw Sary, słuchając uważnie odpowiedzi żony.

„Tak, Saro, jestem szczęśliwą!“ odrzekła Eliza z rzadką u niéj energią, „jestem szczęśliwą! Jeśli kiedy poniosłam jaką ofiarę, to obficie zostałam za nią nagrodzoną; jeśli są dla mnie chwile niektóre w życiu więcéj nużące lub trudniejsze, to

bez porównania liczniejsze są takie, w których winszuję sobie wszystkiego co pozyskałam. Pozyskałam zaś wiele! Stałam się lepszą przy boku małżonka którego mi Bóg dał, przy moich dzieciach, moich obowiązkach, wśród radości i cierpień, wespół z nim przebytych; tak Saro, nadewszystko za jego pomocą, przez jego miłość, jego wyborne przymioty, ja stałam się lepszą i z dniem każdym czuję się szczęśliwszą. Miłość, Saro, miłość przeistacza ofiarę w roskosz, osładza każde poświęcenie; ja dziękuję Bogu za mój los i pragnę tylko, abym go była godniejszą!“

„Być może“, odrzekła Sara dumnie, „każdy ma swój właściwy zakres. Ale dla orléj natury nie wystarczy ciche szczęście gołębicy!“

„Saro!“ zawołał radca głosem gniewu i upomnienia.

Matka wyszła z pokoju zbyt już bolesnemi przejęta uczuciami, nie mogąc dłużéj mówić i z chustką przy oczach!

„Wstydź się Saro téj zbytniéj pychy!“ rzekł surowo radca, karcącym poglądając na nią wzrokiem.

Zadrżała przed tém spojrzeniem jak raz dawniéj. Obudziło się w niéj wspomnienie z lat dziecinnych; spuściła oczy, mocny rumieniec pokrył jéj lica.

„Zapomniałaś się“, mówił daléj nieco spokojniéj radca, „w dziecinném zarozumieniu pokazałaś jak

daleko ci do cnoty i doskonałości, któréj nie pojmujesz nawet, i z takiém usposobieniem nigdy nie dojdziesz. Zastanowiwszy się spokojnie sama będziesz sobie najmocniéj wyrzucać dzisiejszą scenę z matką i u nóg jéj prosić przebaczenia! Wszystko czego dziś od ciebie żądam, to abyś rozważyła z rozsądkiem twój zamiar. Nie pojmuję jak możesz się tak samą sobie sprzeciwiać? Powstajesz przeciw domowemu życiu, przeciw obowiązkom żony, a upierasz się zawrzéć sama związki małżeńskie, i to z człowiekiem, który je prawdziwemi okowami dla ciebie uczyni!“

„Nigdy nie będzie mnie on niemi wiązał; przyrzekł to, przysiągł najuroczyściéj!“ odpowiedziała Sara. „Nie będę mu podlegać jako żona, lecz wystąpię u jego boku jako artystka w tym pięknym, chlubnym świecie, który on mi otworzy.“

„Ach, urojenie, złudzenie niedorzeczne! Jak możesz być tak nierozsądną i wierzyć w nie? Prawo daje twemu mężowi władzę nad tobą, i on jéj pewno nadużyje, to ci zaręczam, jak znam jego charakter i twój dziś poznałem. Położenia w jakiém jesteś, dla takiego o którém marzysz nie porzuca bezkarnie żadna kobieta. Saro! Ty nie kochasz człowieka z którym chcesz się połączyć;—to niepodobna abyś go kochała! Ni szacunek, ni przywiązanie prawdziwe nie wiąże cię do niego!“

„On mnie kocha!“ odpowiedziała Sara drżącemi

ustami, — „ja podziwiam jego talent artystyczny, jego siłę;—on mi da niepodległość i sławę! To nie moja wina, że los kobiety na ziemi jest teraz tak ograniczony, tak nędzny, że musi przyjmować więzy, by się wyswobodzić.“

„Więc to tylko ma być środkiem? Najświętsze na ziemi środkiem i do czego? Do nędznego polowania za jednodniowém szczęściem, które ty sławą i wolnością zowiesz? Biedna, zwiedziona Saro! Czy tak już się obłąkałaś, tak zeszłaś z drogi prawdy? Czy podobna aby cię tak uwieść mogła nędzna książka słabego i powierzchownego, tylko pełnego uroszczeń pisarza.“ I to mówiąc wyjął radca z kieszeni Wolneja „Ruiny“ i rzucił je na stół. Sara zdziwiła się i zczerwieniała.

„Ah!“ wyrzekła, „otóż znowu próbki tego śledzenia które mnie wciąż otacza!“

„Mylisz się!“ odpowiedział radca spokojnie, „byłem dziś rano w twoim pokoju i obaczywszy tę książkę na stole wziąłem ją, by z tobą o niéj pomówić i niedopuścić, by niedoświadczone oczy Petrei zbłąkały się w niéj bez kierunku.“

„Można o wpływie téj książki sądzić jak kto chce“, rzekła Sara, „ale przecież zdaje mi się, że zarzut „słabości“ wcale się autorowi nie należy.“

„Gdy pójdziesz za jego radami i staniesz się podobną tym rozbitkom rzucanym tu przez fale, wtedy dopiero osądzisz siłę i zdatność sternika. Moje

dziecko! nie słuchaj go! Dojrzalsza, doświadczeńsza rozwaga nauczy cię, jak mało zna on wody życia, jego głębie, skały i prawdziwy kompas.“

„Ha!“ ozwała się Sara, „te burze, te niebezpieczeństwa, nawet rozbicie piękniejszemi mi się zdają, niż ta cicha, niedostępna wiatrom przystań domowego życia. Mówisz ojcze o urojeniach! Ach, powiédzże, czy szczęście domowego życia nie jest więcéj urojeniem niż każde inne. Gdy salon zamietą i posprzątają nie widać śmiecia które go zalegały, nie widać kurzu który go zapełniał, i chętnie zapominamy, że były. Podobnie się dzieje z życiem rodzinném. Wszyscy widzą uparcie tylko piękne jego chwile, a na brzydkie oczy zamykają.“

Na wpół śmiejąc się z porównania Sary odpowiedział radca: „Wszystko od tego zależy jakie chwile w domu przeważają. Jeśli w nim częściéj nieporządek niż porządek, częściéj powietrze kurzem napełnione niż czyste i świeże, to niech tam licho mieszka ale nie ja. Wiem dobrze że jest wiele domów któreby do piekła porównać można, ale temu sami mieszkańcy winni. Od nich to zależy stan domu, który jak piekłem tak i nieba przedsionkiem może być nazwany słusznie, mimo swéj ziemskiéj niedoskonałości i powstającego czasem kurzu. A gdzież na ziemi, Saro, znajdziesz byt wolny od prochu ziemi? To na co się skarżysz, jest tylko łupiną ziemską, okrywającą w przemijają-

cym świecie życie tak mężczyzny jak kobiety; jest to ziemia w któréj roślina rosnąć musi, poczwarka w któréj motyl dojrzewa. Czyż możesz nie widzieć tego wyższego i szlachetniejszego życia, które się nigdzie piękniéj nie rozwija, jak w spokojném, domowém kole? Możesz-że zapoznawać, że w zakresie rodziny i przyjaźni, człowiek najlepiéj i najzupełniéj jako człowiek żyje, t. j. jako obywatel ziemskiego i niebieskiego państwa? Czyż możesz zaprzeczyć wielkości i szlachetności działania kobiecego w życiu prywatném, czy kobieta jest zamężną czy niezamężną skoro tylko szuka — —“

„Ach, ten zakres życia prywatnego jest mi za ciasny; potrzebuję większego bym wolno i swobodnie odetchnąć mogła!“

„W czystéj miłości, w przyjaźni, w wykonywaniu dobrego nie brak wielkiéj i swobodnéj przestrzeni do oddechu — tchnienia wieczności w niéj wieją. Dla duchowego rozwoju—a najwyższy można w życiu domowém uzyskać — świat cały stoi otworem oku człowieka i ofiaruje nieskończone bogactwa jego duszy, — więcéj, o wiele więcéj niż on przywłaszczyć sobie może!“

„Ależ artysta? Artyście nie dobrze w domu. On musi sił swych próbować na widowni świata. Jego wewnętrzna ku temu żądza jestże urojeniem, mój ojcze? A te odznaczające się istoty których talenta

świat cały roskoszą poją, na które tłumy patrzą z uwielbieniem i czcią, w około których zgromadza się wszystko wielkie, piękne i powabne, — sąż to szaleńcy, goniący na oślep za złudném szczęścia widziadłem? O, mój ojcze! Jam młodą; czuję w sobie niezwykłe siły; serce moje bije ku wolniejszemu, piękniejszemu życiu! Nie żądaj abym przełamywała moją naturę, nie żądaj abym piękniejsze me siły zgniotła w zakresie, nie mającym dla mnie żadnego powabu!“

„Nie myślę wcale znieważać powołania artysty,“ rzekł radca, „nie zaprzeczam wartości jego działaniu, które być może równie szlachetne i zbawienne w skutkach, jak każde inne; ale czyż ciebie wabi i zapala ta czysta artystyczna żądza, to szlachetne powołanie sztuki? Saro—spojrzyj w twe serce! Tobą porusza tylko próżność, samolubna próżność i zarozumiałość z twoich lat ośmnastu i niektórych szczęśliwych darów przez Opatrzność ci udzielonych; przez nie to zapoznajesz pomyślność twego obecnego położenia, pogardzasz niém, nie chcesz wyrobić się, dojrzéć w domowém kole. Jest to ciężkie obłąkanie, które cię wiedzie do postępku nagannego przed Bogiem i ludźmi, i zasłania ci ciemną stronę położenia przez cię upragnionego. A przecież w żadnym innym nie jest ciemniejszą ta odwrotna strona każdego ziemskiego bytu, w żadnym innym niestałość szczęścia nie jest tak rażą-

cą i zawisłą od drobnych, przypadkowych okoliczności. Przypadek może ci wydrzéć twój głos, twoją piękność, a z niemi zarazem łaskę świata, na któréj twe szczęście opierasz. Zresztą, nie zawsze Saro mieć będziesz lat ośmnaście! W trzydziestu latach przejdzie już twa świetna epoka, a potém, cóż zebrałaś na drugą połowę życia? Czas krótki opływałaś, by potém głód cierpiéć. Bo jak prawda że tu stoję, tak ty się zgubisz przez twoją próżność i zarozumiałość i przy mężu którego obierasz, i za późno dopiero kiedyś w nędzy z żalem zapłaczesz za życiem cnoty i prawdy, którém dziś pogardzasz!“

Sara milczała, wzruszona mocno słowy ojca.

„A mogłoby być inaczéj!“ mówił daléj radca z czułością. „Pięknie i błogo mogłyby się rozwinąć twe talenta i życie przed tobą! Saro! Jam cię kochał i kocham jak moją własną córkę; nie chcesz że mnie jak ojca posłuchać? Odpowiédz mi! Czy brakło ci kiedy na czém w tym domu czegobyś słusznie żądać mogła? Czy zaniedbaliśmy jakiegokolwiek możliwego nam starania o twoje wychowanie, twoje wykształcenie?“

„Nie!“ odpowiedziała Sara, „byliście dobrzy, bardzo dobrzy dla mnie.“

„Jeśli tak!“ zawołał radca z coraz większém rozczuleniem i serdecznością, „to spuść się na matkę i na mnie, że i nadal nie będziesz miała powo-

du użalać się. Nie jestem bez majątku i znajomości; nie będę szczędzić środków, by twe talenta wykształcać, i jeśli okaże się w tobie rzeczywiste artystyczne powołanie, to i dary jakie posiadasz— gdy się rozwiną należycie — nie zostaną ukryte światu, mogącemu ich używać i ocenić je. Ale zostań pod moją opieką. Nie rzucaj się niedojrzała w świat, tak łatwo obłąkujący! Dla pozyskania pozornéj wolności nie oddawaj ręki człowiekowi niżéj od ciebie stojącemu co do ukształcenia, człowiekowi, którego nie kochasz i w moralnym względzie szacować nie możesz. Wejdź w własne serce, obacz jego zbłąkanie póki czas,— nim zginiesz własnym nierozsądkiem. Nie uciekaj od kochających, troskliwych przyjaciół, nie uciekaj z rodzicielskiego domu, zniecierpliwiona niesłusznie drobnemi nieprzyjemnościami, których usunięcie może od ciebie tylko zależy. Dziecię moje, nie po to wziąłem cię w mój dom, aby cię teraz wydać nieszczęściu i zepsuciu. Poczekaj, zastanów się! Saro, proszę, zaklinam cię, nie czyń się dobrowolnie nieszczęśliwą! Kiedym cię wziął od łoża śmierci twego ojca, objąłem cię rękami, aby cię przed wiatrem jesiennym osłonić—raz jeszcze cię obejmuję, byś na mojéj piersi uszła niebezpiecznych burz. Saro, dziecię moje, nie uciekaj z tego domu!....“

Sara drżała; była mocno wzruszoną; z niewy-

powiedzianém uczuciem przytuliła głowę do jego piersi. Trudno wyrzec czy złe, czy dobre duchy odniosły zwycięztwo w sercu Sary, gdy po chwili gwałtownéj wewnętrznéj walki wyrwała się z ojcowskiego objęcia i odwracając twarz wyrzekła:

„Wszystko napróżno! Moje postanowienie nieodmienne, będę żoną Szwarca i pójdę gdzie mnie przeznaczenie wzywa.“

Radca zerwał się, nogą o ziemię uderzył i pobladł z gniewu. „Uparta dziewczyno!“ zawołał z gorejącym wzrokiem, „gdy miłość i prośby nie mają nad tobą mocy, to inaczéj przemówię do ciebie. Mam nad tobą prawo opiekuna i nie pozwolę na to nieszczęsne małżeństwo, nie pozwolę ci tego domu opuścić! Musisz mi być posłuszną!“

Sara powstała. Blada lecz nieprzełamana podniosła na niego swe wielkie oczy, on swoje w niéj utopił z całą siłą woli i powagi. Zdawali się oboje chcieć przejrzéć nawzajem i zmierzyć moc woli w téj niemej walce. Nagle z dziką prawie gwałtownością Sara zarzuciła ręce na szyję ojca, gorący pocałunek złożyła na jego ustach, i w tejże chwili znikła z pokoju.

Eliza siedziała w swoim pokoju. Płakała jeszcze—gorzkiemi łzami. Ściemniało się już. Nagle uczuła że ktoś objął jéj nogi, a ręce i suknie całuje i łzami oblewa. Ale gdy chciała rękami objąć klęczącą, już jéj nie było.

„Saro! Saro! gdzież jesteś?“ zawołała matka lękliwie.

Petrea wychodziła właśnie ze swego pokoju, gdy ktoś wybiegł ze drzwi z przeciwka, uściskał ją, pocałował w czoło i szepnął: „Zapomnij mnie!“ — „Saro, Saro, gdzież ty idziesz?“ zawołała Petrea przestraszona, i pobiegła za nią aż do bramy.

„Gdzie Sara?“ zapytał niespokojnie radca na górze w pokoju córek. „Gdzie Sara?“ pytał na dole w bibliotece.

„Ach!“ zawołała Petrea, wpadając łzami zalana, „wyszła właśnie na ulicę,... biegła prawie;... wzbroniła mi iść za sobą; ach! pewno już nigdy nie powróci!“

„Tam do licha!“ rzekł radca; porwał za kapelusz i wybiegł. Na ulicy obaczył postać niewieścią, która biegła w lekkiéj tylko chustce na głowie i z odkrytemi ramionami; pomimo zmroku zdawało mu się że Sarę poznaje. Pospieszył za nią. Obejrzała się—i biegła prędzéj. Pewny teraz że to ona, gonił ją radca i już miał się z nią złączyć, gdy nagle zwróciła się w bok i do kamienicy wpadła. Tu mieszkał Szwarc. Z szybkością błyskawicy spieszył za nią radca i o mało nie schwytał, gdy w drzwiach znikła. Gdy w tejże chwili drzwi te otworzyły się pod ręką radcy obaczył Sarę—Sarę w objęciach Szwarca. Stali oboje, widocznie gotowi do oporu. Radca stał chwilę przed

niemi w milczeniu, patrząc na nich wzrokiem żalu, gniewu i pogardy. Zdawał się uzbrajać w moc nad sobą. Zrazu spoglądając na bladą, zadyszaną Sarę, oczy ręką przysłonił. Potém z spokojną i cześć nakazującą powagą ojca wziął Sarę za rękę i rzekł: „Teraz pójdziesz ze mną do domu. W niedzielę będzie twa zapowiedź!“ Sara poszła z nim; z spuszczoną głową zwieszała się u jego ramienia. Słowa nie wyrzekłszy przybyli do domu.

W domu powstał niepokój i troska. Ale pomimo ogólnego niezadowolenia z Sary i jéj małżeństwa, każdy przecież w rodzinie, w swoim zakresie zajął się troskliwie jéj wyprawą. Ludwika która ją najwięcéj ganiła, najwięcéj jednak z wszystkich zadawała sobie pracy.

Sara zaś zdawało się, że nie spostrzega wcale jak dla niéj pracują i cały czas spędzała z harfą lub samotnie w swoim pokoju. Obcowanie z rodziną widocznie ją teraz dręczyło. Czułość Petrei, jéj łzy i użalenia zbywała oziębłością.

XIII.

POŻEGNANIE.

Odbył się smutny ślub Sary i nadeszła godzina w któréj opuścić miała rodzinę i dom, gdzie ją

z miłością przyjęto i gdzie jeszcze teraz z najtkliwszą troskliwością starano się zapobiedz jéj potrzebom w nowém położeniu, w jakie wstępowała. W chwili pożegnania pękła lodowa powłoka Sary; rzewnie łkając upadła do nóg przybranych rodziców. Wzruszony mocno radca podniósł ją z powagą.

„Stało się jak chciałaś, Saro!“ rzekł pewnym ale smutnym głosem. „Obyś była szczęśliwą! Jedyne napomnienie weź odemnie—nie zapomnij go, to ostatnie. Jeśli obecne twoje nadzieje zawiodą cię, jeśli będziesz nieszczęśliwą—nieszczęśliwą lub *występną*, to pamiętaj.... pamiętaj Saro, że masz tu ojca, matkę i rodzeństwo zawsze z otwartemi dla ciebie rękami; pamiętaj że masz dom i rodzinę!“

Umilkł, odprowadził ją kilka kroków na stronę i banknot wcisnął jéj w rękę. „Weź to“, wyrzekł tkliwie, „jako małą pomoc na chwilę potrzeby! Nie! Ojcu twemu nie powinnaś tego odmówić. Weź to dla mojéj miłości, kiedyś ci się przyda!“

Z trudnością dotąd powstrzymywał się radca; teraz przycisnął Sarę do piersi, pocałował w czoło i rozpłakał się. Z płaczem otoczyli ją matka i rodzeństwo. W tém drzwi się otworzyły i wszedł Szwarc.

„Powóz czeka“ rzekł poglądając ponuro na zasmuconych. Sara wyrwała się z kochających objęć

i wypadła z pokoju. W kilka sekund potem usłyszano turkot powozu.

„Ona już stracona!“ rzekł radca z boleścią do żony, „czuję że stracona na zawsze. Jéj śmierć możeby mnie bolała mniéj niż to małżeństwo. Przez dni kilka pozostał smutny i milczący.

XIV.

DROBNE WYPADKI.

Jakby burza wstrząsnęły domem dopiero opowiedziane zdarzenia. Ale gdy już przeminęły rozjaśniło się znowu niebo, i prawie swobodniéj było niż przed tém. Każdy myślał ze współczuciem o Sarze, opłakiwał czasem jéj gwałtowne rozstanie się z domem, ale wyjąwszy radcę i Petreę, każdy z jéj oddaleniem uczuł jakby tajemną jakąś ulgę. Jak przykrym jest w domu umysł niespokojny i pełen uroszczeń, tak udaremnić może najpiękiejsze dary natury. Radcy brakowało jednéj z córek w ukochaném kółku, brakowało mu pięknéj, utalentowanéj dziewicy, a myśl o jéj przyszłości nabawiała go gorzkim niepokojem. Petrea opłakiwała przedmiot swego uwielbienia i czci młodzieńczéj, lecz pocieszała się tworząc w myśli plany złączenia

się z nią znowu, w jakiś sposób romantyczny, przy czém Petrea odgrywała rolę anioła stróża Sary, albo jako królowa na pustéj wyspie, lub jako wojownik za nią krew przelewający, albo jak osoba przebrana, zrzucająca z niéj okowy w więzieniu, a nakładająca je sobie; słowem, na wszelkie sposoby w świecie, tylko nie na żaden prawdopodobny.

Sara napisała do domu wkrótce po odjeździe. Wspominała z wdzięcznością o przeszłości, z nadzieją o przyszłości; w liście jéj wyrażała się pewna siła i pokój, które ukoiły nieco boleśną o nią trwogę całéj rodziny. Eliza skłonną zawsze była dobrego się spodziewać i dobrze mniemać o ludziach, a młodzi są to zwykle optymyści. Radca nic nie mówił, coby mogło mięszać nadzieje jego rodziny. Ludwika tylko wzdychając wstrząsała głową.

Po tylu rozmaitych roztargnieniach, rodzina pragnęła teraz przedewszystkiém cichości domowego życia. Zatrudnienia codzienne pod przewodnictwem Ludwiki szły miło i porządnie. Chwil wesołych i jasnych, zabawy zajmującéj nie brakło w domu. Radca trzymał gazety, które nie tylko uwiadomiały rodzinę o tém co się w świecie dzieje, ale dostarczały przedmiotu rozmaitym pomysłom, wnioskom, zdaniom i rozprawom, zwłaszcza pomiędzy młodymi. Radca lubił się przysłuchiwać jak rozprawiali, ale rzadko kiedy jakiémś słów-

kiem, sprowadzającym na dobrą drogę, wmięszał się do rozmowy.

„Zdaje mi się, że nam dobrze idzie!“ rzekł raz radca wesół do żony, „dzieci nasze pełne życia w domu, i na świecie kiedyś żyć potrafią. Byle się obejrzały wkoło, a znajdą dosyć żywiołów dla siebie, potrafią być użytecznemi nie w jednym względzie i zawodzie i zdumieją się nad bogactwem życia. Dobrze to jest, już z domu wynosić pożywienie dla umysłu, równie jak dla serca i ciała. Cieszę się bardzo naszym nowym domem. Każdy kraj, każdy klimat ma właściwe sobie zalety, równie jak i przykrości, i do nich stosować należy urządzenie życia. Nasz kraj zmusza nas byśmy wiele w domu pozostawali, pobudza tém do życia więcéj wewnętrznego, ale też potrzeba nam domów miłych sercu, gdzieby i duszy i ciału dobrze było. Dzięki Bogu! zdaje mi się, że nam wygodnie i miło i coraz miléj będzie. Dzieci widocznie są szczęśliwe! Gabryela codzień rozkoszniejsza, a Ludwika nas wszystkich przerasta!“

Plany na przyszłość zajmowały bardzo młodzież, Ewa i Eleonora budowały razem swe zamki na lodzie. Obie te siostry łączyła serdeczność wielka, od czasu bytności w Axelholmie. Owego wieczora, gdy obie siostry ucztowały przy winogronach i czytaniu powieści, rozkwitła w ich sercach tkliwa przyjaźń, któréj zaród dawno w nich spoczywał.

Ich zresztą marzenia nie były to zwykłe zamki na lodzie, miały one za podstawę myśl prozaiczną lecz piękną, pozyskania w przyszłości niezależnego sposobu do życia — bo wcześnie ku temu skierowali rodzice myśli córek — ztąd też piękne zamierzano wznosić zakłady, częścią przyjaźni, częścią ludzkości poświęcone; bo młode dziewczęta są zwykle pełne miłości bliźniego.

Jakobi także budował rozlicznie przyszłość swoją i żony, a Ludwika upatrywała środki ku urzeczywistnieniu jego zamiarów. Tym czasem procesowali się ustawicznie o pocałunki. Ludwika chciała wydać prawo wzbraniające je w większéj liczbie nad trzy dziennie, czemu Jakobi sprzeciwiał się zawsze słowem i czynem, i wypędzał tém z pokoju zmięszaną i oburzoną Gabryelkę.

Petrea czytywała z nią po angielsku, układała dla niéj i dla rodziny niespodzianki i przyjemności, każdego wieczora płakała za Sarą, a każdego rana dumała nad układem świata, podczas gdy dobrzy rodzice nad jéj własnym zawsze troskliwie czuwali.

Nikt tak nie używał swobody teraźniejszego położenia rodziny jak Henryk. Pomagał on usilnie siostrom do wszelkich wesołych rozrywek i dostarczał im ich, a przy tém oddawał się gorliwie i wyłącznie ulubionym sobie naukom: historyi i filozofii; często całe dnie z książką błąkał się po okoli-

cy, ale zawsze o siódméj godzinie wieczór powracał do rodzinnego kółka, i był najweselszym między wesołemi.

„My teraz jesteśmy bardzo szczęśliwi,“ rzekł jednego wieczora do matki, w poufnéj z nią rozmowie, „ja przynajmniéj nigdy tak życia nie używałem. Czuję teraz że mi nauki dobrze pójdą i kiedyś będzie coś ze mnie. Gdy zaś cały dzień, nie bez korzyści przepracuję, a wieczór przyjdę do méj matki drogiéj i do siostr i wszystko widzę tu takie miłe, jasne i wesołe — wtenczas słodkiém mi życie, czuję się szczęśliwym i chciałbym prawie aby tak zawsze zostało!“

„Ach, odpowiedziała matka, gdyby to można zawsze cię miéć w domu, mój Henryku! lecz wiém że inaczéj być musi. Wkrótce nas opuścisz; gdy zaś się całkiem wyrobisz, to będziesz miał własny dom. . .“

„Wtedy, mamo, ty będziesz przy mnie mieszkać.“

Na tém zwykle kończyły się pełne miłości rozmowy między matką i synem.

Drobne poezye które Henryk w tym czasie ułożył, a które zdawały się zapowiadać znakomity wieszczy talent, cieszyły matkę i siostry i zadziwiały znajomych i przyjaciół. Tylko radca niechętnie je słuchał.

„Psujecie go,“ rzekł raz do żony i córek, „wbijając go w zarozumienie, gdy jeszcze niczém jest. Mnie, wyznaję, jego poezye wcale nie cieszą. Mężczyzna powinien działać pożytecznie, nie wzdychać i śpiewać o tém i przyszłém życiu. Gdyby jeszcze miał się stać Thoryldem lub innym z naszych wielkich wieszczów! . . . . ale tego nie widzę i śladu. To zaś fantazyowanie, literackie próżniactwo, które młodych ludzi unosi nad chmury i pod ziemię, tak, że wśród mgły i prochu nie widzą wspaniałych, poczciwych darów życia, licha warte! Smucę się teraźniejszym kierunkiem Henryka. Ja się tak cieszyłem, że on będzie górnikiem, że on się przyczyni do wydobywania tych bogactw Szwecyi, jakie zawierają jéj góry, lasy i wody. Do tego dzieła warto głowy przyłożyć. A on tymczasem duma i marzy, siedzi z piórem w ręku i końcówek zgodnych szuka! To mnie boléć musi. Chciałbym aby Sternhek prędko tu przybył. To tęgi młodzieniec, z którego będzie pożytek. Gdyby przyjechał, toby może odwrócił Henryka od tego robienia wierszy, które w gruncie jest tylko próżnością.“

Eliza i córki milczały, bo zawsze tak czyniły gdy radca się gniewał. Taka była zasada matki, która często — jeśli tego była potrzeba — w chwili spokojnéj wracała do przedmiotu gniewu, łagodnie się rozmówiła i najczęściéj męża przekonała. Tak i tego wieczora rzekła do niego:

„Erneście! Bardzo mi to przykro, żeś taki nierad poetycznemu kierunkowi Henryka. Ja się nim cieszyłam, wierząc jego prawdzie i przekonana, że i tu można być równie użytecznym jak i w innym zawodzie. Ale nigdy nie będę zachęcać Henryka do rzeczy tobie niemiłéj.“

„Moja Elizo droga!“ odpowiedział radca łagodnie, „postępuj sobie w tém według własnego przekonania i sumienia. Być może że ty, a nie ja, masz słuszność w tym względzie. Jedyna rzecz o którą cię proszę jest, abyś czuwała nad sobą i uwiedziona miłością dla swego pierworodnego, nie uważała tego co mierném jest za doskonałe, a drobnych próbek za arcydzieła. Niech Henryk będzie jeśli ma po temu uzdolnienie, znakomitym poetą lub literatem, tylko niech nie mniema, że już dziś nim jest; niech nie mniema że w jakimkolwiek zawodzie można się stać zasłużonym bez gruntownéj i silnéj nad sobą pracy i poprzedniego wykształcenia się duchowego. Jeśli syn mój wyrobi się na myślącego, wyższego człowieka, to przyrzekam ci, że będę się nim cieszył, jakiekolwiek będzie jego powołanie, górnictwo czy poezya. Ale teraz strzedz się trzeba, by nie cenić za wysoko tych pierwszych poetycznych kwiatków. Jeśli z nich dziś będzie próżnym, to wyższéj wartości i zasługi nie dojdzie.“

„Erneście, w tém masz słuszność!“ rzekła Eliza z serdeczném przeświadczeniem.

Henryk tęsknił także za przybyciem Sternheka. Chciał mu swe prace pokazać, pragnął sprobować na nim swych nowych wiadomości historycznych i filozoficznych, jedném słowem, tęsknił za jego szacunkiem; bo łagodna i ognista dusza Henryka czuła zawsze pociąg do silnéj, metalicznéj natury drugich, i już od lat dziecinnych szacunek Sternheka i jego przyjaźń były celem dążeń i gorących lecz dotąd niespełnionych życzeń Henryka. Sternhek okazywał się dotąd dla Henryka uprzejmym ale obojętnym i nigdy go nie uważał za towarzysza i przyjaciela.

Sternhek przybył. Cała rodzina Franków rada mu była niezmiernie, ale nikt nie powitał go z tak bijącém sercem jak Henryk.

Nawet powierzchowność obojga młodzieńców była bardzo różna. Henryk był prawie niewieściéj piękności, jego postać szlachetna, ale wątła, wzrok ognisty i marzący. Sternhek, o lat parę starszy od Henryka, był już mężem silnéj budowy ciała. Jego twarz była niepiękna, ale wyrazista, a w jasnym pewnym wzroku błyszczała gwiazda, jaką los często, w wieszczy sposób, daje oku tego, którego życiu przyświecają szczęśliwe gwiazdy.

W kilka dni po przybyciu Sternheka zmienił się Henryk znacznie. Był milczący i jakby smutkiem przygnębiony. Sternhek był teraz jak zawsze uprzejmy dla Henryka, ale zdawał się mało nań zważać. Zajmował się ustawicznie to robienien chemicznych experymentów przy paniach i Jakobim, to wieczorami pokazywał im przez doskonałe teleskopy zjawiska nieba gwiazdzistego. Jedno z ciał niebieskich, na które młody astronom lubił zwracać badawcze oko, zwano potém w rodzinie „gwiazdą Sternheka." Wszyscy zgromadzili się w około uczonego i zajmującego młodzieńca. Radca szczególniéj polubił jego rozmowę, i nieraz wyrażał przed swoimi radość, jaką mu Sternhek sprawiał i nadzieję pożytku, jaki z niego kraj miéć będzie. Tém szczególniéj podobał się młody górnik radcy, że do niezwykłych wiadomości łączył rzadką skromność i uszanowanie względem osób starszych i doświadczeńszych.

„Widzisz, Henryku," rzekł radca dnia jednego, po rozmowie z Sternhekem, „to jabym nazwał poezyą, rzeczywistą poezyą: wodom nakładać okowy, zmuszać naturę by wygodzie i bogactwu ludzi służyła, podczas gdy na brzegach tych wód wznoszą się lasy, rozciągają żyzne pola i wesołe głosy ożywiają okolice! Powiedz, czy to nie pięknie tak tworzyć?"

Henryk milczał. Ale „mała panienka" powiedziała dowcipnie:

„A w tych pomieszkaniach — jakże będą cieszyć się ludzie, gdy będą mogli czasem piękną piosnkę zaśpiewać lub przeczytać zajmującą książkę! Bo inaczéj, mimo wód pożytecznych, suche byłoby ich życie."

Radca uśmiechnął się, pocałował dziewczynkę, a łzy zachwycenia nad nią stanęły mu w oczach.

Henryk tymczasem wyszedł do drugiego pokoju i usiadł przy oknie. Matka poszła za nim.

„Co to mojemu Henrykowi?" zapytała tkliwie, biorąc rękę, którą oczy zasłaniał. Pełne łez były. „Moje dobre, drogie dziécię!" zawołała, obejmując go rękami i już płacząc sama.

„Widzisz!" mówiła matka, „nie zważaj na to, że ojciec czasem trohę jednostronnie się wyrazi. Wiesz przecie ile on dobry i sprawiedliwy, i że skoro się przekona o prawdziwości twego powołania, będzie zeń zadowolony. Teraz obawia się, abyś nie pozostał przy mierności, lecz gdy mu na swéj drodze zaszczyt przyniesiesz, serdecznie cieszyć się będzie!"

„Ach," rzekł Henryk, „gdybym ja sam mógł być przeświadczonym o rzeczywistości mego powołania i drogi przedemną, którą iść pragnę! Ale odkąd Sternhek tu przybył i ja mówiłem z nim,

wszystko się zmieniło we mnie, jak wkoło mnie. Sam już siebie nie rozumiem. Sternhek przywiódł mnie do poznania jak mało wiém z tego, co myślałem, że umiem, jak lichą moja wszystka robota. Widzę to teraz jasno i cierpię. Jakaż siła w Sternheku! Chciałbym mu być podobnym. Lecz to być nie może; przy nim czuję się tak małym. Jednakże . . . kiedy sam jestem wśród książek albo natury, wśród szumu wiatru, drzew i wody, a niebo nademną, wtedy powstają we mnie myśli i obrazy, przejmują serce uczucia błogie, nieokreślone; wtedy brzmią we mnie dźwięki i słowa, które mi niezmierzoną sprawiają rozkosz; wszystko dobre i wielkie co ludzkość posiada jest mi obecne; przeczuwam harmonię, Boga we wszystkiém, i jakby mimowolnie cisną mi się słowa do ust, aby śpiewać piękność, którą widzę. Wtakich chwilach czuję w sobie coś wyższego i zdaje mi się, że mój śpiew we wszystkich sercach odgłos znajdzie. Skoro ujrzę Sternheka, wszystko znikło; czuję się małym i nędznym, i mógłbym się sam miéć za marzyciela i szaleńca.“

„Ty nie znasz siebie, moje dziecię!“ rzekła matka. „Twoje i Sternheka zdolności są zupełnie różne; ale gdy ty i on każdy swój talent równie gorliwie uprawiać będziecie, to nie mniejsze zbierzecie owoce. Przyznam ci się, Henryku, że to było i jest jedném z najżywszych moich życzeń, aby jedno z moich dzieci odznaczyło się na polu literatury. Jam w niéj czerpała wiele rozkoszy, w młodszych latach nie byłam nawet bez zdolności bliższego nią zajęcia się. W twoich darach rozkwitły moje w bogatszéj mierze, i jam w nich odżyła, w moim Henryku, w nadziejach w tobie położonych. Ach, jeśli doczekam dnia, w którym ujrzę cześć twą w kraju, ojca chlubnego swoim synem, gdy będę mogła rozgrzać i napoić serce owocami twego ducha; o! wtenczas rada umrę.“

Ogień zapału zabłysł w oczach i na licu Henryka, gdy zawołał, ściskając matkę:

„Nie, żyć będziesz, matko, żyć, aby ci syn twój cześć przynosił. Przyrzekam ci, że miéć będziesz ze mnie pociechę!“

Promień słońca wcisnął się właśnie do pokoju i blask złoty rzucił na jasne włosy Henryka. Matka spostrzegła, wzięła w cichości za przepowiednią i błogi uśmiech twarz jéj rozjaśnił.

Petrea czytała „*Pierścień czarodziejski.*“ Miała go właściwie głośno czytać wieczór w kółku rodzinném, coby było zmniejszyło znacznie jego czar niebezpieczny; ale Petrea przeczytała go pierwéj tajemnie w nocy i wciągnął ją w swe zaczarowane koło. O niczém nie myślała i nie marzyła, tylko o dziwnych przygodach, cudnéj piękności paniach i

bohaterskich rycerzach. Zawsze była sama jedną z nich, uwielbioną lub uwielbiającą, to walczącą z krucyfixem przeciw czarownicom i smokom, to przechodzącą się przy tkliwém świetle wieczorném między liliami, w grodzie pani Minnetrost. Zdawało się jak gdyby chaotyczne zamięszanie duszy Petrei, tu wzięło postać i życie, i z podwójną siłą uchwycił ją teraz świat fantazyi, który niegdyś pod postacią bożka leśnego upoił ją i zabłąkał. Podobnie stało się i teraz: bo podczas gdy Petrea w dzień i w nocy żyła w świecie marzeń i rozkoszowała w nim do uniesienia w scenach wspaniałych i dziwnych, w których zawsze znakomitą miała rolę, w rzeczywistém życiu grała najbiedniejszą. Głowa w któréj przebywały wielkie myśli i wspaniałe obrazy, była zawsze najgorzéj uczesana; Petrea nie widziała dziur i plam na swoich sukniach, nie zważała na podarte pończochy, przydeptane trzewiki, zapominała o codziennych zatrudnieniach i obowiązkach, i co jéj w ręce wpadło gubiła lub upuszczała. Przy tém polubiła niezmiernie jeść migdały w łupinach, („raptus“ jak mówiła Ludwika, „równie kosztowny jak hałaśliwy,“) który najsilniejszym był wtedy właśnie, gdy ją rozmarzył. „Czarodziejski pierścień;“ ciągły „krak, krak“ dający się słyszéć, gdzie tylko była Petrea i łupiny z migdałów, na które ustawicznie drudzy musieli następywać, lub znajdować je na oknie pod

łokciem, wcale nie były przyjemne. Gdy zaś Petrea za takie rzeczy odbierała napomnienia i nagany, spadła jakby z chmur albo z nieba na ziemię, która wtenczas bardzo smutną jéj się wydawała i byłaby chętnie dziesięcią laty swego życia zakupiła jeden rok „pierścienia czarodziejskiego“ z którym zarazem posiadałaby piękność, potęgę i to wszystko na czém jéj właśnie zbywało — oprócz w marzeniach. Życie Petrei było ciągłą sprzecznością świata idealnego z rzeczywistym, z których żadnego nie znała prawdziwie i dopiero kiedyś się w jéj duszy pogodzić miały. Strumienie łez płynęły tymczasem w rozdzierającą je przepaść, podczas gdy to siebie, to okoliczności oskarżała o to, co cierpiała.

Wówczas właśnie, częścią na prośbę rodziców częścią z własnéj dobréj dobréj woli, Jakobi zaczął Petrei udzielać poważniejszych nauk, któreby natężając i kształcąc myśl, uspakajały napływ uczucia i wyobraźni. Było to dla Petrei bardzo dobroczynne, ale nieszczęście nauczyciel zanadto jéj.. Ale nie zdradzajmy tajemnicy lat następnych.

Jednego dnia otrzymał radca list ze Sztokholmu, który w milczeniu żonie podał. Był on od wyższéj władzy, zawierał zaszczytną i pochlebną pochwałę zasług radcy Franka, które nie ucho-

dziły wcale uwagi rządu, a zarazem wezwanie, by wstąpił do najwyższéj rady królewskiéj.

Eliza przeczytawszy spojrzała badawczo na męża, który stał i patrzał na nią.

„Cóż myślisz, Erneście?“ zapytała z niespokojnym wzrokiem.

Radca zaczął chodzić wielkim krokiem po pokoju, jak to miał zwyczaj, gdy był mocno wzruszony.

„Nie jest mi to obojętne,“ wyrzekł, „rad jestem z tego dowodu zaufania mego króla. Mogąc się go spodziewać, myślałem nieraz jakbym postąpił w tym razie: czuję i widzę żem nie powinien opuszczać mego dotychczasowego zakresu działania. Jam tu użyteczny i zaufanie starosty dozwala mi działać zgodnie z przekonaniem i zdolnościami. Jeśli to dobre, które mojém staraniem przyjdzie do skutku w prowincyi téj, jemu będzie przypisane, — mniejsza o to, w imię Boże! Bylem tylko wiedział, że dobre się robi. Ale wiele jest zaczętego, co dokończoném być musi — wiele, niezmiernie wiele do zrobienia! Nie mogę i nie chcę porzucić wpółzaczętego dzieła, bo co nieskończone, to nic nie warte. Ależ, ja mówię tylko o sobie! Powiedz Elizo, czego ty sobie życzysz?“

„Zostańmy tutaj,“ odrzekła Eliza i podała rękę mężowi, który obok niéj usiadł. „Wiem, Erneście, że ty nie pragniesz wyższéj godności, większych

dochodów i niechętnie opuszczałbyś dla nich zakres, gdzie się prawdziwie użytecznym czujesz, i gdzie cię otaczają ludzie, którzy cię szanują i kochają! Zostańmy tutaj.“

„Ale ty, ty Elizo, mów o sobie, nie o mnie.“

„Tak ty,“ odrzuciła z uśmiechem szczęśliwego serca, „to nie łatwo, bo ty i ja zupełnie się powikłało. Ale i o sobie powiem: dziś rano patrzyłam w zwierciadło — wymawiam sobie satyryczne miny, mój drogi — i zdawało mi się, że wyglądam zdrowsza i silniejsza. Myślałam o tobie, któryś tak dobry i zacny, o tém, jak się wzmocniłam w wędrówce przy twoim boku na duszy i na ciele, jak cię coraz więcéj muszę kochać i coraz czuć się szczęśliwszą.

Myślałam o twojém działaniu zbawiennem dla ogólnego dobra i dla ojczyzny, o dzieciach zdrowych i poczciwych, które się tak szczęśliwie rozwijają pod naszémi rękami; o nowym domu, któryś tak wygodnie i miło urządził. Nadeszło słońce i oświeciło mój mały, śliczny pokoiczek i czułam się szczęśliwą; dziękowałam Bogu za ciebie i za siebie. Zostańmy tutaj, mój drogi! Mnie tak dobrze w tym domu, w tém kółku, tu pragnę żyć i umierać.“

„Bóg niech cię błogosławi za te słowa, Elizo moja!“ zawołał radca ucieszony. „Ale nasze postanowienie ma wpływ na przyszłość dzieci i ich więc

musimy wysłuchać, im tę rzecz przedłożyć. Nie lękam się, aby dowiedziawszy się o naszych powodach, byli innego zdania, ale zawsze i ich życzeń należy się w téj mierze poradzić. Chodź Elizo, nie będę spokojnym, dopóki się nie rozmówimy z niemi i nie roztrzygniemy stanowczo téj rzeczy.

Gdy radca przełożył treść listu w radzie familijnéj, powstało zdziwienie wielkie, ogólna cisza i powabne obrazy— nie najwyższego sądu, ale miejsca jego pobytu, stolicy, przesunęły się po przed oczy młodych ludzi; Ludwika wyglądała uroczyście, jak rzeczywisty sędzia najwyższy. Lecz gdy usłyszały dzieci jakie są życzenia i powody do nich rodziców i z jaką przy tém względnością i zaufaniem odnoszą się do ich zdania, wszystkie serca przejęło rozczulenie, wdzięczność i ochocze, szczere zgadzanie się z wolą rodziców; nikt jednak nie śmiał pierwszy zabrać głosu, dopiero gdy „mała panienka“ któréj ojciec nie dozwolił powiedzieć: „wyjdź-no troszkę, Gabryelko“ lecz przeciwnie posadził ją koło siebie, nazywając rozsądném dziecięciem, rzuciła się matce na szyję i zawołała: „zostańmy tutaj!“ wszyscy wykrzyk ten powtórzyli.

„W imię Boże!“ odezwał się uradowany ojciec, „zostajemy więc tutaj. Ale wy dzieci drogie, nie

stracicie nic na tém, musicie poznać Sztokholm i jego przyjemności. Nie uwierzysz Elizo droga, jak jestem szczęśliwy! że wszyscy moje podzielacie chęci!“

Eleonora pierwszy raz dnia tego przyszła do familijnego stołu na obiad, a wyraz swobody i wesołości panującéj dziś w domu, rozjaśnił i umilił niezmiernie jéj twarz. Ewa przewodniczyła dziś jéj starannemu ubiorowi i cieszyła się, widząc, jak dobrze wygląda. Po objedzie poprowadziła ją do okna i rzekła:

„Widzisz Eleonoro, jak tam pięknie rozjaśnia się niebo dotąd pochmurzone; śliczna teraz pogoda, pójdziemy się przejść. Lato rozpoczyna się, będziemy wkrótce zbierać kwiaty i jagody. I śliczna jéj twarzyczka jaśniała radością, jak to niebo na które wskazywała.

„Co to ma znaczyć?“ zapytał Henryk, widząc trzewiki matki położone na oknie. „Domyślam się, stoją tu zapewne, aby je słońce ogrzało, które niechce przyjść w okno i dopełnić swéj powinności. No, to ja chyba muszę wziąść na siebie zadanie słońca,“ dodał kładąc na piersiach trzewiki matki, by je ogrzać.

„Tyś i tak mojém słońcem, ukochane dziéeię,“ odrzekła matka, patrząc nań z czułością.

„Jakaż śliczna pogoda!“ zawołał Jakobi. „Ludwisiu kochana, czy nie przeszlibyśmy się trochę? Pójdziesz najmilsza moja? O, to wybornie. Tylko nie w familijnym płaszczu!“

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.